

DAR DR A. WYDRYCKIEJ

ANNA ZAHORSKA
(SAVITRI)

TRUCIZNY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Z PRZEDMOWĄ

Ks. ARCYBISKUPA TEODOROWICZA

WARSZAWA 1928

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA



Prawa przedruków i przekładów zastrzeżone

All rights reserved



171218

Lwów, 12 września 1927 r.

Łaskawa Pani!

Dziękuję Pani za przysłaną mi powieść „Trucizny”.
Przejrzałem dzieło Pani i mogę Pani wyrazić me
uznanie za czystą, szczerą miłością Narodu natchnioną
tendencję książki, w której się odzwierciedlił zarówno
znany Pani talent literacki, jak żywa i bezpośrednia
znajomość Kresów Polski i grożących nam niebezpiecz-
nych prądów, jakie się tam przewalają.

Powieść, która nie kala, ale podnosi, nie rozstraja
duszy, ale uczy i ostrzega, jest dzisiaj zjawiskiem,
niestety, rzadkiem. Dlatego mogę Panią tylko gorąco
zachęcić do tak zbożnego apostołstwa piórem.

Łączę dla Pani wyrazy szacunku głębokiego

† TEODOROWICZ

I

Ksiądz Justyn szedł powoli miedzą.

Radował go widok łąków. Zielonawo-szare kłosa kołysały podługznymi główkami, jak tysiące sprężonych do skoku małych jaszczurów. Za silniejszym podmuchem wiatru nachylały się, jakby chwytając zdobycz. I znowu kołysały się oczyniająco-rytmicznie.

Myśl księdza ocieężała od gorąca lata. Tem silniej czuł, jak wpływa w niego szafir nieskazitelny z wyżyny, wibrujący złotymi punkcikami światła. Zamknął oczy i wydało mu się, że przestrzeń całą wypełnia olśniewająca, słoneczna postać Chrystusa. Wszędzie i we wszystkim. Jako żywa, tętniąca spójnia i jako osobowość artystycznie odrębna, poręczająca wszystkich osobowości niezniszczalność.

Serce zapłonęło adoracją. Szczęście wypełniło je po brzegi. Śpiewał w sobie hymn bez słów, wypływający z niego jak smuga światła.

Powoli wyklarowały się z porywu słowa:

— O radość, radość bytu zjednoczonego z Najwyższym!

Wesoły krzyk przerwał księdzu Justynowi kontemplację. Gromada harcerzy porwała się z krzaków, które ciemną linią bramowały łąk żyta. Otoczyli księdza, wywijając kijami harcerskimi.

— Tu jest ksiądz, tu! Nieprzyjacieli wytropiony i ujęty!

— Poddaje się ksiądz? — groźnie pytał mały harcerz, przystawiając kij do piersi księdza.

— Poddaję się, dzielny wywiadowco! A byłem pewny, że zmylę pogoń. Trzeba było pójść na prawo, któż myślał, że zaczaicie się w krzakach!

— Nas zmylić nie łatwo! Myśmy i na prawo postawili placówkę! O, tam, przy pagórku!

— Należy się nagroda. Któż tu taki dobry strategik?

Młodzi chłopcy krzyczeli jeden przez drugiego:

— Jurek, Jurek!

Ksiądz wyciągnął z kieszeni sutanny zapas czekolady, obdarował dużym kawałkiem wodza wyprawy i oddał resztę do podziału.

Sygnal odległej placówki zwrócił uwagę harcerzy. Nadbiegł zdyszany łącznik.

— Idzie gromada druchen z drużynową panną Zosią.

— Otoczyć, wziąć szturmem, — odezwały się głosy.

Z ustami pełnemi czekolady chłopcy popędzili naprzelaj.

Ksiądz Justyn patrzył za nimi. Gra rozwijała się wspaniale. Wśród zbóż posuwał się wydłużony prostokąt zastępu harcerzek. Gdy znalazł się na pagórku, wypadła tyraljera harcerzy. Ciemna plama zastępu dziewczęcego rozrosła się nagle, zakryła cały pagórek. Po chwili zaczęły od niej odpadać małe grupki, dążąc w stronę księdza.

Pierwsza nadeszła pod strażą dwóch wysokich harcerzy panna Zosia.

— Czuwaj! — zawołała wesoło do księdza, — proszę tylko z faktu naszej porażki nie wyciągać zaraz wniosku o niższości kobiet. To był podstęp i zdrada!

— A jakże, — zaprzeczył harcerz, — tyły były nie zabezpieczone i nie posłały druchny wywiadowczyń naprzód na zbadanie terenu.

— Niema co, zwyciężyli was chłopcy, panno Zosiu. Proszę się pocieszyć, że i mnie wzięli do niewoli. Ale po tem walnem zwycięstwie warto odetchnąć! Spocznij!

Obie gromadki rozłożyły się na miedzy.

Na miedzy wśród zbóż nagle przemknął zając. Młodsze dzieci zerwały się zemocjonowane. Ale zając już był daleko.

— Szkoda, że zwierzęta nie przychodzą do nas, jak do św. Franciszka, — ozwała się jedna z harcerzek, — czy nie można tak zrobić, żeby przychodziły, proszę księdza?

— Każdy tego zrobić nie może, bo św. Franciszek miał nad stworzeniem tajemną władzę, jaką daje świętość. Nawet zwierzęta odczuwają wpływ duchowy i są łagodne, gdy stale stykają się z dobrymi ludźmi. Co więcej, zwierzę instynktownie idzie do człowieka dobrego, a unika złego. Im pełnijsi będziemy miłości, tem łatwiej nam uzyskać władzę nad stworzeniem dla podniesienia żyjącego świata.

— Poco podnosić świat, proszę księdza, kiedy i na danym poziomie tak całkiem źle nie jest? — zagadnął harcerz, któremu wyglądały z pod sztylp mocne, opalone kolana, niechybna oznaka dobrego sportowca.

— Czy chcesz pobić rekord w biegu? — zapytał ksiądz.

— Oczywiście!

— Rozwinąć wyższe władze duszy tak, jak rozwijasz mięśnie — to także rekord! Prawdziwy sportowiec wszędzie jest rekordowy.

Harcerz zaśmiał się, potem zastanowił przez chwilę.

— Już zaczyna się katarynka ideowa, — szepnął jego kolega.

— Cóż, druhu Janku, nie mamy tu gramofonu, żeby zagrać shimmy, — odparł żartobliwie ksiądz, który dosłyszał.

Janek zmieszał się.

— Jak ciebie nudzi katarynka ideowa, to poco należysz do harcerstwa, — zawołał inny harcerz z oburzeniem.

Janek zgiął rękę i pokazał na potężny kłab mięśni, który zarysował się pod koszulą koloru chakki.

— Dla sprawności skautowych — odpowiedział.

— A czyż poświęcenie dla ludzi nie jest sprawnością skautową? Czyż nie jest nią — ofiara?

— Ksiądz wybaczy mi szczerość, — zarumienił się znowu Janek, — ale w szkołach wołają na wyszydzenie gamoniów: Ty, ofiara! — Myślę, że teraz nadszedł okres praktycznej rozbudowy życia. Myśl o ofierze — to wypłóczyń romantyzmu.

— Odrzućmy więc, druhu, wyraz, który ciebie razi. Niech to się nie nazywa ofiara, lecz służba.

— Uznaję. Nieść chociażby twardą służbę dla Ojczyzny — dlaczegóżby nie. Tego domaga się samoza-chowawczość rasy, której głos słyszę w sobie. To jest instynkt wrodzony wszystkim, prócz wynaturzonych. Ale cóż mi po pracy ducha — czy pomoże mi tysiącem fabryk pokryć wyniszczoną Polskę? Jeden dobrze zawiązany węzeł więcej wart od stu kwart słodzonej wody frazesów. Nie znoszę pięknoduchostwa.

— Okopywał krzaczek, nie zobaczył lasu, — ironicznie przerwał wysoki blondyn o twarzy zesłańca z obrazów Grottgera, — wy chcecie być pokoleniem kretów. Marinetti, bałwochwalca materji, jednak ma-

rzył o zbudowaniu potężnie-sprawnej maszyny ludzkiej, latającego człowieka Gazurmah, który włada wodą, lądem i powietrzem. W tem był rozmach. A wy pełzanie uznajecie za cnotę człowieka.

— Czy zastanowiłeś się, druhu, — uśmiechał się znowu do Janka ksiądz Justyn, — że rozbudzenie nowych władz duchowych w człowieku rozszerza jednocześnie zakres naszych możliwości materialnych? A o to ci przecie chodzi.

— Rozszerza zakres możliwości materialnych? To jakby ksiądz ma słuszość — powiedział Janek niepewnym głosem i nagle poderwał się namiętnie.

— Bo nam już dosyć rekompensat w dziedzinie duchowej, dożyłem dnia zmartwychwstania ciała mojej Ojczyzny i chcę budowy rzeczywistej, mocnej, ziemskiej. Czuję się Anteuszem — dajcie mi ziemi! Te wasze wartości duchowe — to dla mnie frazesy, w których rozplywa się realna istność Polski.

— A czy nie z wartości duchowych, uzbieranych przez pokolenia męczenników, zrodziła się ta siła, co kazała nam, rozdartym przez orjentacje, niedostatecznie zorganizowanym z taką wiarą bić się o Polskę, ażeśmy ją wywalczyli?

— Ale oto idzie druh Siodełko, — zawołała panna Zosia, — on nas sprowadzi na teren ziemskich urzeczywistnień zapomocą ćwiczeń z sygnalizacji.

— Czuwaj, postawa czynna! — skomenderował ksiądz Justyn i chwyciwszy chorągiewkę dał z niezmierną dokładnością szereg sygnałów.

— Ale ksiądz potrafi nie gorzej od druha Siodełki — mistrza od sprawności, — z podziwem rzekł Janek.

— Możebym potrafił i fabrykę zbudować, co? —

zaśmiał się ksiądz, — gdybym się przekonał, że nakręcając motory dusz ludzkich, nie wydobędę z nich energii narodowej, to lepiej już wziąć się do motorów Diesla.

Podszedł druh Siodełko, ocierając pot z czoła i wachlując się harcerekim kapeluszem. Postanowiono odbyć ćwiczenia wspólnie. Dziewczęta z panną Zosią stanęły na jednym pagórku nad zbożami — chłopcy — na drugim. Ksiądz wobec okazanej sprawności ze śmiechem zaciągnięto do szeregu — obskoczyły go wilczęta.

Ale gorąco szybko osłabiło energję. Oba zastępy wycofały się do lasu sosnowego i tam, rozsiadłszy się w cieniu, śpiewały „Rotę“.

Jedna dziewczynka odeszła na bok i skubiąc zerwaną gałązkę, przysłuchiwała się beczynnemu. Ksiądz uderzył w jej twarzy wyraz głębokiego zmartwienia. Panna Zosia zauważyła również jej odosobnienie.

— Czemu nie śpiewasz, Aniu? — zapytała, podchodząc do niej.

— Bo to polska pieśń, a ja nie jestem Polka, tylko Białorusinka i nie nazywam się Ania, tylko Nastula.

— To dlaczego należysz do harcerstwa polskiego? — namiętnie przerwała jej koleżanka, przestając śpiewać.

— To też tatuś nie chciał, żebym należała — odparła Ania, — bo tatuś i Polskę kocha, ale mówi: — Tam ciebie od Białejrusi odciągną. — Ale mamusia mówiła, że wycieczki zdrowe, więc się zgodził.

— A ty kochasz tatusia? — zapytał ksiądz Justyn.

Oczy dziecka zabłyśły egzaltacją.

— Bardzo. Tatuś jest nieszczęśliwy. I Białoruś jest nieszczęśliwa.

Pieśń się skończyła. Na Anię zawołano:

— Chodź do szeregu, Wasilewiczówna, Anastazja-Apostazja.

Ania stanęła w parze, ale protest i niechęć odbiły się na jej twarzy.

Wesoły zastęp z kijami i plecakami wracał do miasta. Rumiana radość płonęła na ich policzkach. Chmurna wlokła się tylko w ostatniej parze Ania.

Ksiądz i drużynowa z ożywieniem rozmawiali po cichu, często spoglądając na Anię.

II

Pan Wasilewicz siedział przed małym stolikiem, na otomanie sztucznie sfabrykowanej z tapczana, siennika i kosztownego, choć już spłowiałego dywanu. Przed nim stała wódka i szklanka. Na podłodze leżało już kilka wypitych butelek.

Był to ogromny blondyn o suchej, rasowej twarzy, potarganej konwulsjami sprzecznych uczuć. Nalewał i pił, waląc pięścią w wiotki stół i krzycząc:

— Takie moje pańskie chcenie! Na heto maja pańska wola!

Poczem wyrzucał stek wyzwisk i klątw, uzbieranych z najgorszych spelunek Rosji, gdzie był na uniwersytecie.

Pani Wasilewiczowa z udręką słuchała tego z przyległego pokoju. Gdy głos męża przechodził w fortissimo, przerywała stukanie na Underwoodzie, chociaż miała pilną robotę. Dorabiała w domu przepisywaniem, gdyż alkoholizm kurczył do minimum zarobki męża.

Naraz zatętnił dzwonek. Pani Wasilewiczowa drgnęła. Pewno który z zacnych kompanów. Poszła z mocnem postanowieniem niewpuszczania do domu żadnego z tych ludzi, folgujących słabości upadającego człowieka.

Zapytała przez drzwi:

— Kto tam?

Przyjemny głos odpowiedział:

— Ksiądz prefekt małej Ani.

Ksiądz... Wydało jej się, że łaska z wysoka zapukała do jej domu wyklętego, zapomnianego przez Boga i ludzi. Otworzyła drzwi i stała na progu, nie wpuszczając gościa.

— Tak rada jestem, — mówiła, — ale mój mąż, mój mąż... Proszę do nas nie wchodzić. Ja sama przyjdę dokąd ksiądz każe...

W tej chwili przez drzwi zabrzmiał potężny baryton Wasilewicza:

— Paluta, żonka, dyk ty użo maich siabrou, bratou — Bielarusau honisz? Dyk ja ciabie... Ty pani proklata, ździekowaćcia choczasz. harełki nie dajesz... Puszczaj maich siabrou...

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Wasilewicz z rozchełstaną na piersiach koszulą, z przekrwionemi oczami i zwichrzoną czupryną.

— A, ksiądz, — powiedział jadowicie, — po moją duszę przyszedł? Cóż, ja tymczasem wierny syn Kościoła łacińskiego. Ale wiara Białorusi — to prawosławje. Zechcę, to przyjmę prawosławje... Takie moje pańskie chcenie. Zrozumiał ksiądz?

Zakrztusił się potworną klątwą uliczną, zachwiał się na nogach, potem wrócił do swego pokoju, zatrzasnął drzwi.

Ksiądz Justyn patrzył na wiotką blondynkę, na wytworną markizę, podobną do figurynki z porcelany, ubraną w ordynarną ciemną suknię. Oczy jej były wysuszone od żaru niegasnącej męki. Upokorzenie zarysowało się ciemnymi wypiekami na twarzy.

— Proszę wejść — rzekła cicho — już ksiądz widział.

Ksiądz Justyn wszedł do jej pokoju. Zobaczył ślady ubóstwa zatarte pozorami umyślnej prostoty. Kiedy usiadł przy stole i pani Wasilewiczowa położyła na nim ręce,

ksiądz ujrzał te wytworne dłonie zniekształcone pracami nazbyt ciężkimi, poczerniałe i pokłóte.

— Chciałem z panią pomówić o Ani — zaczął ksiądz.

— O Ani, — z westchnieniem pochyliła głowę pani Wasilewiczowa, — no cóż, sam ksiądz wie... Dziecko się marnuje. Dom nie jest dla niej miejscem odpowiednim.

— A rozdzwieki w szkole?

— Ach, już są i rozdzwieki, — spojrzała pani Wasilewiczowa trwożnymi oczyma.

— A tak. Dziecko uważa się za Białorusinkę, jest w ciągłej rozterce z otoczeniem. W szkole jej dokucają, a ona cierpi i charakter jej się zaostrza.

Pani Wasilewiczowa załamała ręce.

Wiem, ale czyż mam ją odebrać ze szkoły? Tyle jej szczęścia, że pół dnia nie jest w domu.

W pokoju obok rozległo się niesamowite mamrotanie Wasilewicza.

— A pani sama czy chce ją wychować na Białorusinkę?

— Uchowaj Boże, ale cóż pocznę? Uciekać z dzieckiem? A kto będzie przy tej chorej duszy na straży? Przysięgam — w nieszczęściu, w chorobie, aż do śmierci. Tymczasem w jakiejś godzinie obłąkanej on zeschizmaci mi dziecko. I to piekło w domu... A dziecko przecie kocha ojca.

— Czemu pani nie odda Ani do klasztoru. Dla jej dobra? — ostrożnie podsunął ksiądz.

— Taby było wyjście, dziękuję księdzu za radę, — po namyśle odparła pani Wasilewiczowa, — pewnie, że dziecko to moja jedyna pociecha, ale gdyby to dziecko przestało być polskim... Ale jak ja temu podołam ma-

terjalnie... Podobno opłaty w klasztorze są dość drogie, odpowiednie dla ludzi mojej sfery, ale nie w moim położeniu.

— Już przeprowadziłem korespondencję z matką przełożoną, zgodzono się na warunki zniżkowe. Chodzi tylko o przyzwolenie pani.

Pani Wasilewiczowa poczuła w oczach łzy. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Wypłynął z nich zastarzały, skamieniały ból świata, roztopiła się w nich oskorupiałość i nieczułość istoty nazbyt zgonionej i samotnej.

Układ stanął. Ksiądz pożegnał panią Wasilewiczową.

Zdawało się, że przez chwilę w pokoju zapalono latareczkę o barwach tęczowych, ale teraz znów został tylko szary dzień, dzień bez pociechy, dzień bez radości.

Zaledwie ksiądz wyszedł, gdy Wasilewicz wszedł do pokoju żony.

— Paluta, dawaj harełki, — krzyknął chwytając ją za ramię.

— Niema hroszy, — odparła pojednawczo pani Pelagia.

— Niema hroszy? Breszesz, proklata!

Chwycił doniczkę begonii z okna i rzucił ją o ścianę. Pecyna ziemi przylgnęła do jasnego obicia. Ohydna plama... Kropkowane liście begonii upadły pod nogi pijanego, łamiąc się i mieszając z ziemią. Wasilewicz zaczął je deptać.

Pani Pelagia patrzyła na to — zdawało się jej, że to jej życie zdeptane poniewiera się oto na ziemi. Czuła ból liści zmiażdżonych, z których tryskał sok. Życie rozbite, życie złamane, — płakało coś cichutko, zawodziła melodia, przywiana z oddali.

— Harełki dasz, aj nie dasz? — wrzeszczał Wasilewicz.

Joasiu, Joachimie, — mitygowała pani Pelagia.



Wasilewicz rzucił książkę, kopnięciem nogi przewrócił krzesło, potem chwycił je i zaczął niem rytmicznie łomotać o podłogę.

W tej chwili zadzwoniono. Alkoholik wstrząsnął się, jak na sygnał alarmu.

— Maich siabrou nia puszczaże żonka, — mruknął i legł na odłamkach doniczki.

Pani Pelagja pobiegła otworzyć. Weszła jej subkatorka, czarnowłosa i czerwonogęba energiczna panna, córka jednego z wielu ongiś leśników olbrzymiego Wasilewa. Wpuszczono ją do domu, jak wspominek swojej okolicy, jako niedobitka własnego wielkopańskiego dworu.

— Ach, dobrze, że to pani, panno Antonino!

— A co, buszuje znowu? — spytała panna. Akcent rosyjski bił od niej jak zaduch kiszonej kapusty.

Pani Pelagja skinęła głową.

— On się jeszcze pani wstydzi — może pani go uspokoi...

Panna uśmiechnęła się w poczuciu swej wartości.

— Zaraz spróbujemy, — odpowiedziała, — mam ja tu takie lekarstwo, zaraz otrzeźwieje.

— Jest takie lekarstwo? Amoniak może?

— Lepsze. Bywały jeden człowiek z frontu nauczył.

Wasilewicz tymczasem tłukł jeden odłamek doniczki o drugi i z nieskończoną melancholją zawodził na chłopsko-białoruski, wyjący sposób:

Maja chwustka na pahodzie dujecca,

A moj miły na wajnie wojujecca...

Panna Antonina podeszła do niego.

— No, panie Jakim, chodźcie da mianie!

— Pójdę, psiakrew, pójdę, bo mi żona obrzydła. Niech przepada ze swoją cnotą! O, czuję ją tu, jak sznur na szyi! Abrydłoje życie!

Wstał chwiejnie. Pani Pelagja słyszała, jak energiczna leśniczanka wprowadziła go do swego pokoju i wmuszała w niego jakiś środek.

Po pewnym czasie ustał gorączkowy bełkot pijaka. Zaczął wyciągać znowu wyjąca, nieskończenie tęskną nutę: Para damou.

Z tą nutą schodzili z pola chłopci białoruscy o zachodzie, gdy w ogrodzie pałacowym pachniały rosą bzy i czarno-czerwone róże.

Było... Przemięło... Szumne życie w bogactwie i dosycie, zagrożane od czasu do czasu chłopomańskimi wybrykami męża.

Drzewo kasztanu uderzyło piramidalną kiścią w okno. Wyszepiała:

— Za co odjąłeś, Panie?

Hojna była dla ludzi i serce miała otwarte. Największą boleścią jej obecnego życia była absolutna niemożność świadczenia usług materialnych innym. Zamknęła się dłoń darząca. Czy cierpiała na tem jej duma, czy miłość prawdziwa? Czy nie dla wytracenia w niej tej dumy rozrzutnej narażono ją teraz na przyjmowanie darów innych ludzi? A może obdarowywała tylko podług swojej woli, nie przeniknąwszy dostatecznie woli i potrzeb innych ludzi?

Zgłębiała teraz miarą przeżytej osobiście nędzy i udręki, co i jak robiło się dla ludzi. Czyniła sąd nad sobą. Przytakiwały jej kiście kasztanu.

Przestankowały, rozczłonkowały rytmicznem kiwaniem bezładny potok jej myśli.

W drzwiach ukazała się twarz o jaskrawej karnacji, z nienaturalną linią ust podmalowanych.

— Już spokojny — rzekła z samochwalczem zadowoleniem panna Antonina.

III

Koła wagonu warkotały prędką zrzedliwą gadkę. W przedziale siedziała zakonnica w czarnym habicie i welonie i białej kryzie i Ania. W przedziale nie było więcej nikogo. Zakonnica przesuwiała ziarna różańca. Ania wychyliła się przez okno. Zrzuciła i położyła na siatkę beret szkolny. Wiatr rozwiewał jasne włosy jej nad czołem. Może ten sam wiatr przeleciał po chorej skroni ojca... Jeszcze blisko od Warszawy...

Tor biegł po żółtym nasypie. Za torem wznosiła się ściana sosen. Biegła obok pociągu, chciała dotrzymać mu kroku.

Pociąg wbiegł na zakręt. Ania obejrzała się wstecz i ujrzała wyokraglonego węża, złożonego z wagonów.

Myślała: — Wyskoczę przez to okno. Pójdę do tej wioski za pagórkiem, do młynarza w wiatraku. Przenocuję, a potem od stacji do stacji wrócę piechotą do Warszawy, do tatusia. Albo może wypadnę i zabiję się. Podniosą mnie z tego żółtego piasku. Siostra przerazi się (pewnie aż oczy jej wyjdą z orbit ze zgrozy, te spokojne, szare oczy), ale ją pocieszy Pan Jezus. Mamusię pocieszy ksiądz Justyn. A tatusia nie pocieszy nikt. On jest najniezwyklejszy, on jest chory i pogardzony, on, kiedyś wielki pan, a teraz nędzarz.

Łzy kapąły na żółty piasek jedna po drugiej, łzy gorące, niepocieszone. Myślała, czy zdążą w biegu wyłobić drobne ślady w piasku, jak krople deszczowe?

Czy wogóle zostawiają jaki ślad te małe, prędkie łzy dziecięce?

— Nie wychylaj się przez okno, dziecino — ostrzegła zakonnica.

Ania usiadła. Zakonnica rozwinęła ponętą paczkę z ciastkami. Było tam jedno na wierzchu — tortowe z konfiturą, szczególnie ładne i narzucające się podniebieniu. Ania przełknęła ślinę i podziękowała uparcie. Nie, nie będzie jadła nawet ciastek od osoby, która ją od tatusia zabiera.

Koła wagonu dokuczały i przekomarzały się: Anastazja — Apostazja, Anastazja — Apostazja! Niedobre koleżanki z ich przezwiskami! Poczekajcie. Ania nie wytrzyma rozłąki z tatusiem i umrze. Wtedy podokuczajcie!

Przypomniła sobie wielki biały dom z kolumnami, otoczony wieńcem lip. Reminiscencja przyniosła jej nawet słodki zapach kwiatu lipowego w upał i brzęczenie pszczół wśród gałęzi. A oto chłopci w siermięgach i szare wioski wybrukowane kamieniami, po których tak trudno i chybotliwie szło lando, zaprzężone czwórka gniadoszy. Przypomniła sobie las, paprocie, zapach grzybów i bezdenne jezioro, leśne oko w szerokiej ramie niezapominajek...

Tutaj inaczej. — Czużyncy, czużyncy, czużyncy! — krzyknęło w niej wszystko i buntowało się tembardziej, że jednak i tutaj wszystko było swoje i mimowoli wszystko kochała.

Ale nie, ojczyzna jej tam, gdzie jej tatuś jest szczęśliwy!

Zakonnica udawała, że nic nie spostrzegła i przesuwając ziarna, odmawiała różaniec za ucieszenie potarganej w burzach dziejowych duszy dziecka.

IV

Wasilewicz wszedł do kawiarni, czując rzeźwość i napięcie wszystkich władz intelektualnych. Zdjął u portjera płaszcz paryski, trochę niemodny, ale pierwszorzędnie skrojony, z podszewką atlasową, choć przetartą. Oddał w ręce niezbyt uprzejmego fagasa żokiejkę, którą nosił dawniej, pozując na oryginalność, dziś z potrzeby.

Wszedł do zapchanej cukierni, gdzie na ścianach, wśród miękko ubryłowanych drzew ukazywały się światu niewiasty w falistych fryzurach.

Szedł do swego towarzystwa w kącie. Przyjęto go hałaśliwie.

— A, Jakim! Znowu miałeś *le vin triste*?

— Magnacie na dziesięciu gorzelniach, cóż ci pozostało na wspomnienie, prócz spirytusu, a i to rozcieńczonego?

— Jakim, dmuchnij! Jak babcię-Zachętę ze wszystkimi ramolami - mecenasami kocham, od niego nic a nic nie czuć ekstraktem z kartofli, żyta, winogron lub też innej roślinności...

— On wynalazł trunek upajający, a bez alkoholu.

— Opatentuję na twoją korzyść, jako że twa anemiczna łepetyna zniesie chyba tylko flaszki z pseudo obrazów Ozenfant'a i Jeanneret'a — odciął się Wasilewicz malarzowi, zasługującemu w zupełności na swój przydomek: Wymoczek.

Wasilewicz usiadł koło Prętkiewicza, czarnowłosego

i smutnego literata, który zaczął go natarczywie lustrować.

— Narkotyzować się, narkotyzujesz — rzekł ten po chwili, — tylko nie wiem, czym?

— Już ty się nie baw w jasnowidzącego maga, przecież posłałeś psychologię do tysiąca Trockich — rozłożył się Wasilewicz, poczem zamówił małą czarną zamiast zwykłej wiśniówki. Kelner przyjął to zamówienie z niejakim osłupieniem.

Wasilewicz słuchał wypowiedzianych dokoła zdań, pojmując je z zupełną jasnością, znajdując natychmiast trafne odpowiedzi. Cieszyło go to po wielu tygodniach ołowianego bezwładu mózgowego.

— Idzie twój cień — powiedział do niego Wymoczek — jak na swą funkcję, dość korpulentny.

W rzeczy samej zbliżał się do stolika Skrzeżetowicz, którego Wasilewicz przywłókł za sobą do tej kompanji. Wasilewicz spotkał go na uniwersytecie i pomógł mu do ukończenia studjów. Skrzeżetowicz uwielbiał go nie przez wdzięczność, a za silniejszą i bardziej od niego twórczą osobowość. Powtarzał on ślepo wszystkie gesty życiowe Wasilewicza. Obecnie wraz z Wasilewiczem mniejszościował po białorusku.

— W dziele sztuki wszystkim jest konstrukcja — wywodził z inżynierską systematycznością niski awangardzista, — rozłożenie mas na płaszczyźnie, równowaga ich i ustosunkowanie, walory barwne, obciążenie mas, — wszystko to jest przedmiotem nieskończonych eksperymentów, badań, mozolnego dociekania. Dawniej istnieli męczennicy nauki, teraz są męczennicy sztuki. Żywot malarza — konstruktywisty — to męczeński trud z ciąglem tłumieniem niesforności intuicji.

— A pa sztoż tabie, panok, hetak mordować

sia? — zapytał ze współczuciem podchmielony Skrzeżetowicz.

— Wyrzucić ze sztuki człowieka — marzył długo-
włosy poeta — wyrzucić z moich wierszy mnie, bo
powiedźcie, co jestem ja? Maszyna dancinowo-alko-
holiczna? Klisza do odbijania błota i sensacji, ostatnia
kolumna brukowego dziennika? Dlaczego psychika?
Dlaczego „ja”? Co jest we mnie wyższego od komina
fabrycznego, a harmonijniejszego od gęglenia dzwonka
tramwajowego? Cemu nie budować wierszy ze słów,
jak z cegieł?

— A nie wyjdzie cegielnia, zamiast wiersza? —
serjo poinformował się Skrzeżetowicz.

— Witalizm — oto jedyne hasło sztuki. Biermy
życie, to materialne, napęczniałe sokami ziemi, — wołał
jasnowłosy chłopczyna z czupryną, zjeżoną rozpędem
witalistycznym — życie dla życia, nie trzeba karmić
tęsknot krwią naszej duszy.

— Było już w „Gaya Saber“ Nietzsche’go —
mruknął Wasilewicz i stłumił ziewnięcie.

— Tęsknota tak nam się przejadła, że zacząwszy
pisać wiersze, tępiłem ten wyraz, wypowiedziałem
mu wojnę. Rwać się poza materialne istnienie? Non-
sens! — wywodził bardzo cywilizowany i kędzierzawy
semita.

— Pływałem wczoraj łódką do Młocin — zwierzał
się poeta Zapłotnik — czemuż to nie była dżonka
i czemu nie zapłynąłem do Szanghaju? Wrzuciłem do
skrzynki list na Placu Napoleona — ach, czemuż nie
trafi na Jawę, do rąk malajskiej księżniczki?

— Co tam twoje egzotyzy! Prawdziwy egzo-
tyzm jest w naszym ludzie nieodkrytym, niepoznanym.
Tam, jak w krynicy...

— I wywleciesz z tej krynicy tyleż fryg, niezgrab-
nie ciosanych, co chamstwa.

— Mójże salonowcze! Milcz o chamstwie, bo się
ten tu obecny Wasilewicz, arystokrata, „apraszczeniec“
obrazi za chłopstwo. Świat bowiem stanął do góry
nogami.

— Życie ma być poezją, a poezja życiem... Czyli
patroszyć obszarników ma się nie tylko w hymnach
proletarjackich, lecz i zapomocą reformy rolnej, oraz
wszelakich instrumentów metalowych, ku temu przy-
datnych.

— To trudno! Na to jest poezja proletarjacka!

— Poezja proletarjacka — zapiał Zapłotnik, — brzu-
chate baby i myjące krowy! Dziękuję za łaskę! Odro-
dzić pierwiastek piękna w poezji...

— Romantyzm, szczudła, księżyc, anioły... Mdło
mi, lukrecja, sacharyna, śledź z czekoladowym sosem...

— Bracia Pegazy i Pacykarze, — gromko wieścił
drobny poeta w kamizelce z brązowej włóczki, —
dość bohaterstyczyny, dość wielkoludów, wlokących
głazy na budowę piramid. A stawiać domki na koope-
ratywy nie łaska? Nie chcę być wielki i stać z roz-
dartem sercem na Kalwarji.

— Lepiej kopać piłkę na boisku!

— Nie polemizujcie, gentelmani, — ozwał się fleg-
matycznie literat o angielskim wyglądzie, — sport to
wielka rzecz. Serce świata przeszło z galerji i sal koncer-
towych na korty tenisowe, boiska i trasy. Jeżeli kino
to dziesiąta muza, — sport to jedenasta.

— Teżyzna, materja, maszyna, tłum! Bicepsy
wspaniałe, a w mózgach krach!

— Malarjo oraz głodomorjo literacka, możeby sty-
lem mniej radjotelegraficznym? Przywróćcież nieszczę-

snemu orzeczeniu należne w ludzkiej mowie prawa! Szober włosy rwie na głowie, chociaż nie jestem pewny, czy nie zrobił już z orzeczenia jakiej cechy cech!

— Ten Szober — to czczewyczajka w filologii — z goryczą zaopiniował akademik z grupy literackiej „Jaszczur“, który miał z wyżwzmiankowanym profesorem nieporozumienia w zakresie morfologii.

Malarz z grupy „Tam-tam“ z przeraźliwie zgrzytliwą i melancholijną twarzą puścił w ruch rękę jakby kręcił niewidzialną korbę.

— Śmiejecie się, mówicie, kiedy ja was kręcę. Jesteście katarynki, nakręcone maszyny.

Hipnoza padła na zgromadzonych. Nerwy opanowała drewniana sztywność. Skrzeżetowicz zapytał wśród ponurego nastroju i nagłego zneruchomienia.

— Szto heta, hulańnia aj chautury?

— La nocte ou les funeraillles? — wyłożył na zachodnio-europejskie Wasilewicz i zwrócił się do Prętkiewicza.

— Chandra, spleen, rozdarcie. Mówisz, że sensu w sztuce nie trzeba. Skąd on w sztuce, kiedy i po za sztuką wszystko nonsens.

— Ach ty, Jakim, nic do ciebie nie przylgnie co istotne. Treść nie powinna pochłaniać formy. Kiedy jest nienasycenie formą, nie może być sztuki. Sens w zwykłym paseistycznym znaczeniu nie jest potrzebny.

— Uwikłasz się ty w abstrakcje, przemądrzysz i życie i sztukę. Wysuszysz się teorjami, jak cegła w piecu.

Ktoś deklamował arytmicznie:

Ozwały się syreny aut,
Tramwaj pluje światłem czerwonym na bruk,
Patrzę na samolotów start.
Mam parę rur zamiast nóg...

— Takby się chciało czasem prawdziwej poezji, — przemówił Wasilewicz.

— Co nazywasz prawdziwą poezją, dyletancie? — zapytał grobowym głosem malarz z grupy „Tam-Tam“.

— Nazywam, kiczarzu z fachu, taką poezję, w której gra żywiołowe uczucie. Naprzykład:

Dajcie mi wielkie stepów obszary,
Dajcie czarnego, jak noc, rumaka...

To śpiewa przynajmniej.

— Właśnie, — zjadliwie zauważył Prętkiewicz, — śpiewa, jak romans cygański. Wzrusza w tobie bebechy. Łezka liryczna, sentymencik... Zwietrzałe rekwizyta, zaszargane anachronizmy...

— Czy to anachronizm, że masz bebechy?

— Mam, ale nie w sztuce. Dzieło trzeba nasycić formą, do tego trzeba intelektu, nie bebechów.

— Chytrz się, chytrz! Ustawiłeś sobie kratę z żelaznymi kolcami i przedzieras się przez nią. Ta krata — to twoje nic warte konstrukcje. Krwawisz się na kracie...

Ponury malarz przysunął się.

— A wiesz, toby można malować. Rozbić płaszczyznę obrazu na części geometryczne. Potraktować dwuwymiarowo...

Prętkiewicz powiedział bez uśmiechu:

— Jakim, w tobie coś jest, dyletancie. Szkoda, że zabląkałeś się na rozdrożu cywilizacji i nic z ciebie nie wyjdzie. Ty potrafisz tworzyć, ale czterowymiarowo.

Wasilewicz odburknął:

— A ty beczasowo, bezprzestrzennie, z irracjonalnym racjonalizmem i bezwzględny relatywizmem.

Djabek metafizyki wziął twoją poezję i zrobił z niej preparat na szkiełku.

Prętkiewicz ziewnął.

— Chodź, wykolejony zżeracz własnej fortuny, dosyć paseizmu i awangardy. Pójdziemy w aleje.

Wyszli. Za nimi powlókł się Skrzeżetowicz.

— Jakim, widzisz, i oni mówią, że ty potrafisz tworzyć, — bełkotał, czepiając się rękawa Wasilewicza i zaglądając mu w oczy z adoracją.

Wasilewicz odepchnął go łagodnie.

— Ten człowiek ma wschodnią duszę, to niewolnik, który musi bić pokłony, — zauważył Prętkiewicz.

Skrzeżetowicz dosłyszał.

— Lionel wielbił Ryszarda — Lwie Serce, a Odyniec — Mickiewicza, a Skrzeżetowicz — Wasilewicza. Niewolnictwa niema — jest radość, że on wyższy ode mnie! Ty tego nie rozumiesz, co ty zachodnio-europejska maszynko od paradoksów wiesz o miłości?

Zapadał lekki, niebieski zmierzch. Wśród kopuł kasztanów zwisały matowe kule latarniane. Feerycznie płonęła w oddali czerwona budka przystanku tramwajowego. Po dachu wielkiej kamienicy skakały reklamy świetlne.

Skrzeżetowicz zatrzymał się przed kasztanem widocznym w świetle latarni. Wskazywał na niego i bełkotał zająkliwie:

— Oto drzewo ukształtowane kubistycznie... Geometryczne kwiaty... Piramidalne... sama przyroda nie znosi paseizmu... Prawdę mówię, Jakim, czy nie?

— Bredzisz, jak zawsze — flegmatycznie odparł Wasilewicz.

— Cóż tam panna Antonina? — zapytał Prętkiewicz.

— Co, już sobie postawiłeś zagadnienie matematyczne: Antonina plus Wasilewicz równa się chwilowo niewiadomej? Psychologja logicznie ujęta wykracza poza czysty nonsens. Nie jesteś konsekwentny.

— Nie bój się, nie napiszę sztuki na twój temat, wyszłaby zbyt bebechowa. Więc cóż twój anioł-stróż, co ciebie ratuje od żony i alkoholu?

Wasilewicz milczał uparcie i ponuro.

Wasilewicz siedział przy stoliku w restauracji, gdzie zbierały się sfery sejmowe. Naprzeciwko miał przy swym stoliku posła i redaktora Gąbaniewskiego, który przysiadł się nie bez kozery. Wykładał mu program swej partji. Był z nimi i nieodłączny Skrzeżetowicz.

Wasilewicz słuchał uprzejmie, choć z przymusem. Budził w nim odrazę ten rozpolitykowany człowiek, nadziany hasłami, a znany ze swej luźnej moralności w życiu. Jego siwiejąca czupryna i twarz czerwona od egzemy, przeorana bruzdami poziomych namiętności wydawała się niebezpieczną. Na stoliku stała butelka. Gąbaniewski przepijał, spuszczał szklaneczkę w głąb gardzieli nagłym ruchem, stawiał ją na stole i znów gadał, a twarz jego coraz bardziej zachodziła czerwienią.

— Jak ten człowiek może mieć zachowanie i wpływ w życiu partji, — myślał ociężale Wasilewicz.

Wzdłuż oszklonej ściany stały stoliki. Wasilewicz machinalnie liczył wazoniki z kwiatami, ozdabiające większe stoły. Starał się nie patrzeć wprost na Gąbaniewskiego. Czuł halucynacyjną obawę, że nagle człowiek ten, gładki i uprzejmy, wyciągnie ku niemu obie ręce z wilczemi pazurami. Nie mógł się temu natarczywemu uczuciu obronić.

Skrzeżetowicz ostrożnie milczał i nie wypowiadał się.

W pewnej chwili Wasilewicz przerwał Gąbaniewskiemu:

— Toż nie mogę zrozumieć, co u was na pierwszym planie — partja czy Ojczyzna?

— Ojczyzna, oczywiście — obruszył się poseł.

— A mnie, człowiekowi kresowemu, co się tam zdawa od warszawskiej polityki uchował, przypomniały się w pewnej chwili słowa Bogusława Radziwiłła... Pamięta pan, z „Potopu“... Rzeczpospolita — to postaw sukna.

— I cóż stąd, że każdy kawałkiem tego sukna się okryje? Odziewa matka dzieci. Aby tylko całość tego postawu zachować.

— I każdy się odzieje i sukno całe zostanie! Nie na mój rozum ta sztuka.

— Cóż to, pan zarzuca naszej partji prywatę? Partja nasza jest tak przejęta dobrem Ojczyzny, że partja a Ojczyzna — to jedno.

— Tylko kto mi zapewni, że to dobro zupełnie właściwie przez partję jest pojmovane?

— To już może pan własnym, nieuprzedzonym rozumem osądzić.

— Osądziłbym — ale cóż mi tam. I tak do partji polskiej nie wejde, skoro jestem Białorusinem.

Wąsy Skrzeżetowicza poruszyły się dyskretnie, jak u karalucha.

Gąbaniewski siedział oszołomiony.

— Pan — z rodziny historycznej...

— To cóż. Niejeden członek rodziny historycznej zdeklarował się jako Ukrainiec lub Białorusin. Przemówiła krew odległych pradziadów...

— Całemi beczkami polskiej krwi rozcieńczona.

— Po kądzieli, po kądzieli...

— Czy w tej arystokratce, co siedzi w Kownie i zapluwa się na wspomnienie Polski, też mówi krew

pradziadów? Bo ja myślę, że mówi w niej tylko bzik.

— Tak to u nas. Lekceważy się wszelki ruch mniejszości, zamiast zdać sobie z niego sprawę i do łóżyska naszego skierować. Szydzono z „litwomańji“, do białej złości doprowadzając litewskich działaczy. A oto odseparowało się Kowno. I w Białorusinach lekceważenie wzbudzi nienawiść.

— I pan nienawidzi Polski?

— Cóż znowu! Mój pradziad poległ pod Lipskiem, mój dziad brał udział w powstaniu. Nie rozumiem ruchu białoruskiego poza Polską. Będę szedł zawsze z Polską. Ale nie z partjami polskimi. Bo tam zanadto partję poplątano z Ojczyzną.

— Ale czy pan się zastanowił, że te ruchy mniejszości rzekomo kulturalne zawsze prowadzą do bolszewizmu i idą na rękę sąsiadowi ze wschodu lub zachodu? Ostrzegam pana całkiem bezinteresownie tym razem. Pan się jeszcze sparzy na tem.

— Jak się sparzę, nie przyjdę do pana, by pan podmuchał.

— Żałuję bardzo, — rzekł zimno Gąbaniewski i podniósł się.

Skrzeżetowicz zrobił minę zadowoloną. Nie lubił Gąbaniewskiego.

Tymczasem po odejściu Gąbaniewskiego zaczęli się przedzierać ku nim wśród ciasno zastawionych stolików dwaj panowie. Jeden miał cerę piegowatą, rude włosy, ruchy i miny lisie i przymilne. Za nim szedł człowiek z ziemistą twarzą, szarą szczecina, przysadkowaty i bezdennie brzydki.

— Idą Smarczek i Hryb — zwrócił uwagę Wasilewicz Skrzeżetowicz.

Z tymi panami mieli się spotkać. Opanowali oni bezkrytycznego Skrzeżetowicza, grając na jego uczuciach regionalnych i przez niego zarzucali się na Wasilewicza.

Panowie zapoznali się i zajęli miejsca przy stoliku.

— Komu mnie sprzeda ten rudy Judasz Iskariota? — pomyślał Wasilewicz o Smarczku.

Hryb zaczął kaptować Wasilewicza do Białoruskiej Hromady.

— Nie mogę się zgodzić, — rzekł Wasilewicz na odczepnego, żartobliwie, — jak stworzycie niepodległą Białoruś, to mi na amen odbierzecie Wasilewo. A ja chcę być obszarnikiem.

— Wielką własność polską się zniszczy, — ponuro rzekł Hryb, — ale my o was dawno mówimy. Wy nasz prychnik, tak my postanowili ziemię waszą wam oddać. Będziecie mieć z łaski ludu.

Cały pański atawizm uderzył Wasilewiczowi do głowy, jak mocny szampan. Między wąsami obnażyły się długie zęby ze skrawkiem jasno-różowych dziąseł. Oczy rozszerzyły się i błysnęły strasznie. Wstał i blednąc, przechylał się przez stół ku Hrybowi, który z obawą cofał się z krzesłem, aż uderzył niem o kolumnę.

— Wy — mnie? Smarczek i Hryb będą mnie dziedzicowi Wasilewa od piętnastu pokoleń własną moją ziemię nadawać?

— A zawsze ta różnica między białą a czarną kością, — odezwał się Smarczek z urazą, — zawsze jaśniepańska pycha, polska wada, która nam, Białorusinom, nie zda się na nic.

— Powiedzcie, wasz lud krwią swoją obronił tę ziemię, jak przodkowie moi? — rzucił wyniosłe Wasilewicz.

— Czyż nie jedna jest cena potu i krwi? — wybuchnął Smarczek.

— Oj, niejedna, — westchnął Skrzeżetowicz, — siedziałem ja w czczewczajce, skazany na śmierć. Cztery dni myślałem o egzekucji, przeżywałem ją męką nerwów i tętnem zamierającym serca. Zamieniłbym wtedy dolę skazańca na życie bylejakie, w ciężkiej orce, w rąbaniu drzew, przy jednostajnym warczeniu maszyny, aby patrzeć jeszcze na trawę i słońce. Byłem też ranny i konałem na pobojuwisku, gdy mnie znaleźli sanitariusze. Poznałem to. Wierście mi: nie jedna jest cena potu i krwi, choć wy tu zadławcie się demagogją.

Wasilewicz już nie słuchał. Pogardliwe oburzenie ścisnęło go za gardło. Motłoch! I z nimi iść razem...

Pożegnał się chłodno i wyszedł na ulicę. Płynął nieprzerwany potok samochodów, dorożek i ludzi. Czuł boleśnie duszność, przeludnienie Warszawy. Czuł, jak rozpiera ją nadmiar mieszkańców, nawet tych niewidzialnych w tej chwili, w murach domów. Roilo mu się w oczach, jakby miał przed sobą wstęgę wirujących plam. Jak na obrazie Severini'ego.

Poczuł w mieście tem energję, jak parę stłoczoną w kotle, zdolną rozsadzić przegrody od wschodu i zachodu i poruszyć transmisje i tryby całej połaci Europy.

— Marsz, marsz, Warszawo! — tętniło i dudniło w potężnym ruchu miasta.

A wioska białoruska? Bo białoruskich miast dotąd wcale nie było. Chyba nie zaliczyć do nich Bobrujska, gdzie po przyjeździe Polaków nie znaleziono ani jednego Białorusina, by mianować go radnym magistratu!

Jakże odmienna od tego miasta, napęczniałego wszystkimi sokami kultury, wieś kresowa, szara i dotąd w błocie tonąca! Zewnętrznie cichy, głęboko

uległy lud, u którego nie dopytasz prawdy o jego uczuciach. Lud, który nie stworzył nic naprawdę własnego i nawet swej znikomej odrębności nie potrafił utrzymać. Był bliski spolszczenia, a potem zruszczył się bezopornie i bezświadomie. Zastąpił jarosławskimi „sitkami“, „szapkami“, swoje białe siermięgi i margielki, zarzucił gorsety u kobiet, zapomniał o pięknych deseniach samodziałów.

To była naprawdę bezosobowa czerń, która tylko dwa razy w swym letargu dziejowym dała samodzielny znak życia: mordując bł. Józefata Kuncewicza i rozbijając dwory za bolszewików.

Jakaż różnica pomiędzy nimi a wyborowym synem ziemi polskiej, włościaninem z Krakowskiego lub Łowickiego. Jakże innym był ten lud piękny, polotny, który już na polach bitew wypisał ślad swego historycznego istnienia, a teraz wchodził na dobre w szranki dziejowe!

— Jakim, pocóż od nich uciekłeś? — złapał go za łokieć zdyszany Skrzeżetowicz, który go wreszcie dopędził.

— Daj ty mi spokój z nimi! Bo powiedz mi, czemu ja nie mam pracować dla chłopu polskiego?

— Dlatego że ty musisz być z najbardziej upośledzonymi, z najciemniejszymi, — odgadł Skrzeżetowicz nagły skręt linii myślowej Wasilewicza.

Ten obrócił się gwałtownie.

— Z Gorkim trzeba iść na dno, — powiedział nienawistnie — z Andrejewym trzeba wołać jak jawno-grzesznica: — Jakie prawo masz być czystym, gdy ja jestem brudna? — Jakie prawo mam mieć kulturę i orle myśli, gdy tam, w wioskach, są myśli przyziemne, ciężkie, jak niedopieczony razowiec z otrębami, gdy

włada nimi barbarzyństwo? A ja ci powiem, że mam prawo!

Podniecenie jego opadło. Poczuł się nieszczęśliwy, chory, bezwolny. Nerwy krzyczały w nim o nowy moment podniety. Doszli właśnie do jego mieszkania. Zadzwonili i otworzyła im panna Antonina w krótkiej sukni wzorzystej. Łydki w cielistych pończochach zbyt jaskrawiły się w całej postaci. Usta krzyczały szminkowaną pręgą, a zaondulowane krótkie włosy wyzywająco zaznaczały „równe prawo do życia“.

Panna Antonina, śmiejąc się, zabrała Wasilewicza do swego pokoju. Nie robiła ceremonji ze Skrzeżetowiczem. Ten został sam, usiadł w pokoju Wasilewicza i słyszał, jak przyjaciel jego wyzebrywał coś u panny Antoniny. Potem uspokoił się i ucichł. Panna Antonina wyszła do Skrzeżetowicza.

— Widział się on z Hrybem i Smarczkiem, bo nie chce gadać, — zapytała.

— Widział się.

— I cóż?

— I nic. Durnie obiecali mu nadać Wasilewo, a on się obraził.

— Durnie i są, — powiedziała panna Antonina, frasobliwie wykończając pilniczką paznokcie, — a ja wam mówię, Skrzeżetowicz, jego prędzej trzeba do „Hromady“.

— Nie pójdzie on za mną, chyba ja za nim, — wybuchnął Skrzeżetowicz, — nie kawkom się bić o duszę sokoła.

— Co za poniżanie siebie, — zesnurowała pogardliwie szminkowane usta panna Antonina, — a ja panu mówię, że mam kaptur na tego sokoła, i pierścień dla niego, a dłużce od jego nogi w mojem ręku.

— Czy aby się pani nie myli? — ironicznie powątpiewał Skrzeżetowicz, — zdarza się zrywać sokołom z uwięzi.

— A ten się nie zerwie, — oświadczyła panna stanowczo, — nie odprowadzi mnie pan?

— A pani dokąd?

— Do „Oazy“.

— Z kim?

— Z Szyrwitzem i jego kompanją.

— Och, z tym, — zmarszczył się Skrzeżetowicz, — mówiono mi, że to agent bolszewicki.

— Mało co ludzie mówią, — obruszyła się niezbyt gwałtownie panna Antonina, — Smarczek też może przyjdzie, jeżeli kocią muzykę dla ministra skarbu odłożą do jutra.

Wyszli oboje. Wasilewicz leżał, oddając się przyjemnemu nastrojowi, jaki w nim wywołał „środek antyalkoholiczny“ panny Antoniny. Ale w pewnej chwili poczuł się niedobrze. Wyciągnął zimne ręce, szukając ratunku. Nie było koło niego nikogo. Przeniknął go straszliwy ból osamotnienia.

W zatrzasku obrócił się klucz. Wróciła żona, Wasilewicz słyszał, jak się rozbiera bez pośpiechu, ale nie miał sił zawołać. Pani Poluta, ociągając się, weszła do swojego mieszkania. Nie czekało na nią w tych ścianach nic dobrego. Potrąciła stolik i zrzuciła z niego kapelusz męża. Zajrzała do jego pokoju — nie było go tam. A więc nie wyszedł? Gdzież teraz jest? Czyżby znowu w pokoju panny Antoniny?

Nie lubiła jej pokoju. Rzadko tam bywała pomimo dobrych stosunków z wesołą i narzucającą się sublokatorką, bo w urządzeniu pokoju był dziwny brak dystynkcji. Raziło tam coś przywleczonego z Rosji:

gitara na spłowiej wstążce, na ścianie dywanik fabryczny z Turkiem, rżnący oczy czerwienizną i żółcizną barw niedobrych, jaskrawe pocztówki i reprodukcja obrazu Repina „Zaporożcy“, na łóżku samodzielnie w ordynarną kratkę szkocką.

Pani Poluta przezwyciężyła się i weszła do pokoju sublokatorów. Poszukała oczami męża. Leżał na otomanie. Głowa Turka w turbanie niesamowicie zdawała się nad nim pochylać. Leżał, rozrzucając ręce bezwładnie. Rzuciła się do niego. Podniosła jego głowę, poszukała na ręce tętna. Nie mogła zrozumieć, co mu jest. Obok leżało pudełeczko. Chwyciła je i przeczytała etykietkę...

Kokaina...

Z nadludzką siłą pani Poluta dźwignęła męża.

— Chodź, chodź z pokoju tej trucicielki, — błagała go z energią.

Wasilewicz wrócił do siebie, przy pomocy żony. Był znowu rozbity i organizm jego łaknął nowej dozy narkotyku.

— Daj, — prosił, całując żonę po rękach.

— Pociąg to uczynił?

— Zamiast alkoholu. Żeby w domu było cicho. Żeby dziecko mogło wrócić.

— Ona ci to wmówiła?

— Tak. Ona mi daje kokainę. Ona dobra.

— Zbrodniarka.

Pani Poluta zabrała fatalne pudełeczko. Wasilewicz prosił bezsilnie, całował jej nogi, obiecywał rzeczy nieprawdopodobne za jedną najmniejszą dawkę. Wreszcie wywłókł się na miasto — szukać wódki.

Pani Poluta siedziała, ścisnąwszy dłońmi głowę. Alkohol rujnował jej męża. Ale gorsza była kokaina.

Wiedziała, że po chwilach podniecenia przyjdzie ruina organizmu, rozpadanie się tkanek mózgowych. Nie wygasło w niej jeszcze doszczętnie poczucie jedności z tym człowiekiem, jej mężem. Odczuwała jego ruinę, jako zniszczenie własnej powłoki zewnętrznej.

I gorsza od tego bezsiła: dusza ukochana stacza się w dół. Jak ją zatrzymać? Skąd wziąć siły? Czuli się wyczerpani, miała wrażenie, że ma przetrącone ramiona, nogi z ołowiu, mózg, z którego wymietli myśli i wolę przeciętą, jak się przecina sznur elektryczny.

Przyszła panna Antonina nierychło po północy. Pani Poluta zawołała ją do siebie.

Oczy panny Antoniny błyszczały. Widać udała się kolacja w „Oazie“. Szminka, zda się, matowała wrodzoną jaskrawość nabrzmiałych warg. Wzorzysta suknia do kolan uwydatniała cały brak stylu jej z grubą ciosanej figury.

— Dlaczego pani daje mężowi kokainę? — zapytała pani Poluta wprost.

Panna Antonina buchnęła na twarz czerwonością piwonii, ale natychmiast znalazła się w kropce.

— Ja dla dobra pani, — rzekła z obrażoną miną, — a pani mnie wymówki robi. Kokaina alkoholików uspakaja: Hałas taki, przed sąsiadami wstyd, człowiek życia niepewny. Sama pani chciała spokoju.

— Pani wie dobrze, że nie o taką spokojność chodziło. Pani rujnuje człowieka.

— A on wódką już sam dawno zrujnowawszy się... Zresztą ja z dobroci serca. Mnie do cudzych mężów cóż... Nie chce paniczka, ja i dawać nie będę.

— Właśnie. Stanowczo żądam tego od pani. Mąż mój jest chory i bezwolny, nie wolno dawać szalonemu noża do ręki.

Panna Antonina wycofała się, ale pani Pelagja bynajmniej nie została uspokojona. Przeczuwała ze zgrozą, że czerwonogęba panna powojenna dąży w jakimś tajemnym celu do opanowania jej męża. Nasłuchiwała teraz, co ona robi w swoim pokoju. Dotąd nigdy nie zwracała na nią uwagi.

Panna Antonina przesuwiała pudełka i walizki, otwierała i zamykała szafę, przeszła w efektownym szlafrocжку do kuchni po wodę. Widocznie chciała przeczekać panią Polutę i spotkać Wasilewicza, gdy ta spać się położy. Ale Wasilewiczowa z kolei przeczekiwała ją z całą wytrwałością.

Jakoż niedługo Skrzeżetowicz przyprowadził do domu zupełnie nieprzytomnego Wasilewicza, którego spotkał w jednym z barów, uczęszczanych przez kresowców. Powrót ich oznajmiło przeciągłe dzwonicie do bramy. Pani Poluta wychyliła się przez okno. Widziała stróża w kozuchu, idącego z niechętnem mamrotaniem do bramy. Słyszała jego brutalne, złośliwe uwagi, gdy pomagał prowadzić Wasilewicza przez podwórze. Na schodach raz ozwał się silny baryton pijanego. Wreszcie dyskretnie zapukano do jej drzwi. Otworzyła — mąż zatoczył się w jej objęcia. Cuchnął wódką i śladami libacji, był wstrętny.

— Paluta, żonka, dyk nia sierdisia, — mruknął pojednawczo.

— Nie wstyd ci pana Skrzeżetowicza?

— Skrzeżetowicz też pił, — odparł wśród czkawki.

— Ładny z pana przyjaciel, — ostro krzyknęła pani Poluta.

— Ja cóż, — usprawiedliwiał się napity, ale nie pijany Skrzeżetowicz, — ja — jak korek na wędce — pójdzie w dół, i ja razem, wypłynie — i ja z nią na

wierzchu. Duch większy odemnie — gdzie nam jeszcze stawiać przegrody! Może to jemu potrzeba, bo ciasnego naszego życia wytrzymać nie może.

Pani Poluta machnęła beznadziejnie ręką i zamknęła drzwi za nim.

Wasilewicz, uderzając o ściany i drzwi, doszedł do swego pokoju, runął na tapczan i zasnął.

Pani Poluta usiadła nad nim i wpatrzyła się w niego. Miotał nią wstręt do tego człowieka, który miał do niej prawo, któremu przysięgła miłość.

— Tyżeś to miał mnie osłaniać i prowadzić? Takeś to sponiewierał męskie starszeństwo twoje? — wyszepiała ustami drżącymi z żalu.

Wzrok jej padł na reprodukcję idealnej głowy Chrystusa Guido Reni, zawieszoną na ścianie. Najwyższa nauka o miłości, udzielona przez malarstwo rodzajowi ludzkiemu, spłynęła na nią od tej skroni, okaleczonej cierniami. I dalej przypomniła sobie św. Krzysztofa, tulącego do siebie w łożu trędowatego, okrytego okrutnymi ranami. Przypomniła sobie, jak św. Franciszek z Assyżu jeszcze jako bogaty młodzieniec, oddany zbyt kom i zabawom, spotkał na swej drodze trędowatego i ucałował jego dłoń, niby wysłańcowi Chrystusa.

A oto leżał przed nią mąż jej, gorszy od trędowatego, poniżony, z duszą pełną ran, wzbierającą ropą złych czynów. Wyobrażała sobie straszliwą każdodzienną mękę tego grzesznego człowieka, który wiedząc o najwyższem, tarzał się w prochu.

Wydał się jej chorym, najstraszliwiej nędznym i nieszczęsnym. Ogarnęła wzrokiem jego postać w ubraniu pogniecionem, jego nogi, utaplane w błocie ulicznym! Ze wzbierającą po brzegi serca miłością ucałowała jego rozburzone włosy.

VI

Pani Poluta wracała do domu, przebierając swe smutki, jak paciorki nanizane na sznurek. Tęskniła za Anią. Musiała znosić pannę Antoninę, której głód mieszkaniowy nie pozwalał usunąć z domu. Mąż jej kokainizował się w dalszym ciągu, zapewniając, że na własną rękę dostaje narkotyk. Pani Poluta nie wierzyła. Była przekonana, że panna Antonina nie zaniechała swych świadczeń. Wasilewicz upadał moralnie coraz głębiej i coraz straszliwiej rujnował się intelektualnie — zaniedbywał się przez to w pracy i widocznie ukrywał przed żoną część zarobku. Nędza stała przy ich mieszkaniu na straży i nie sposób jej było odpędzić.

Przed drzwiami swego mieszkania pani Poluta ocknęła się z zamyślenia, wyjęła klucz i cicho otworzyła zatrzask. W mieszkaniu panowało milczenie. Nagle nerwami pani Poluty wstrząsnął rechot panny Antoniny, potem — jakby mlaśnięcie.

Zdrętwiała od stóp do głowy. Potem z odwagą skazańca, kładącego głowę pod nóż gilotyny, nagle otworzyła drzwi.

Zobaczyła ich głowy na tle jaskrawego dywanu z Turkiem, który nad nimi wyszczerzał zęby w ohydny uśmiechu. Zobaczyła twarz tak niegdyś ukochaną zdegradowaną przez tępy dosyt fizyczny, który zdmuchnął z niej uduchowienie, pogrubił rysy, powłókł nieprzyjemną mgłą oczy.

Ale wnet głowy gwałtownem szarpnięciem oddaliły się od siebie...

Pani Poluta poczuła strach, jak przed otchłaniami i spuściła oczy, jak człowiek kulturalny, kiedy spotyka nieprzystojny widok. To zbyt blizna dwóch głów, ten wyraz ich twarzy powiedział jej wszystko.

Zamknęła bez hałasu drzwi. Poszła do siebie. Nogi uginały się pod nią. Osunęła się na krzesło. Ale wśród zupełnego rozbicia dzwignęła się ostatnia myśl, jak bandera na tonącym okręcie.

— Nie okazać im, nie okazać, nie okazać...

Drżącymi rękami wyjęła maszynę do szycia. Podłożyła dwa bryty materiału. Zawarczało koło...

Nie było w niej łez. Tylko nagła pustka zimowa. Cmentarz zawiany śniegiem. Kilka krzyżów złamanych. Gwiżdże wichry, okręcając krzyże tumanem śniegu. Gwiżdże przejmująco, długo, bez końca. Skrzypią krzyże. Śmiertelny chłód...

Po chwili wszedł blady Wasilewicz. Był dziś trzeźwy zupełnie. Usiadł przy żonie. Szyła dalej, jakby go nie było w pokoju.

— Polutek, — rzekł po dawnemu, jak w dniach szczęścia.

Nie odzywała się, energicznie prując materiał, który zeszyła na lewą stronę.

— Posłuchaj mnie, — nalegał znowu.

— Słucham ciebie, — odparła twardo, jak sędzia, odsunęła robotę i utkwiała w niego zwysoka oczy nieublagane. Wasilewicz zadrzał.

— Nie mogę mówić, kiedy tak na mnie patrzysz.

— Dawno nie lękasz się mego wzroku, dawno nie słuchasz moich słów.

— Poluto, nie myśl, że mi na tej Antoninie zależy.

Nie myśl, że ją kocham. Pal ją sześć. Muszę trochę pomizdrzyć się do niej, bo inaczej mi nie daje kokainy. Ale dosyć tego trucia się. Przestane, tylko przebac. Przysięgam ci...

Zmierzyła w myśli głębie jego upadku.

— Nie wytrzymasz. Złamiesz przysięgę.

— Wytrzymam. Natęzę wolę, będę się modlił. Zamknij mnie na klucz w pokoju. Wypędź tę kobietę. Czasami chcę jej głupio, bestjałsko, jak wódki lub kokainy. A ciebie kocham. Wybacz, że śmiem wymienić jej imię po twojem imieniu. Myśmy złączeni doborem dusz...

— Jeżeliśmy złączeni doborem dusz, musimy być we wspólnej Ojczyźnie. A ty się odrywasz od Polski.

— Biedny, ciemny lud mnie woła. Chrystus kazał schodzić ku ciemnym i niewyzwolonym.

— Nie bierz imienia Pańskiego nadaremno. Stoczyłeś się ku nim a ich ku sobie nie podniosłeś. Jeden jest kamień probierczy wszystkich dróg: czy idą w górę. Jak kłoda zrąbana, toczysz się na dno.

— Zatrzymaj mnie. Ale ty mnie nie kochasz. Przez ciebie mówi obowiązek, litość — czyż masz siłę mnie zatrzymać? A tamta mnie kocha.

— Bądź dawnym, wróci dawna miłość. Gdybym kochała ciebie takim, jak jesteś teraz, pokrzywdziłabym ciebie w prawdziwej twej istocie, która jest, choć grudem przysypana. Skaleczone drzewko puszcza nowe pędy...

Wasilewicz nachylił się i ucałował rękę żony. Rozdarło mu serce oszpecenie i sponiewieranie tej wąskiej dłoni, na której przez skórę atlasową przeświecały niebieskie żyłki. Ale nic nie powiedział. Och, powie jej potem, kiedy znowu mężnie się weźmie z życiem za bary i od wszelkiego zła ją ochroni.

Wyszedł na miasto z mocnem postanowieniem niezaniechania się więcej w pracy. W oczach mu stała twarz żony taka, jak w chwili, gdy ukazała się na progu pokoju panny Antoniny. Usta miała pół otwarte, długie jej ząbki zabielały wśród warg w bezwolnym uśmiechu męki. Na kredowej twarzy stało śmiertelne przerażenie i znieruchomiło w orbitach oczy.

Jak na kliszy odbiła się na duszy jego twarz ta, uosabiająca ból, wszczepiany jego rękami. W mózgu ciężko zabiły mu tętna. Zmiażdżyło go poznane w nagłym olśnieniu i zmierzone cudze cierpienie.

Zakołysał się od męki nie do zniesienia. Ciężiej jest cios zadawać, niż przyjmować. Musi odpokutować, odrobić. Poluta mówiła bez urazy i nienawiści, bez potępienia i nawet już bez rozpacz: — Nie wytrzymasz. Złamiesz przysięgę.

Niema siły w nim, ale i w niej niema. Opanowało ją kamienne przemęczenie, kiedy wszystko już staje się obojętne. Zdrętwiała, znieczuliła się na zęgadła codziennego dnia.

Przypomniawszy sobie płytki stawek w wieńcu starych lip gdzieś tam na dalekim podwórzu okólnika w Wasilewie. W lipcu, w upały woda wysychała. I na miejscu okrągłego zwierciadła powstawała szara, spękana skorpupa, mozaikowana uszlęmi grązelami i rzęsą.

W bezlitosnym żarze wśród palącego samumu powojennego wyschła jej dusza. Więc gdzie oparcie? Onaż zdoła je dać?

Bezradny szedł wśród dwóch równych linii kamienic. W dalekim wylocie ulicy stanęła czerwona kula słońca, jakby wyszrzelona z kamiennej lufy. Obcość straszliwa w mieście rozległem... Niema pomocnych dłoni. Niema ratunku...

Wrocie miasto gadało niegłośnym, przedwieczornym gwarem.

Nagle ogarnął go głód kokainy, rozpacz nerwów, pustka jakby wyssanego organizmu... Wyszedł w Aleje i usiadł na ławce. Nieznośnie zadzwonił tramwaj. On nie ma dokąd jechać...

Dawnej Poluty niema. Mądre jej usta mówią o obowiązku. Mądre słowa rzuca mu jak proszek wyschłych i startych kwiatów, które ongi miały barwę i aromat...

Och, zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć...

Powlókł się do baru szukać ludzi i wódki.

Tymczasem pani Poluta siedziała dalej, ściągając coś automatycznie i oddając się naturalnemu uczuciu ciekawości: co teraz tamta uczyni?

Wyrzucić ją? Jak służącą, którą się przyłapało na zalecankach z panem? Byłoby to dziwnie banalne. Pani Poluta strzepnęła pokłutą rączką.

Panna Antonina zaczęła (wyzywając, tak się здавало pani Polucie) brząkać na gitarze. Potem przestała. Pani Poluta zasłyszała jej kroki w korytarzu, koło drzwi.

Idzie. Och, Boże, ma naprawdę bezczelność iść tutaj.

Weszła w rzeczy samej. Usiadła z niezamąconym spokojem, zanuciła parę taktów shimmy i rzekła wesoło:

— A pani tu naturalnie siedzi, tragedję klasyczną na sobie napuściwszy!

Panna Antonina kończyła kursy w Moskwie i umiała dobrze tylko po rosyjsku.

Pani Poluta spojrzała na nią raczej ze zdumieniem, niż oburzeniem. Odezwała się chłodno:

— Proszę opuścić ten pokój.

— Mogę opuścić pokój, mogę i mieszkanie, a dalej co? Kluczyk od zamku u mnie zostanie.

Pani Poluta milczała, rozważając groźne znaczenie tych wyrazów.

— Ja pani powiem. Dwie dusze u niego. Jedna polska, pańska jego dusza jest przy pani. A druga — chłopska, białoruska do mnie się rwie. I jedna ciągnie, i druga. Dlatego nie żyć jemu po trzeźwemu.

— To cóż, ginąć ma człowiek?

— Poco ginąć? Z jednej strony przestać ciągnąć, pójdzie na drugą i uspokoi się. Ktobądź ciągnąć przestanie. Ja, albo pani?

— Czemuż pani nie przestaje ciągnąć?

— Moja strona silniejsza. Nie odciągnęłaś go pani dotąd — i nie odciągniesz. A miała pani na to dość czasu.

Pani Poluta milczała zmiażdżona słuszością tej uwagi. Widziała teraz nikłość wszelkich dobrych zamierzeń i obietnic Wasilewicza. Walka w nim trwa — a nim się rozstrzygnie — może chora ta dusza zmaruje się na wieki.

— Niech on już pójdzie raz na jedną stronę, — z wilczym połyskiem oczu prawiała panna Antonina, — to jemu i kokainy i wódki nie trzeba. Jak już człowiek jednego się trzyma, czegoż jemu się szarpać? Cóż, że Polakiem nie będzie? Zato choć człowiekiem zostanie. Bo ja ciągnąć nie przestanę, aż przeciagnę.

Grube i szerokie jej wargi, tak jaskrawe, że bardziej matową wydawała się od nich szminka, zacięły się energicznie. W całej twarzy karykaturalnie uwydatniła się ta czerwona kresa ust, krzycząca głodem niezdrowo podrażnionych zmysłów.

— Jak mam panią rozumieć? Przestanie pani truć mego męża kokainą, jeżeli się go wyrzeknę?

— Toż pani zawsze powie! Aż człowieka w dzie-

siątą piętę zaświerzbi! A tak mnie rozumieć jak jest: człowiek się nie dwoi, nie szarpie, robak go nie gryzie, nie trzeba i zalewać robaka!

— Więc chce pani wyrwać z niego Polskę, jak niepotrzebnego robaka?

Panna Antonina spojrzała na nią twardo oczami, jak czarne jagody — pijanice.

— O, nie tylko Polskę!

Pani Poluta siedziała bardzo blada. Czuła, jak za ramiona kładzie jej skrzydła poryw męczeństwa. Serce jej wzbierało goryczą i upojeniem najwyższej ofiary.

I nagle coś szepnęło: — Gdzież prawo do takiej ofiary? Ale piękno pozy poniosło ją. Nie usłuchała tego głosu.

— Gdybym wiedziała, że ozdrowieje, za siebie wyrzec się go mogę, za Polskę — nigdy.

— Więcej i nie trzeba — surowo rzekła panna Antonina — nie zachodźcie nam, pani, drogi, to i my wam z oczu zejdziemy.

Już jej dawno nie było w pokoju, gdy pani Poluta ocknęła się z ciężkiego odrętwienia.

Wydała się sobie bohaterką z romansów przedwojennego okresu, gloryfikujących męża lub żonę, którzy dawali swej ślubnej połowie wolność w imię szczęścia.

Opleciono to wyrzeczenie czarami poezji. Słodka Selizetta Maeterlincka wyrzeka się męża, dla szczęścia jego i Aglaweny i odbiera sobie życie. Ibsenowska Hilda jest pełna uroku obok nudnej, powszedniej pani Solness, pogrążonej w swoje zmartwienie. Ewa ze „Śniegu“ Przybyszewskiego zwycięsko pobija dobrą Bronkę. Rautendelein Hauptmanna jest snem artystycznym i odbiera Henryka jego żonie Magdzie, istocie przeciętnej, po której zostaje tylko ciężki dzbanu-

szek łez. W setkach utworów małżeństwo jest przedstawione, jako niewola pętająca skrzydła ducha, jako nudna, bezmiłosna szarzyzna, w którą wdziera się pierwszy wiałek triumfalny, ożywczy — miłość.

Taranem nieodpartym piękna bito w instytucję małżeństwa. Pociskami drwin, ironij, groteskowego komizmu i brzydoty tępiła monogamię literatura francuska.

W bezwyznaniowej literaturze realistycznej i w rozluźnionem życiu sfer rewolucyjnych urosła na postać szlachetną żona, która wspaniałomyślnie i dobrowolnie daje mężowi „wolność“: — Nie mogłeś być ze mną szczęśliwy... Niech z nas trojga tylko ja...

Pani Poluta nie zrywała nigdy z Kościołem, ale różne i sprzeczne formacje uczuciowe i umysłowe współczesności bytowały w niej obok siebie jak warstwy osadowe w łóżysku strumienia. Dopiero uderzenie burzy mąciło namuły i wyrzucało na wierzch gnijące rośliny i żwir, i piasek, i błoto. I wtedy w kotłowaniu mętnych pian widziało się, że nie jest przejrzysty ten nurt, że trzeba oczyścić dno.

Wywyższała ją we własnych oczach myśl, że wyrzeka się męża dla jego szczęścia. Upajała się wzniosłą goryczą tego wyrzeczenia.

Ale z głębin nieświadomych pukał o próg świadomości głos. Wiedziała, nie chcąc tego za nic sformułować słowami, że zraził w niej wszystkie instynkty kobiety ten mąż — nałogowiec, często brudny i nieestetyczny. Nie poznawała w nim dawnego wytwornego salonowca, który w życiu codziennem zachowywał tem ściślejszą elegancję i etykietę, by nadać mu artystyczną odświeżoność, by go nie spospolitować. W człowieku tym społecznictwo było tylko gałęzią, przeszczepioną na gruby pień indywidualizmu, cokolwiek sybaryckiego.

Lubił bardzo cytować słowa Wilde'a, że największą sztuką jest życie. Umiał rozkosze zmysłowe oprawić w poezję, przedestylować przez intelekt, aby utraciły brutalny pot i wyziew cielesności.

Teraz było to duże ciało, sponiewierane przez brzydotę namiętności, targane niemi bezwolnie, jak kuter z żaglem złamanym. Znikła wytworność, z miejsc hulanki przywłókl do domu brutalność. Na podłożu bezwoli i stopniowej degeneracji moralnej pleniły się wszelkie wady, jak huby na zgniłym pniu.

Trzebaby go dźwignąć potężnym wysiłkiem własnej woli, wywołać wstrząs sumienia, przerazić je, olśnić potem wizją szczęścia odradzającej się duszy. Ale nie czuła sił. Wola jej też została przecięta. Miała wrażenie, że ma przetrącone ramiona, że ma serce tak słabe, żeby pękło za łada natężeniem woli, że w mózgu niema wcale krwi, a z płuc nie mogłaby wydobyć dmuchnięcia, od któregoby się najmniejszy ogień rozjarzył.

Była zmęczona tak okropnie, że jedynem jej pragnieniem było zostać tak w letargu, nie czynić żadnego wysiłku. Wyrzekała się męża, aby nie dźwigać odpowiedzialności. Wyszepiała, zapadając w martwość:

— Już nie dźwignę... Już nie podołam... Dajcie spać... Niech kto inny...

Dowlokła się do łóżka w zupełnem wyczerpaniu ducha i ciała i zapadła w ciężki sen.

VII.

Wasilewicz wszedł do przedpokoju i oficjalnie, zdaleka ledwo dotykając ustami dłoni, przywitał żonę. Nie było go w domu od kilku dni. Od kilku dni również wyprowadziła się panna Antonina.

— Chciałbym zabrać moje rzeczy, — głosem sztucznie suchym rzekł Wasilewicz.

Pod panią Polutą ugięły się nogi. Nie zdawała sobie sprawy, co dalej będzie — odpoczywała przez te parę dni bez awantur alkoholika. Ale chwila rozstania, mająca przeciąć tak silnie zadzierzgnięte węzły życiowe, uderzyła w nią, jak obuchem.

— Nie chcę ogałacać twego gospodarstwa — rzekł uprzejmie Wasilewicz, — zabiorę tylko to, co mi potrzeba do osobistego użytku.

— Mnie... cóż... nic nie trzeba... Ale dla Ani...

Wasilewicz drgnął i zbladł. Usiadł na najbliższym krześle, trzymając kapelusz w ręku. Potem kapelusz z rąk bezsilnych wypadł na podłogę. Mężczyzna zasłonił twarz rękami. Gdy odjął je po chwili, twarz jego dyszała nienawiścią.

— To ty pozbawiasz dziecko ojca. Rozbijasz rodzinę.

Pani Poluta ze zdziwieniem otworzyła usta i milczała.

— Tak, patrz, patrz, dziw się, — wybuchnął, — cnota farbowana, niewiniątko! To ty się mnie wyparłaś. Jak Judasz Chrystusa.

Pani Potula zapytała:

— Co robiłeś wieczorem po przyrzeczeniu, które mi dałeś?

Wasilewicz spuścił głowę. Dnia tego podniesiono go nieprzytomnego na ulicy.

— Masz siłę, to wróć. Ja ciebie zawsze przyjmę. Jak siostra brata. Jak żona męża.

Ale Wasilewicz powtarzał uparcie, manjacko:

— Tyś się mnie wyparła. Tyś się mnie wyparła.

Pani Poluta czuła, że może go zatrzymać krzykiem dawnej miłości, wydobytym z dna duszy. Ale dusza jej była odrętwiała, jak organ zamrożony. Była niema i okaleczona.

Patrzyła bezmyślnie, jak mąż zdejmował ze ściany widoki Wasilewa, zwijał ulubiony swój kilim tkany w tamtych stronach, pakował do walizki papiery i książki. Pusta etażerka, puste ściany. Wreszcie zgromadził wszystko na środku pokoju. Odetchnął głęboko i otarł pot z czoła.

Pani Poluta rzekła głucho:

— Ania przyjdzie na to miejsce...

— Wyrzekłaś się mnie, oddałaś innej kobiecie, — z zawziętością rzekł Wasilewicz.

Wyszedł na schody i zawołał czekającego tam posłańca. Pani Poluta ukryła się w swym pokoju, żeby nie widzieć, jak wynoszono rzeczy. Doznawała boleśnego nie do zniesienia ściśnięcia serca. A jednak nie mogła zdobyć się na to, by wyjść z zamurowanego więzienia bezwładu. Chore serce zrywało się w podrzutach i opadało.

Wasilewicz podszedł do niej. Mocno ujął jej głowę w ręce i pocałował w czoło.

— Dziękuję za radość w dniach miłości, dziękuję za pogardę i potępienie.

Załkał sucho, szarpnął się, jakby się odrywał pręmcą i wypadł na schody.

Drzwi zostały za nim otwarte. Pani Poluta patrzyła w pusty otwór. Może wróci?

Zamknęła drzwi głośno, żeby przekonać się, że to nie sen. Obeszła pusty pokój. Na obiciu po obrazkach i kilimie zostały puste prostokąty. Tania wiklinowa etażerka przechyliła się po zdjęciu ciężkich tomów.

Rzuciła się do okna. Dorożka naładowana rzeczami ruszała właśnie z przed bramy. Wasilewicz jedną ręką przytrzymał pakę książek, obwiązaną kilimem w zielone i fioletowe kraty, drugą zaciskał na rondzie kapelusza, który z głowy zrywał mu wiatr.

Nie spojrzął ku oknom. Dorożkarz z czarniawą, arogancką twarzą zaciął konia batem i odjechał.

Pustka... Choćby wrócił ten głos, niegdyś tak szarpiący nerwy:

— Paluta, żonka, czamu nia puszczajesz moich siabrou?

Ciężkie łzy spadały jedna po drugiej na ręce pani Poluty. Była zamurowana w więzieniu bez wyjścia. I nie było wyzwolenia w ściśniętej jej piersi, która nie mogła ani westchnąć swobodnie, ani spłynąć odrazu wszystką krwią z niegojącej się rany.

Jałowa pustka... Cmentarz zimowy... Wyje wicher i obmotuje płachtami śnieżnych tumanów złamane krzyże... Tęsknota wyjąca... Skrzypią krzyże...

Śmiertelny chłód...

VIII.

Wasilewicz wstał po małej dawce kokainy, którą zostawiła mu wczoraj panna Antonina. Mieszkał teraz u Skrzeżetowicza. Mieli iść razem do sejmu, do posła Smarczka. Skrzeżetowicz już dawno był gotów i czekał cierpliwie na przyjaciela. Wyszli niebawem na ulicę.

Wasilewicz szedł rzeźwo i myślał o cudownej roślinie andyjskiej, która Indianom z Peru, Ekwadoru i Boliwji pomaga wchodzić na góry, gdy pędzą karawany obciążonych łam. Majaczyła mu w oczach żółta heliografiura jakiegoś staroświeckiego tomu z Wasilewa, przedstawiająca Boliwijczyka w okrągłym kapełuszu, który wchodzi pod górę z długoszyją lamą.

Jak japońskie kakemono, rozwinął się w pamięci zwiitek kolejnych obrazów. Kąt czytelnicy w Wasilewie. Duży fotel obity skórą. Bukiet róż na okrągłym stole. Obok kilka książek w okładkach ze starej brokateli w złociste kwiaty. Rozrzucone noże do przecinania kartek. Staroświecki srebrny z rączką z masy perłowej. Zakopiański drewniany z szarotką. Modny batikowany, który przywiozła z Warszawy Poluta.

Mówił jej żartem:

— Nie dawaj mi noża, Poluta, nie dawaj. Pokłócimy się i rozejdziemy.

A ona, filigranowa, złotowłosa markiza w różowej sukni podnosi ku niemu głowę przekornie:

— A chcę, żebyśmy się pokłócili, a właśnie chcę...

W złą godzinę zbyt pewna siebie radowała się, jasnowłosa Poluta!

Byli na rogu ulicy, gdzie mieszkała jego żona. Wasilewicz poczuł płacz wewnętrzny. Do tamtego domu, po tamtych schodach wróci Ania...

Weszli w ulicę Wiejską. Na wstępie gmach w nowoczesnym stylu zaznaczył rozbudowę stolicy. Za nim — cienisty ogród Frascati, przed którym zatrzymał się w tej chwili samochód poselstwa rumuńskiego. I oto były Instytut Maryjski — obecny gmach Sejmu.

— Czemu oni wybrali ten gmach? — rozmyślał głośno Skrzeżetowicz, — gmach niedobrej sławy. Podobno było tu przejście podziemne do Belwederu. Działy się w tym zakładzie wychowawczym rzeczy gorsze i potworne. I to miejsce skażone stało się miejscem obrad narodu. Jeżeli ze spirytystami mamy wierzyć w złe wpływy, przywiązane do pewnych miejsc, to jużci, że tu jakiś wysłaniec Belzebuba pomaga posłom mącić narodową kadź.

Wasilewicz potakiwał machinalnie, zajęty własnymi myślami. Doszli do kraty, wzdłuż której stał sznur dorożek i samochodów. Znaleźli się w przedsionku Sejmu. Powitała ich rośła, wąsata postać funkcjonariusza straży marszałkowskiej w kolorowym mundurze.

Z jednej strony patrzyła na nich ogromna tablica z rozkładem posiedzeń komisji, z drugiej — kiosk z książkami i czasopismami wytrzeszczał litery na okładkach sensacyjnych wydawnictw.

Biegnący w głąb korytarz, niedostępny dla publiczności, przejmował szacunkiem dla wnętrza, podzielonego na pszczele komórki klubów i brzęczącego nieustannym, pszczelim pogłosem — chociaż, niestety, skąd stąd szło na naród miodu.

Wasilewicz wraz ze Skrzeżetowiczem udali się do poczekalni na prawo. Skomunikowali się przez telefon z posłem Smarczkiem, który obiecał wkrótce zejść po ukończeniu konferencji klubowej. Weszli więc do ciasnej poczekalni i zajęli miejsca w ciemnym kącie za kolumnami.

Wasilewicz rozglądał się ciekawie. Rabin małopolski w białych pończochach, atłasowym chałacie i lisiej czapce gorąco szwargotał w żargonie do posła w marynarce, który słuchał z należnym szacunkiem, jakiego napewno nie miał dla żadnego z polskich ministrów. Z koszykiem w ręku stała babina z pod Łowicza, żywy okaz folklorystyczny, choć na pokaz dla zagranicy, w pasiastym wełniaku, jedwabnym gorsecie w grzebienie, w salinówce na głowie. Godnie i statecznie przemawiał do niej jej chłop w wysokich butach i czarnej sukmanie. Suweren troskał się o „swynioki“, o pastwisko, o urodzaj pszenicy. Zapowiadał, że choćby Sejm miał się zapaść, przyjedzie pomagać we żniwa. I tak dość nieszczęścia, że „trawę siekli przez niego“.

Hałaśliwie wszedł inny poseł w ubraniu marynarkowem w kratki, w wysokich butach i czerwonym krawacie. Podniósł się na jego spotkanie człowiek o rękach urobionych, w kaszkiecie, z ziemistą, zatroskaną twarzą.

Namolnie jął wykladać swoją sprawę. Ale sprawa była nieefektywna, nie przydatna do rozdmuchania w ogień do upieczenia jakiegokolwiek pieczeni partyjnej. Chodziło o dopomożenie człowiekowi, naprawdę pokrzywdzonemu. Działać tu mogły chyba tylko pobudki etyczne. To też poseł kręcił swą twarzą ceglastą z czarnym zarostem i obgryzał paznogie z czarną obwódka.

— Partja nic niema do tego, — wykręcał się, —

rozumiecie towarzyszu: sprawami osobistymi nie możemy się zatrudniać. Zapomnieć trzeba o sobie.

— A czemuż to mówią agitatorzy: — Nie dla Królestwa Niebieskiego, a dla szczęścia własnego! Tu na ziemi damy wam szczęście! Ksiądz jak każe o szczęściu tutaj zapomnieć, przynajmniej zbawienie obiecuje. A wy mi każecie wyrzekać się siebie dla idei — a co dacie?

— Towarzyszu, jesteście bardzo nieuświadomieni. Szczęście może być w przyszłym ustroju, a w burżuazyjnym ustroju kapitaliści nam go bronią.

— Mnie tu nie kapitaliści krzywdzą, a sami towarzysze.

— A właśnie! Dla was będziemy z ogółem towarzyszy we fabryce zadzierać. Żeby tam na naszą partję przy przyszłych wyborach nie głosowali! Wypchajcie się towarzyszu, i nie zwracajcie nam gitary.

Zgnębiony robotnik odszedł, gniotąc kaszkiet swój w rękę. Do suwerena w czerwonym krawacie podszedł drugi ze zmysłową i sceptyczną twarzą, ubrany w wyszukaną elegancją. Ślicznie zaprasowane spodnie, wymanicurowane paznogie, bielizna bez skazy, złoty zegarek i brylant na palcu.

— Czy wy tam nie za ostro odprawiacie człowieka, towarzyszu? — zagadnął, — może to facet wpływowy na swoim gruncie.

— Jakby był wpływowy, toby sam dał sobie radę — odciął tamten.

— Racja — zgodził się elegancki towarzysz.

Wasilewicz przyglądał się z zainteresowaniem kalejdoskopowi twarzy w poczekalni. Dojrzał jednego z posłów białoruskich, znanego sobie tylko z widzenia. Rozmawiał on bardzo cicho i ostrożnie z osobnikiem

o ostrej, zawziętej twarzy semickiej, na którym polor warszawski wyglądał, jak coś obcego.

— Gdzieś widziałem tego osobnika, — przypominał sobie Wasilewicz.

Skrzeżetowicz wiedział dobrze, że to. Szyrwitz, ale nie mówił nic, bo panna Antonina obiecała, że pokłóci go z Wasilewiczem, jeżeli mu będzie gadał o Szyrwitzu. Pomyślał tylko:

— Czego i ten wlaźł do Sejmu?

Głośno, gorąco wymówione zdanie pociągnęło uwagę Wasilewicza. Pochodziło od wysokiego blondyna o cienkich rysach miękko uwydatniających się na tle przeczystego owalu twarzy. Jego niebieskie oczy były zasnuwane mgłą marzenia. Zdawał się dostrzegać sprawy tylko przez srężogę swych snów.

Powtórzył do swego interlokutora:

— Wy nie macie całej prawdy, dbacie tylko o jedną warstwę narodu, chociaż w programie napisano jest inaczej. A gdzież cały naród?

Wasilewicz zainteresował się, z kim rozmawia ten idealista. Zobaczył drwiącą twarz czerwoną od egzemy z siwiejącą czupryną, ostrzyżoną na jeża. Był to Gąbaniewski. Ukłonił się Wasilewiczowi zdaleka dość sztywno. Wszelako, dokończywszy niecierpliwie rozmowy z poszukiwaczem prawdy, zbliżył się i przywitał z obu panami.

— Co to za naprawiświat, któremu w tej oto Niepodległej Polski suwerennym Sejmie strzeliło do głowy szukać prawdy? — spytał Wasilewicz — ale powierzchowność ma wyjątkowo szczęśliwą!

Gąbaniewski skrzywił się.

— Ten, to Białecki. Dobrze pan go określił. Naprawiświat. Taki niezdrowy typ z Żeromskiego. Nie

zdaje sobie zupełnie sprawy z rzeczywistego układu stosunków. Chce absolutu dobra w polityce. I że też są jeszcze takie zwarjowane typy! Na nic dla nas lekcje historii. Wszyscy dokoła będą robili interesy, a my przyoblecemy się w togę wzniosłości i będziemy dla innych wyciągali kasztany z ognia. Człowiek przekreślony. Romantyk.

Wasilewicz spoglądał z żywą sympatją na przekreślonego człowieka. Zaakaparował go w tej chwili pulchny i przyjemny sekretarz wielkiego dziennika przeciwnej partji, mający w nim także mocne stanowisko, jak i w sercu redaktorowej. Był to różowy gentelman, dostatecznie nadziany jadłem i napojem, wyroczny, jak Pytja, wszechwiedzący, jak księga informacyjna, uprzejmy dla wszystkich z wyjątkiem zaczynających literatów.

— Ten dureń gotów pójść do nich, — spojrzał na nich Gąbaniewski zjadliwie i machnął ręką: — Mała szkoda, krótki żal.

Rozmawiając jednak z Wasilewiczem, mimowoli na nich spozierał i tłumiona złość widocznie w nim nurtowała.

Nadbiegł śpiesznie aż nieco zadyszany poseł Smarczek. Wasilewicz poczuł znowu odruch antypatji, tembardziej, że Smarczek po drodze wymienił uścisk dłoni z Szyrwitzem. Ale doktryneryzmem próbował opanować to wrażenie.

Ruch dopiero się zaczyna, inteligencja dopiero się formuje — skąd u nich orły i wzniosłe apostoły? Im mniej typów dodatnich, tem prędzej trzeba jąć się pracy.

Smarczek przywitał się niezręcznem podaniem dłoni, po którym zawsze można poznać człowieka, co wyrósł bez form towarzyskich.

— Wybaczajcie, zrobcie łasku, — krzątał się Smarczek, podsuwając krzesła. Wasilewicz podświadomie odczuł przykrość, że on się tu czuje, jak u siebie w domu.

Wasilewicz krótko wyłożył sprawę. Przy pracach delimitacyjnych zostawiono jego jeden folwark, mały coprawda, po stronie polskiej. Chce tam pojechać. Nie mógł tego dotąd uczynić, gdyż było niebezpiecznie, dywersja tam grasowała. Ale teraz, kiedy objął granicę K. O. P...

Na wzmiankę o Korpusie Ochrony Pogranicza Smarczek skrzywił się i rzekł z goryczą:

— Zawsze interes pański inny będzie, jak nasz chłopski...

— Czemu inny? K. O. P. i chłopów broni przed napadami — niedawno odebrali krowy bandytom, co napadli na zaścianek.

Smarczek nie podjął tej kwestji. Słuchał tylko z wielką satysfakcją, jak Wasilewicz proponował mu towarzyszyć na kresy. Wiedział bowiem przez Skrzetowicza, że Smarczek jedzie też w tamtą stronę z agitacją poselską.

— Cóż, bardzo dobrze, — radował się Smarczek, zacierając włochate ręce, — samowyznaczajcie się prędzej, nam rąk do pracy potrzeba. Zakładamy teraz „Hurtki“...

— Właśnie na te „Hurtki“ chciałem popatrzeć. Będą to zapewne ośrodki oświatowe?

— Zobaczycie, — uśmiechnął się Smarczek, — popatrzycie na naszą pracę. I dajcie już nam odpowiedź.

— Za powrotem odpowiem, — rzekł Wasilewicz powściągliwie.

— Ot i dobra. Wybaczajcie, muszę biec na ple-

num. Dziś dyskusja nad exposé ministra. Będzie hułałnia. Niczem „Qui pro quo“. Polakom płacz, a nam śmiech.

— Szkoda, że żyjąc przez tyle wieków pod jednym dachem nie nauczyliście się jednocześnie z Polakami śmiać i płakać, — ostro rzekł Wasilewicz.

Smarczek wtulił głowę w ramiona.

— A czy nie mógłbym dziś wejść na galerję? — zapytał Wasilewicz, — nie byłem jeszcze ani razu w Sejmie.

— No, jakto, w Teatrze Polskim pan był, w „Oazie“ pewnie też, a w Sejmie suwerennym ani razu — cha, cha, cha! Kancelarja biletów już nie ma, ale u nas w klubie został jeden dla białoruskiego prychnika, który tak gorliwie zwiedzał Warszawę, że od wczoraj nie wytrzeźwiał. Zaraz panu przyniosę.

Pobiegł gorliwie i niedługo wrócił z biletem. Odprowadził jeszcze Wasilewicza na galerję, ulokował go, uklonił się parokrotnie a oblesnie i odbiegł drobnymi kroczkami.

Wasilewicz z dziwnem uczuciem rozejrzał się po sali sejmowej. Z nieświadomych warstw duszy dzwignęła się cała jego dziedziczna polskość. Przypomnił sobie ryciny przedrozbiorowej sali sejmowej i sejmu czteroletniego. Tu inaczej. Nowocześnie. Obok niego zaczynała się łoża dziennikarska. Pulpity im sprawili. Ruchliwi dziennikarze rozmawiali pocichu bez żadnej zgola rewerencji.

Przypatrzył się twarzom paru ministrów. Sternicy nawy państwowej. Króle-duchy powołane do rządzenia losem narodu i wykrzesania z niego nowego kształtu dziejowego na podziw świata? Nie, ludzie zwykłej miary, zaciekli w wierze we własne systemy.

Wiecznie żywa miłość do Polski, odziedziczona po pokoleniach powstańców i patriotów podszeptowała Wasilewiczowi: — Tu muszą być wielkoludy, postacie bohaterские bez skazy.

Muszą być w tym pokoleniu ludzie wielcy. Pokolenie tęskni za nimi. Czyż te ciągłe zmiany gabinetów nie są właściwie szukaniem człowieka? A znaleźć go nie mogą. Jest gdzieś poza murami stronnictw, nie puszczającymi do przybytków państwowości nikogo, kto na wzór masonów tajemnego znaku przynależności nie poda. To, co miało być dźwignią społeczeństwa, stało się w niem ogrodzeniem drucianem, okopem, tamującym dostęp żywych sił.

Nikt nie woła o Mickiewiczowskiego „człowieka wiecznego“. Potępiono i wyszydzono bohaterszczyznę, ustawiono na piedestale symbol zbiorowości — człowieka przeciętnego. Epoka jest pełna zacieklej walki o prawo do niższości. O prawo nie robienia wysiłków duchowych. O prawo niedoskonałości.

Wasilewicz uświadomił sobie nic tych powracających myśli i szarpnęła nim męka. Odpłynęły od niego te myśli, jak woda. Wyminął się z nimi na Kalinowym Moście. „Wstecz nie płyną fale rzeki“... Czemu ilekroć Polska zajdzie mu drogę, krzyczy sumienie: — Coś uczynił z twojem prawem do doskonałości?

Zmarnowane, chybione życie. Przepadło wszystko. Wypaczyła się jasna linja rozwoju.

Marszałek zadzwonił, uciszając gwar w centrum, zagłuszający mówcę na trybunie. Wasilewicz zaczął się wsłuchiwać w obrady. Mówca wyrzucał hasła i frazesy agitacyjne, przeplatając nimi argumentację rzeczową. Czynił to w szablonowy, kabotyński sposób.

Obok Wasilewicza siedział Anglik, który pochylił

się do swego cicerone, uprasowanego młodzieńca z przedziałkiem:

— Jak się nazywa ten socjalista, który teraz przemawia?

Ten wymienił nazwisko i zapytał ze zdumieniem:

— Skąd pan wie, że to socjalista? Przecież pan nie rozumie jego mowy?

— O yes, ale zwiedziłem prawie wszystkie parlamenty Europy. Socjaliści wszędzie mówią jednakowo. Jak gramofony, w które wstawiono raz na zawsze tę samą płytę.

Wasilewicza ubawiła ta uwaga. Za to rzewnie go zajęła siedząca z drugiej strony staruszka.

Była w czerni, w sukni z zeszłego wieku. Kołnierzyk miała przypięty ogromną broszą antyczną. Ściągle rysy, pomimo uwiadu, zachowały niespożytą energię duszy.

Staruszka ta w czasach największego prześladowania i katastrof znosiła mężnie ciosy i szła tam, gdzie padały. Na pożółkłych klawiszach starego fortepianu grywała w staroświeckim, spłowiałym salonie „Tam na błoni błyszczą kwiecie“, „Za Niemen“, „Hej tam w karczmie za stołem“... Nad jej łóżkiem pod krucyfiksem była akwarela przedstawiająca księcia Józefa, skaczącego z koniem do Elstery i starodawna rycina, na której kosynier kona ze sztandarem w ręku, a spieszony oficer z rewolwerem stoi nad nim, broniąc go przeciw jegrom. Miała kalendarz narodowy przepisywany własnoręcznie i trzecią część „Dziadów“. W rocznice prze-różne, związane z jej życiem wkładała żałobę i modliła się długo w swoim pokoju na klęczniku, obitym aksamitem ongi wiśniowym, a teraz zupełnie szarym.

Tak na wzór starszych niewiast swojej rodziny

odtwarzał ją w myśli Wasilewicz. Staruszka była zasłuchana i promieniała najczystsza, bezosobistą radością. Wszak z dalekiej prowincji odbywała tę podróż tak dla niej uciążliwą, by unieść ze sobą w zaświat wizję wyjarzmionej ojczyzny.

Kiedy mówca wykrzyknął: „Wolność!“ — przyłożyła do oczu chustkę poślódką od starości, obszytą koronką, przesiąkniętą wonią płatków różanych. Na tę wielką uroczystość wyciągnęła ją z olbrzymiej toalety z lustrem, otoczonem girlandami, rzeźbionemi w drzewie.

Wasilewicz poczuł na sobie wzrok uporczywy. Zwrócił się w tę stronę i ujrzał na galerji Szyrwitza. Uraziła go raz jeszcze bolesna obcość tej twarzy, pomimo, że nie miała rysów zbyt wschodnich. Nawet nos nie był haczykowaty, chociaż długi, jakby urobiony przez *mimicry* rasy nielubianej. Małe oczki pod nazbyt wyrazistemi brwiami chłoneły go wampirycznie, jakby duszę chciały wypić z niego. Wasilewicz odwrócił się niechętnie.

Tymczasem atmosfera na sali rozpalala się stopniowo. Spokojny start zamieniał się w rozpęd karkołomny finiszu. Na trybunę wstąpił nowy mówca. Przerywano mu okrzykami. Część sali zaczęła stukać pulpitami i wrzeszczeć, tupać i gwizdać.

— To i sami na Saskiej Kępie, popiwszy się, potrafimy, na to Sejmu nie potrza, — usłyszał Wasilewicz półgłos zgorszony, — takie hece — za nasze podatki!

Odwrócił się. Za nim siedział przyzwoicie ubrany człowiek, rzemieślnik, jak widać było po jego rękach wykoszlawionych przez ciągle zmaganie się z materją. Zabawa aranżowana przez inteligencję mało go budowała, chociaż brał w niej udział i lud.

Dzwonek marszałka jęczał, jakby zrywało mu się serce i ginął we wzmagającym się hałasie. Grupa posłów zerwała się z miejsc i z pięściami biegła na mównicę, który dał nura w dół i znalazł się za plecami straży marszałkowskiej.

Wasilewicz spojrzał na Szyrwitza. Stał i promieniał. Złośliwą, małpią uciechą śmiała mu się twarz. W pewnej chwili przechylił się przez poręcz galerji i dał znak komuś na dole, wśród grupy komunistów, gdzie szalał Starościński, gruby, jak fasa, a różowy, jak francuska markiza.

Przez chwilę na sali kłębił się czarny tłum, z którego wyskakiwały ramiona z białemi dłońmi, kreśląc w powietrzu gwałtowne parabole. Nad nim zgęstniała burza krzyku, chór dysonansów, szarpiący bębenki uszne. Potem tłum, jak bochenek przecięty nożem, rozłamał się na dwie połowy. Jedna ścisnęła się koło marszałka, który stał czerwony i usiłował przekrzyczeć salę, wciąż dzwoniąc oburącz, druga odpłynęła ku drzwiom. Na czele jej stał poseł w czerwonym krawacie, którego Wasilewicz zauważył dziś w poczekalni sejmowej. Za nim nieprzyjemny elegant o rysach zbyt wybitnych, położywszy mu ręce na ramionach, sufłował. Wtedy ten odwrócił się ku trybunie marszałka i zaintonował:

O cześć wam, panowie, magnaci!

Gromada skupiona przy drzwiach podchwyciła melodję. W sali rozległ się groźny chór...

Pieśń rozdarcia, pieśń niezgody...

Grupa mniejszości narodowych została pośrodku. Niektórzy gładzili brody biblijne, inni ciągnęli sumiastego wasa. Hryb coś perorował, podskakując w koguściem zaciętrzewieniu.

Gdy naród wołał: — Zginiem lub zwyciężym,
Panowie palili cygara...

śpiewali dalej posłowie przy drzwiach.

Wasilewicz dawno już dramatycznie przeżył i zamknął w sobie tę sprawę. Wiedział, że panowie, choćby przodkowie jego, nie tylko palili cygara, lecz umieli łąć krew. Odczuł inwektywę tej pieśni, jako własną sprawę. To w Sejmie Niepodległej Polski znów jemu i ukochanym jego, pomordowanym dla Niej, rzucono w oczy obelgę.

Staroświecka matrona powstała. Oczy jej sucho płonęły rozpaczą. Stukała laską i powtarzała:

— Hańba! Hańba! W Polsce Niepodległej!

Ruszyła ku drzwiom ogromna, groźna, ślepa z bólu.

Szyrwitz z gębą szeroką od djabelskiego uśmiechu, dawał znaki na dół, jakby dyrygował orkiestrą.

Wasilewicz wyszedł z Sejmu.

IX

Panna Zosia, cicho nucąc, doszła do drzwi świetlicy harcerskiej. Przekręciła klucz w zatrasku. Weszła do salki, przystrojonej wycinankami z kolorowego papieru. W gablotce świeciło kilka okazów „sprawności harcerskich” — wyroby pracowitych druchen. Na stole leżało parę książek i kwitarjuszy.

Nagle panna Zosia aż się zachwiała z wrażenia. Na białej ścianie stało wypisane węglem:

Czy pani mieszka sama,
Czy razem z nim?

Lzy stanęły jej w oczach. W białości tej salki, wypieszczonej jej dłońmi, obwarowanej przysięgami wdarł się zgnięły dech dancinowy, frywolna nuta powojenna. Zdawało się jej, że buduje białą strażnicę. Mętna powódź dotarła aż pod próg.

Starła napis pośpiesznie.

Weszło kilka harcerek. Panna Zosia odpowiedziała:

— Czuwaj!

Usiadła przy stoliku, pisząc, ale mimowoli łowiła uchem strzępy rozmowy.

— Pończochy fildekosowe! Kto nosi coś podobnego! Mnie mama musi kupować tylko jedwabne. Inaczej nie gadam z nią tydzień.

— Ja tylko w świetlicy dekolcik skromny sobie robię. Ale jak pójdę pierwszy raz na bal! Zobaczycie!

— Ciocia mówi, że za jej czasów kobiety nie

całowały nikogo, prócz męża. A narzeczonego chyba tylko na parę dni przed ślubem. Cha, cha, cha!

— Druhowi Kazikowi matka gorzko wyrzucała, że odprowadzając jedną druchnę z wieczorku, ujął ją pod rękę. Aniś brat, aniś narzeczony. Nie znasz form. A on na to: — Formy znam, ale nie z wieku sielanki i sentymentalizmu! Kochance oczy listkiem cyprysowym zasłaniać! Co to były kiedyś za nudy!

Pannę Zosię opanowała mdłość. Wyczuwała dokoła siebie duchy w stanie czerwonego żarzenia, niezdolne rozplonąć w czyste, białe światło.

Weszła dawniejsza zastępowa, panna Niuta. Wracła z kresów. Panny przywitały się serdecznie. Zanim się zdążyły rozgadać, nadszedł też i druh Siodelko z księdzem Justynem. Przeszli do małego pokoiku obok, gdzie był skład kijów, chorągiewek, plecaków i narzędzi do rzemiosł. Panna Zosia opowiadała o napisie na ścianie i o swych spostrzeżeniach.

— Jak zatrzymać ten wir szalony, to tępe usypianie ducha podnietami zmysłowemi? Czasem mi się wydaje, że przed nieskończony korowód tańczących par musi ktoś wybiec, i uczynić coś strasznego. Aby ocucić. Aby zatrzymać. Wyrwać z piersi serce i rzucić im pod nogi. Wbić się na krzyż i krzyżem tym drogę zagrozić.

Panna Niuta wzruszała ramionami.

— Idealistka! Napatrzyłabyś się, jak ja! Ludzie w tańcu zdepcą serce z piersi wyrwane i przysporzy im to dreszczu. A przez krzyż przewala się masą niepowstrzymaną i zadcpczą męczennika.

Panna Zosia się obruszyła.

— Ty zawsze nie wierzysz w ofiarę.

— Owszem wierzę, ale w realną, w trzeźwych

granicach utrzymaną. Wynałazłam najcieńszą formę ofiary w Polsce.

— Jakąż to?

— Być nauczycielką szkoły powszechnej na Kresach.

— Cóż za ofiara! Znam wiele nauczycielek ludowych. Pracują wydatnie i są rade ze swego życia.

— Znasz tutejsze! Wyobraź sobie wieś najczarniejszą, bez iskry kultury, gdzie się je surowiznę albo coś kwalifikującego się u nas do korytka. Brud oślizgły, zadawniony, jak trąd nieuleczalny. Systematyczna walka ze wszystkimi gatunkami robactwa — od skaczących do gryzących, — mrówek i pajaków. Tępe, niemrawe dzieci, przejęte do nauczycielki niechęcią i jako do Polki i jako do znienawidzonego rodu „panou“. Dzieci bez języka, nie mówiące prawdziwie ani po białorusku, ani po polsku, ani po rosyjsku. Dzikusy, płatające małpie figle i urządzające krwawe bójki między sobą. Dokoła na dziesiątki mil ani jednego inteligenta. Kościół daleko, a w nim ksiądz-Litwin, niemy wśród głuchych, albo ksiądz-Białorusin, wróg Polski. Ze strony chłopów — obcość albo złośliwe szykany. Uprzejmość w stosunku do inteligenta jest tam uważana za upokorzenie. Czasem trzeba wytrzymać potworną obmowę i napaści. Siedzi się w takiej szkole, jak na desce wśród burzliwego morza, a dokoła wre agitacja: — Nie trzeba nam polskiej szkoły!

— Któż tam siedzi w takich warunkach? — zdziwił się druh Siodelko, — bez kultury, bez książek, bez ludzkiej rozmowy? Bez czegokolwiek, co życiu urok nadaje?

— Siedzą istoty dość tępe, albo zbyt skrzywdzone przez życie, by się najczarniejszym kęsem chleba nie

zadowolić. Niema nikogo, ktoby lud tamtejszy nauczył polskości w znaczeniu rozszerzenia szranek ducha.

Panna Zosia pochyliła głowę.

— Wygaś już w Polsce ród ofiarnych działaczek społecznych.

— Tak, — odezwał się ksiądz Justyn, — ale powstanie ród nowy — misjonarek — silniejszy, świętszy, jaśniejszy.

Pannie Zosi rozświeciły się oczy. Powiedziała z uniesieniem:

— Ja będę taką misjonarką.

Ksiądz Justyn rozradował się, jak wobec każdego objawienia piękna wewnętrznego i wnet się zasmucił.

— Nie trzeba, wędrowniczku Boży, nie trzeba. Jeszcze ciebie zgubią źli ludzie.

— Nonsens byłby tam jechać — rąbnęła szorstko panna Niuta, zła, że mimowoli wzbudziła w pannie Zosi tę intencję, — tam trzeba mioteł, a nie wiązanek kwiatowych.

— Tak, tak, i tu jest robota, panno Zosiu, — żarliwie odwoził ksiądz.

— O, ksiądz zapomina, że św. Franciszek nie odradzał św. Klarze, by osiadła w pustelni św. Damjana, wzgardziwszy rozkoszami świata.

— Toż święty seraficki, a ja mały człowiek, grzeszny księżyna, — roześmiał się ksiądz. Od tego śmiechu cała jego młoda głowa zaświeciła się, jakby się znalazła na drodze snopa promieni.

— Czemuż mi ksiądz małego cierniowego wianuszka żałuje?

— Oj, panno Zosiu, mało to ich mamy i tutaj.

— A ja jestem pyszna i dumna i tutejsze mi nie wystarczają, a chcę dużego, bardzo dużego!

— A naprawdę pyszna i dumna! I w cierpieniu żeby nie był nikt nademnie! Może to prawda, że my inteligencji, musimy zawsze chlubę z czegoś uczynić: pod własną figurę piedestał wyrychtować. Bez dążeń do rekordu pod jakimkolwiek względem, bez tych licznych zadowoleń miłości własnej tracimy bodźca do czynów.

— Otóż ja chcę być rekordową!

— Panno Zosiu, naprawdę i tu jest praca! Sama dziś pani mówiła o zepsuciu powojennem.

— Wiem, że i tu jest praca. Ale proszę pomyśleć, że tam jest lud taki ciemny na duszy, cały jeszcze we władzy ponurego wschodu... Wmurowany jest w naszą potęgę, oddawna wciągnięty w orbitę naszego rozwoju. Musimy mu oddać część naszych sił, by go dźwignąć na wyższy szczebel rozwojowy. Dla niego zamknięta brama zachodu. Przekroczywszy ją, dusze biorą skrzydła. Na wschodzie każda głębia — to dno upadku, a to, co latać próbuje — to tylko błony nietoperza. Trzeba złożyć ludom ruskim na ofiarę część ludzi najlepszych, by przyplływem ich siły duchowej tą masą cielesną wstrząsnąć, pchnąć w ruch po naszej orbicie, orbicie zakreślonej dokoła słońca. Tem dziełem odkupienia zjednoczymy się z braćmi szczepu ruskiego w sferze duchowej, której sfera widzialna jest tylko hipostazą.

— No, proszę, proszę, druchny się trzymają takie terminy teologiczne! Toż druchna prędko w kozie róg zapędzi swego byłego prefekta, z którego młynek społeczny wymieł sporo patrologji, apologetyki, dogmatyki etc.

— Wolne żarty druha księdza! Ale czy mam rację?

— Nie ma druchna racji. Ale czy to kiedy druchna

posłucha! Taka uparta, jakby miała Litwina w rodzinie!

Wpadła mała harcerka z rozwianymi mysimi ogonkami i rzuciła się, jak burza, na szyję zastępowej.

— Druchno, a ja w jeden dzień spełniłam trzy dobre czyny harcerskie! W jeden dzień! A druchna mówiła, że nie potrafię!

Ksiądz patrzył na małą odblaskiem spojrzenia Stwórcy, gdy znajduje cudne kwiaty wśród chwastów w wirydarzach dusz ludzkich. I myślał o tym niepojętym cudzie, że ktoś się troska o duszę ludzką, czy pójdzie w górę, czy spadnie w dół.

X

Wasilewicz wyglądał przez otwarte okna wagonu. Zżęte ścierniska odpoczywały pod bladem niebem. Za nimi siniał las, zasnuty sreżogą. Tajemny, nęcący kraj. Fata-Morgany... Dal... Wąska droga wbija się prostopadle w widnokrąg. Migają w oczach kratkowane żółto i zielono płaszczyzny.

Przestwór. Radość. Zostało po za nim miasto. Zaśmiecone bruki i asfalty. Wąskie domy, wyprężone wzwyż w spazmie cierpienia. Słupy z latarniami, jak fosforyzujące ucięte głowy. Szalony ruch zbyt ciasnej stolicy, regulowany laseczką posterunkowego. Uprzykrzone, bzykające baki-samochody. Szyderczy śmiech wystaw sklepowych, z których woskowe figury i głowy i wszystkie zgoła rzeczy krzyczały:

— Patrz, oto czego kupić nie możesz!

Krażenie, jak pary w rurach, stłoczonej pożądliwości w kanałach ulic, aż powietrze stawało się duszne, a pierś uciśniona nie mogła odetchnąć...

Przestrzeni... Wszystkie skrzyżowania ulic nęca jej skrawkiem, by znów obskoczyć, zamknąć w cieśni, wypiętrzyć się.

A teraz dokoła leje się swobodnie przestrzeń, jak woda z odemkniętych kranów i jest tak dobrze i rzeźwo.

Smareczek wyciągnął z walizki paczuszkę owiniętą w numer „Krynicy“. Rozwinął i wyjął kajzerki z kiełbasą. Zaczął jeść, mlaskając nieestetycznie. Skrzeżetowicz również sięgnął po swój prowiant.

Wasilewicz poczuł wstręt fizyczny i wyszedł na korytarz. Patrzył przez okno. Las sosnowy sunął wzdłuż toru. Drzewa, chwając kosmatemi łapami, dopędzały pociąg. I nie mogły dopędzić. Na garbie widnokregu zamajaczyła wioska. Garść szarych grzybów wrosłych w ziemię... To chaty. Myślał z rozczuleniem odnalezionem z pierwszych czasów młodości: — Lud w tych chatach... Głodny, nieszczęśliwy, ciemny... Idę do was... Idę z moją wielką miłością... Na dalekich polach, na tle błękitnem okragliły się kopulasto stogi siana. Dziwne budowle nieznanego miasta. Żeremia bobrów nad jeziorem płynnej mgły...

Nagle zawołał go Skrzeżetowicz — mieli jeszcze naradzić się nad marszrutą. Wasilewicz wrócił do przedziału. Smarczek rozłożył mapkę rysowaną odręcznie z napisami rosyjskimi, ortografią bolszewicką.

— Skąd macie taką mapkę — zagadnął Wasilewicz, — toż prawie strategiczna. Poco wam?

— A zrobił jeden człowiek, może wojskowy był, — odrzekł Smarczek i śpiesznie schował mapkę.

Pociąg, który wtoczywszy się na obszary kresowe, tracił rozpęd zachodni i wpadał we właściwą okolicę niemrawość, zatrzymał się przed stacją. Biała, murowana stacja, kryta czerwoną dachówką. Już nie wstrętny budynek kazonny, pokostowany na ciemno-czerwono. Ślad polskiego panowania, piętno zachodu na tych melancholijnych obszarach.

Wysiedli na peron. Zbliżył się do nich osobnik o wyglądzie rzemieślnika, choć widocznie o umysłowości prawie inteligenta. Przywitał się z przyjezdnymi. Poprowadził ich do przygotowanej kwatery. Używał od czasu do czasu słów „nada“, „byccam“, „zrobicie łasku“; ale poza tem mówił czystą moskiewszczyzną.

Weszli do przygotowanego dla nich mieszkania. Wasilewicz poczuł tę samą atmosferę, która go tak męczyła u panny Antoniny. Moskiewszczyzna... Na ścianie oczywiście pocztówka z reprodukcją Repina, którego obrazy, przez nadmiar cielesności, robią wrażenie mięsa obdartego ze skóry. Zbliżył się do stolika. Obok „Gistoryi Biełarusi“ i zbiorku wierszy „Starej ciotki“ (Ałojzy Paszkiewiczówny) leżała oczywiście broszurka Lenina, dzieła poety Jesienina i Ilji Erenburga.

— Czy tem się karmi młody ruch białoruski? — zapytał, pokazując z obrzydzeniem na te książki.

— A co? — zapytał gospodarz, nie rozumiejąc.

— Czahoż chcecie, panoczku, — zbliżył się Skrzeżetowicz, który wiedział, jakimi drogami chodzą myśli Wasilewicza, — przecież, mówiąc między nami, cała literatura białoruska zmieści się na jednej półce. Niema w niej ani jednego utworu, który wart jest tłómaczenia na język europejski, któryby dorównywał chociażby „Czterem porom roku“ Litwinów lub ciężkiej i skutecznej, jak wszystko, co ruskie, ale artystycznej literaturze Wasyla Stefanyka i Iwana Franka. Jedyna historia napisana po białorusku i drukowana rosyjskim alfabetem jest właściwie tylko paszkwilem politycznym na Polskę, ale nie dziełem naukowym. W gimnazjach białoruskich w Wilnie i Radoszkowiczach nie mogą się obejść bez podręczników rosyjskich. Uniwersytet „białoruski“ w Mińsku — to oczywiście mit. Bez Rosjan i Żydów nie może się obejść ruch białoruski. Przecie trzeba skądś brać.

— Czemuż nie z Polski? Nie do Moskwy was pchał Marcinkiewicz i Weryho.

— W Polsce my się roztopimy odrazu, — wmieszał się Smarczek, — wyższa kultura. A Moskalowi

przeciwstawimy tę odrobinę wyższości, którąśmy we współżyciu z wami nabyli.

— Także racja fizyka! Cyranka nie zechce latać, bo powiedzą: — Do orła podobna! — I siądzie na zawsze w kurniku. Nie wyzwoli się dusza białoruska, póki nie strąśnie ze siebie Rosji, jako całunu.

— A czyż my z Polski nie bierzem — smarował miodem Smarczek, — my chcemy brać mało, że z Polski, bo i od Niemców, i od Francuzów, i od Ameryki.

— Od Niemców, — mała pociecha — mruknął Wasilewicz, — nie poszło to wam na zdrowie, że Łuckiewicz bratał się z hakatystami. Przedstawicielstwo rud manganowych! I braci masońskiej dyskretna pomoc i błogosławieństwo. Za okupacji braliście od Niemców w Ober-Oście subsydja na „Homon“. Dlatego nie chciałem być z wami.

— My teraz od Niemców nic a nic — z zupełną prawdomością oświadczył Smarczek.

— Pewnie, — pomyślał Skrzeżetowicz, przypominając sobie Szyrwitza.

W tej chwili wnieśli samowar. Wasilewicz przypomniał sobie nie bez ironji, że w jedynej powieści, która dotąd została napisana po białorusku, prawie co rozdział piją herbatę lub jedzą.

Usiedli przy okrągłym stole, zasłanym samodziałem w kraty. Podano wędlinę, razowiec, masło i obwarzanki smorgońskie.

— Ja panów przeproszę, muszę iść na przedstawienie białoruskie, po niem będą skoki, — odezwał się gospodarz, wstając.

— Przedstawienie? Pójdziem i my? — pytająco zwrócił się Smarczek do Wasilewicza.

— O, chętnie, — zgodził się ten.

Jakoż udali się tam wypiwszy herbatę. Afisz opiewał, że będzie odegrana sztuka „Razarionnoje Hniazdo“.

Weszli do dużej sali, przybranej bez gustu i stylu. Siedzieli tam chłopkowie w siermięgach, pół inteligencji. Ani jednej postaci, któraby uderzała całkowitą kulturą i wyglądu zewnętrznego, i wyrazu twarzy.

Przy wejściu stała grupa. Piegowaty osobnik z białą czupryną napadał na „kiepstwo polskiej ulady“; nie pozwalali otworzyć szkoły białoruskiej, bo przedstawiony nauczyciel mówił tylko po rosyjsku. Zapytano, na czym będzie polegała białoruskość tej szkoły?

— Nie mamy inteligencji — wzdychali — nie mamy do obsadzenia szkół, samorządów, do oświaty, do posłowania.

— Dlatego ta ciemna masa bez woli dziejowej czepia się choćby i mnie — pomyślał Wasilewicz z niesmakiem i wnet poczuł skrucę.

Tak, są ubożuchni duchem. Dlatego trzeba do nich iść.

Podniosła się zasłona. Na scenie udekorowanej poruszali się aktorzy bez talentu. Przekalkowane z realistycznego teatru rosyjskiego i to z prowincji, z jakiegoś Orła lub Charkowa, — formułował Wasilewicz. Grano z rosyjska, a mówiono po białorusku. Wyglądało to na karykaturę czegoś, — jak humorystyczna parodia ukraińska o stworzeniu Ewy z psiego ogona, albo „Taras na Parnasie“.

Na scenie rozwijał się dramat. Wśród szarzyzny białoruskiej szalał podpalacz (ten przekalkowany z Andrejewa). Z patosem rzucał słowa nienawiści na „panou“, a żagiew płonąca w dwór. Klasowość, jak białe nici, wyłaziła ze wszystkich szwów tego pośpiesznie fabrykowanego nacjonalizmu.

— Że też pozwolili grać, — zarechotał po cichu Skrzeżetowicz.

— Referent, wyzwoleniec, dobry człowiek. Choć nie polscy chłopci palą, jemu i tak lubo, — pozwolił grać, — informował miejscowy działacz.

Kurtyna zapadła. Sala klaskała frenetycznie. Cieszą się z pogromu Wasilewa, podkładał znaczenie Wasilewicz, — cóż ja właściwie wśród nich?

Odsuwano krzesła, zaczynały się „skoki“. Harmonja zajęczała narodową „ławonichę“. Panna w czerwonej bluzce wsparła się z krowią kokieteryą na młodzieńcu w czarnej rubaszce, już nie przepasanej z moskiewska, a po sportowemu na sposób europejski ściśniętej szerokim pasem. Rumiana Białorusinka przypomniła Wasilewiczowi pannę Antoninę. Zatręsnął chorobliwie do niej, czy do kokainy?

Posel Smarczek chciał być wypoczęty przed jutrzejszym wiecem, wrócił więc do kwatery, zostawiając gospodarza na „skokach“.

Nazajutrz obudziło Wasilewicza dzwonienie w cerkwi. Przypomnił sobie z dzieciństwa jak naśladowała dzwonienie w cerkwi pokojówka Małanka. Duży dzwon intonuje: — Blin, blin! Mniejsze podchwytyują przekornie: Pół blina, pół blina: — a najmniejsze drobią dyszkan-tami: ćwierć blina, ćwierć blina!

Ziemska nuta, pogłos pogańskiego światłaństwa płynęła z tego hałaśliwego, wesołego dzwonięcia. Jak w całym wschodnim kościele: *uznanie Boga*, stwierdzenie Jego istności, ale nie *poznanie*. Nie pojęcie Jego Istoty przez podwyższenie się wewnętrzne i przepojenie własnej istoty odblaskiem boskiego piękna, ale tkwiąc w materji, oddanie czci, która równie nie uduchawia, jak uwielbienie cara na tronie.

Smarczek mył się, rozstawiwszy nogi i parszczając jak foka. — Dosyć go już, — pomyślał Wasilewicz z utęsknieniem.

Ucieszył się, gdy we trzech znaleźli się znów na ulicy. Zwoleńnik Erenburga odsypiał jeszcze wczorajsze „skoki“. Szli do cerkwi. Wasilewicz był kiedyś przed wojną w tem miasteczku. Nie mógł go poznać... Czysto zamiecione ulice. Wysokie latarnie elektryczne. Gdzieś-niegdzie zgrabne domki europejskiego typu, kryte czerwoną dachówką.

Na zakręcie ulicy stała naprzeciwko pięknej, wysokiej latarni elektrycznej — latarnia naftowa. Słup już poczerniał i pochylił się na bok. Szkła latarni powybiły kule czy wiatr. Skrzeżetowicz zatrzymał się.

— Patrzajcie, to jakby spotkał się wschód i zachód na ulicy białoruskiej miejsciny.

Na rogach ulic, na płotach, na gmachach znaczniejszych jaskrawiły się ręcznie malowane afisze. Zapowiadały to odczyt, to koncert orkiestry „Sokoła“, to wieczorek harcerski, to przedstawienie amatorskie lub zebranie towarzyskie.

— Co za intensywna praca, — dziwił się Wasilewicz, — no, proszę... Tu, gdzie nic nie było... Tylko czarne błoto, karty i wódka.

— Gdybyśmy tak umieli, dawno byłaby Białoruś świadoma, — z zazdrością rzekł Smarczek.

Weszli do cerkwi. Nabożeństwo jeszcze się nie skończyło. Wasilewicz patrzył na obojętne twarze ludzi, pochylających się w pas przy kładzeniu trójpalcem znaku krzyża. Jakaż to obca obrzędowość. O, Boże, Boże, we wspólnocie duchowej z nimi... Czyż zdoła... Na tę modłę wielbić Boga ukrytego za carskimi wrotami.

Długowłosy paroch w złocistej kapie grubym basem wygłaszał śpiewne słowa liturgji. A chór cienko przewlekał natarczywy refren:

— Hospodi, pomiluj!

Zmuszono go kiedyś przebyć kilka lat w szkole rosyjskiej, zanim rozsądniejszy kuzyn z Wielkopolski wytłómaczył jego rodzicom, że to nonsens przy ich majątku i stanowisku. Może śmiało zostać bez dyplomu rosyjskiego i skończyć szkoły w Małopolsce, angielskim college'u lub Francji. Uczęszczał wtedy z wewnętrznym buntem i protestem na nabożeństwa prawosławne, nie chcąc wcale przejąć się tą zasadą, że Bóg jest tylko jeden. I wtedy owo „Hospodi pomiluj“ wydawało się smagnięciem kazionnego bata, głosem więzienia, głosem moskiewskiej wyjącej tęsknoty w duszy niewyzwolonej i skąpo mającej słów.

Przejąć na łono kościoła wschodniego? Czyż nie otwierały się jego objęcia, jak mogiła? Czyż nie czekała w nich hieratyczna sztywność i bizantyjska martwota?

Nabożeństwo się skończyło. Wyszli na plac. Wśród młodych brzózek przewalał się ociężałe tłum, przeważnie włóściański. Ciemne ubiory. Rzadko zajaskrawi się chustka, jak krzak malwy wśród szarzyzny wsi białoruskiej. Na szarawem niebie cztery cebulaste kopuły koloru farbki do prania. Cztery czapy, pod którymi, zdawało się, są zduszone cztery głowy, co chciały się podnieść ku przestworom.

Smarczek wlaźł na sąg drzewa pod płótem cerkiewnym. Jak rudy kot, ruszał wąsami, wyparskując bez pośpiechu słowa. Obok Wasilewicza stanął przodownik policji i notował starannie efektowniejsze okresy krasomówcze. Nikt się jego obecnością nie płoszył i nie zwracał na niego uwagi.

— Zrzućmy jarzmo polskie! — tryskał śliną na słuchaczy Smarczek. — Polski bać się niema czego! U Polaków taka konstytucja, że u nich prawodawcami są ludzie, co zatrata tego państwa mają w programie. Sejm ochraniać Polskę ma, a w nim jak szczury w spichlerzu, siedzą ludzie, co wygryzą dziury dla szkodnej kuny i lisa. Czemuż oni tak robią? Bo darma, szto pany — dyk jany durnyje! Wzięli słowo „swoboda“ i zasmarowali sobie niem oczy. Dla tego słowa, co lada wiatr rozwieje, fundament swego domu rozkopywać dadzą. Rozchwieje się fundament, runie gmach! A my wyleziem z piwnicy zerować na ruinach! Podzielimy się z sąsiadem, co nam przyciesie gryźć po nocy pomagą. Zahlanie sonce i u nasze wakonce...

...Takiemu państwu, co już odrazu przez głupotę swoją bankrut jest, podatków nie płacić, rekruta nie dawać. Niechaj lepiej chłopcy do bolszewików uciekają.

Zlazł wreszcie wśród oklasków.

— To jest wiec poselski, — szumiało w głowie Wasilewicza. Zdawało mu się, że dostał obuchem w łeb. Potrafił przodownika, który składał do teczki papiery.

— Jak pan mógł pozwolić? — potrząsnął go błady za rękę.

— A cóż robić, proszę pana? Nietykliwość poselska. On będzie do rzezi i palenia dworów nawoływał — administracja nie śmie go palcem tknąć. Zaraz w sejmie interpelacje i awantury. Powróż sobie kręcimy na szyję. Pan Bóg pomieszał rozumy za karę. I prawica, i lewica... Droższa im suwerennych person nietykliwość od Ojczyzny. My spisujemy protokół: tak a tak, jawna zdrada państwowa. Prokurator wytoczy sprawę. A sejm się uprze i notorycznego zdrajcy nie wyda. Spisaćby wszystkie sprawy o wydanie posłów. Hańba...

A my bezsilni... Cóż dziwnego, że czasem taki Muraszko zapomni się, wybuchnie, protest tysięcy, tysięcy wiernych Polaków wyrazi... Wiem, że to nie prawo. Ale i Rzeczpospolitą podgryzać — nie prawo.

Salutował i odszedł, wyprostowany, zrównoważony, poprawny. Ale lewem ramieniem podrzucał nerwowo. Kotłowało się w nim wszystko.

Pan o suchej twarzy i bardzo niebieskich, uderzająco polskich oczach, który przysłuchiwał się od paru chwil tej rozmowie, podszedł do Wasilewicza.

— Przepraszam, Oświacki jestem. Czy pan poraz pierwszy na kresach, że pana dziwią te stosunki?

— Pierwszy raz po wojnie.

— Widzę, że pan jest speszony takim zjawiskiem, jak wiec poselski — możliwem jedynie wśród polskiego bałaganu. Ale to są rzeczy przemijające. Przewyciężymy i to. Krety ryją, a my latamy. Tu co urzędnik — to społecznik ideowy. Starzy oświatowcy zaszyli się w szkolnictwo i orzą. Pobjemy wrogą agitację kulturą.

Niepoprawny idealista śmiał się i zacierał ręce.

— Ale wydało mi się, że pan przyszedł z tymi panami?

— A tak, przyjechałem z nimi, bo chciałem się zapoznać z ruchem białoruskim. Ale mam tego dosyć.

— Jaby panu radził jeszcze wytrwać i patrzeć do końca. To pana wytrzeźwi zupełnie po czadzie białoruskim. Proszę nie ominąć sposobności. Są tu także „hurtki“...

— Dziękuję za radę, — rzekł Wasilewicz po namyśle.

W tej chwili podeszli do niego Smarczek i Skrzeżetowicz.

— O czwartej jedziemy dalej, — rzekł Smarczek mocno zadowolony ze siebie.

— Dobrze, będę o czwartej na dworcu, a teraz pójdę ze znajomym, którego spotkałem, — rzekł Wasilewicz i odszedł z Oświackim. Skrzeżetowicz stał i patrzył za nim mocno zafrasowany. Przeczuiwał, że wiec poselski nie wpłynął na Wasilewicza propagandowo. Czekala go alternatywa: iść za Wasilewiczem lub Hromadą. Po chłopsku, atawistycznie skrobał się w głowę i wzdychał, aż Smarczek pociągnął go do restauracji.

XI

Tymczasem Wasilewicz szedł z Oświackim. Doznawał w obcowaniu z tym człowiekiem dziwnego ucieszenia. Tak, on widział przyszłość świata. Miał wciąż przed sobą wizję lepszego życia. A tak powoli realizował ją w otoczeniu.

— Bo, proszę pana, — prawil, wracając do kwestii białoruskiej, — przecież ten lud, o tyle już spolszczony, że na długo przed rozbiorami w kancelariach język białoruski, trzymający się tam jeszcze mocą tradycji, był właściwie trochę przekreślonym językiem polskim, — ten lud oddawna dwujęzyczny potrzebował niespełna stu lat aby zmoskwiczyć się prawie. Polskość za to w siedem lat naszego panowania zrobiła większe postępy, niż moskiewszczyzna w siedemdziesiąt.

— Więc cóż? Chcecie przeprowadzić tu „opolenie?”

— Ależ proszę zrozumieć: Białorusini, idąc do kultury, nie mają innej drogi. Muszą odbyć terminatorstwo w kulturze wschodu lub zachodu. *Tertium non datur*. Przecie ich własny język posiada tylko wyrazy najcodzienniejszego użytku. Naagitowani chłopci twierdzą, że nie rozumieją kazań polskich w kościele. Ale oni i białoruskich kazań, i białoruskiej gazety też nie rozumieją i trzeba im tam połowę słów tłumaczyć, bo w ich mowie na wiele pojęć niema wcale odpowiedników. Więc muszą wymyślać neologizmy lub brać słowa z innego języka.

— I języki słowian bałkańskich były językami ludu — ubogimi i niewykształconymi.

— To też, nie będąc dwujęzycznymi, Słowianie ci rozwijają się bardzo powoli. Cóż dotąd dała światu Serbja? Białorusini mogą odrazu bez trudności znaleźć siebie, swój folklor, swoją historję w starszej, wysoko rozwiniętej kulturze. Ruch białoruski nasiąknął kwestją rolną, ale to nie stanowi jego istoty. Podobna walka klasowa byłaby tutaj i wtedy, gdyby zamiast Białorusinów siedzieli na tych ziemiach Mazurzy — wyzwolenicy. Pierwiastek w ruchu białoruskim wrogi i buntujący się przeciw Polsce — to moskiewszczyzna. Otruli się nią i muszą ją wypluć, jak topielec odratowany wodę. Wtedy zaczniesz się między nami odnowa braterstwo.

— Przyznaję panu rację.

— Otóż lud ten niezmiernie nisko stoi duchowo. I zaiste: jakoś duchowa ważniejsza jest od filologii.

— W takim razie dobrze robili Ślązacy, wynaradawiając się. W Niemczech wyższa kultura.

— Materjalna, nie duchowa. I dlatego nie wynarodowiła się całkowicie ani Wielkopolska, ani Śląsk. Dobry cytuje pan przykład! Wielkopole nie boczyli od niemczyzny i warunki nie pozwalały jej ignorować. Przyswoili sobie niemiecką kulturę materjalną i tem, co brali od Niemców, własny swój rozwój podparli. Jako że różnorodność wzbogaca.

— Proszę nie sądzić, zastawszys mnie w takiej kompanji, że boję się kultury polskiej dla Białejrusi. Zdaję sobie sprawę, że dużo lepszych jednostek wynarodowi się przytem, że pociągnie je urok życia na wyższym poziomie. Ale będzie to kamieniem probierczym dla Białorusinów. Albo staną się w wielkiej rodzinie Rze-

czypospolitej grupą etniczną o odrębnym zaledwie narzeczu, na podobieństwo Podhalan lub Kaszubów, albo też, jeżeli znajdą w sobie dostateczne zasoby, stworzą coś odrębnego z głębi swej dzikiej, tęskniącej duszy. Strasznym jest dla mnie los tego kraju: jest to teren otwarty, na którym odbywa się bój odwieczny między ciemnym Antychrystem Rosji a jasnym Polski aniołem i Białorusini nieuświadomieni, pół-słupi, nie chcą wstąpić po schodach świetlistych w gromadę wyższych duchów...

— Patrę na nich, jak na lud chory, — wstawił Oświacki, — lud, który „zhubiusia u poriadku“, zgubił i pogmatwał swoją nić dziejową i trwa posępny i niewyzwolony, nic nie wiedząc o sobie.

— Naród chory... Opętany przez wschód... Czy nie to ciągnie do nich mnie? Czy nie we mnie to samo? — tłukła się w Wasilewiczu myśl, jak ptak z połamanymi skrzydłami.

— No, tak, — zwrócił się do Oświackiego nagle, — odbywa się tu robota. Ależ i ta robota musi być skazona. I na niej kładzie piętno ten skir, zżerający Polskę — partyjność. *Ad usum* tej lub owej partii fałszowana jest historia i socjologia, wiedza jest tylko sposobem do „wyrabiania światopoglądu“. Prawda, wygnana z pokojów frontowych, jak Kopciuszek siedzi w kuchni, w popiele.

— O, nie zna pan prowincji, — łagodnie uśmiechnął się Oświacki, — my już dawno mamy tego dosyć. My umiemy tutaj stawać ponad partjami, kiedy chodzi o rzeczy społeczne lub oświatę. Tu już dawno dojrzewa tęsknota, by pozrywać końskie okulary partji i własnymi, nieuprzedzonymi oczami patrzeć na świat. Kłaniano się etykiecie, nie patrząc, na jakiego nalepiono

człowieka. W nas dojrzewa potrzeba rzetelnych ludzi, dających rzetelną pracę. Żeby zerwać sieć nieuczciwości i zakłamania. Aby odzyskać pierwotne prawo człowieka do oceniania zjawisk podług ich wartości absolutnej, a nie partyjnej.

— A czyż nie może być partji uczciwej?

— W naszych czasach... Chyba będzie nią partja, mająca kierownikiem — Chrystusa.

Stanęli znowu przed domkiem w polskim stylu.

— Chce pan wejść do nas? — zapraszał swemi świetlistemi oczami Oświacki.

— To znaczy — dokąd?

— Do siedziby Polskiej Macierzy Szkolnej.

Weszli do schludnej salki, ozdobionej portretami wieszczów. Na półkach stały porządnie oprawione książki z numerkami na grzbietach. Panienska w stroju harcerskim grzecznie i sprawnie pełniła funkcję bibliotekarki.

— Widzi pan tego gościa, — wskazał pocichu Oświacki inteligenta z bródką rudawą, — to Rosjanin. Niema tu żadnej innej uczciwej biblioteki. Odkąd trzymamy książki, informując o najnowszych wynikach kultury w Europie, przyszedł do nas. Szuka kultury wogóle, bocząc się jeszcze na polską. Przyjdzie czas i na to. Przyjdzie czas odrzucenia starych nienawiści i wzajemnego przenikania się szczepów słowiańskich na Kresach.

Przeszli do czytelnicy, gdzie kilkanaście osób siedziało nad dziennikami i ilustracjami. Oświacki otworzył następne drzwi.

— Niech pan prędko wchodzi.

Wpadli w ciemnię. Drzwi zamknęły się za nimi. Po chwili Wasilewicz oswoił się z otoczeniem i skupił

uwagę na ekranie, na którym piętrzył się jakiś drapacz chicagoski. Prelegent prosto i pedagogicznie mówił na temat: „Ameryka — kraj bogactwa“. W powietrzu unosił się zapach karbidu.

— I tu także, odkąd przyłączono ten kraj do zachodu, do wielkiej kultury świata zahuczą potężne zakłady przemysłowe. Zatętnią młoty parowe. Życie weźmie szalony, radosny rozpęd, — kończył prelegent.

Wpuszczono światło do sali. Było tu dużo dzieci szkolnych, czystych i domytych, które zaczęły sfornie i spokojnie opuszczać salę, ustępując przejścia starszym.

— Skąd wzięliście takie dzieci? — dziwił się Wasilewicz, — całkiem domyte! Takich dotąd na kresach nie było!

— Dzieci białoruskie, — uśmiechnął się Oświacki, — ot, takie sobie dzieciaki z niechlujstwa miasteczkowego, nawet i prawosławne. Cóż pan chce — nie na darmo istnieje nasza szkoła powszechna! Sześć lat bijemy głową o mur, mamy na niej guzy, ale i w murze dziura się robi. A teraz pokażę panu ilustrację do odczytu.

Poprowadził go na czysto utrzymany skwerek. Pośrodku, na górze, stała altanka. Wasilewicz przypomniał sobie, że tu w święto czasami grywała orkiestra.

— Przed wojną tu nic nie było, — mówił Oświacki, teraz proszę patrzeć: tu jest nowa stacja kolei, tu — szkoła, tam na prawo — tartak, obok — zakład impregnowania podkładów. Tamte szerokie dachy za wieżyczką — to fabryka mebli giętych. A teraz strona społeczna. Ma pan w tej dziurze oddział Ligi Obrony Powietrznej Państwa, Macierzy, Harcerstwa, Sokoła. Bywają tu odczyty, koncerty, przedstawienia.

— Wiece poselskie, — wtrącił Wasilewicz złośliwie.

— A i wiece poselskie — zaśmiał się Oświacki, — ale my mamy na to odtrutkę.

Wasilewicz już poczuł się zmęczony. Opadła w nim wola do decyzji i zdolność przyjmowania wrażeń. Pożegnał Oświackiego. Z mętym natłokiem obrazów w głowie szedł na stację, od wszystkiego oderwany i obcy wszystkiemu.

XII

Na stacji spotkał Wasilewicz niespokojny i zmartwiony Skrzeżetowicz. Wyczuwał nastrój Wasilewicza — znał go za dobrze. Zdawało mu się, że Wasilewicz do nich nie wróci. I on sam był strapiiony i zrażony agresywnością i bezczelnością Smarczka. Rzucił się do Wasilewicza z taką radością, że ten uśmiechnął się do niego mimowoli, jak do dziecka.

Wsiedli do pociągu. Wasilewicz wyciągnął się na ławce i ciężko zadrzemał. Przez sen usłyszał głos Smarczka.

— W tobie, Skrzeżetowicz, chłopska, pańszczyźniana dusza pokutuje. Nie możesz ty bez pana. Oddałeś swoją duszę Wasilewiczowi w niewolę. Nie możesz się odebrać od Polski. A Polska — to pański wynalazek.

— W górę mnie ciągnął, — usprawiedliwiał się Skrzeżetowicz, — świat przedemną szeroki otworzył. W upadku nawet, w pijaństwie jego dusza skrzydła ma. Są tajemne sprężyny w człowieku, jest piękno polotne, jest duma urodzonego króla wśród ludzi. Takiego umiłować, w takim siebie zatracić... Gdzie on, tam prawda moja.

— To jak on ci każe od nas odejść — odejdiesz?

— Gdzie on, tam prawda moja, — uparcie powtórzył Skrzeżetowicz.

Wasilewicz wsłuchał się w zgrzyt kół wozu kolejowego. Było mu ciężko i źle. Oto ciągle spotykał ludzi, którym musiał być oparciem. Czekala tego od

niego żona, owijał się dokoła niego, jak bluszcz Skrzeżetowicz i tylu innych ludzi w życiu.

A on czuł się słaby i samotny i sam chciałby oprzeć się na kimś. Ale nie było takiego człowieka. Mdlilo go. Świat przejmował go niewymowną odrazą. Nie miał sił znosić życia. Chiałby stać się małym dzieckiem, aby ktoś go ochronił i poprowadził. Chiałby przypaść do czyichś kolan i przed kimś wyłkać straszliwe cierpienie zmarnowanego życia.

Ledwo zadrzemał ciężko i niespokojnie, gdy obudzili go towarzysze podróży. Wsiedli na małej stacyjce. Spotkał ich tam chłop o twarzy bandyty. Wsiedli na wóz i pojechali przez wieś, oświetloną słabo lampami naftowymi. Psy poszczekiwały gdzieniegdzie, skrzypiały wrota. Z obór rozchodził się zapach świeżego udoju.

Zatrzymali się przed chatą pośrodku wsi. Wchodzili do niej w tej chwili i inni ludzie. Weszli i oni. W natłoczonej chacie rzucił się na nozdrza i oczy obrzydły dym złego tytoniu. Na spotkanie ich podniósł się brodaty gospodarz i ruchliwy brunet w ubraniu inteligenta. Był to Szyrwitz.

Wasilewicz poznał go odrazu — zapamiętał twarz jego w sejmie.

— Nie wiedziałem, że pan też przystał do nas, — ścisnął go Szyrwitz kordjalnie i poufale za rękę.

Wasilewicz usiadł apatycznie. Miał w głowie zamęt. Ogarniała go bezwola. Czuł, że dokoła dzieje się wielkie szubrawstwo, ale nie miał sił nawet dobrze obserwować.

Szyrwitz wziął z ławki walizę, postawił ją na stole i zaczął wydymować gazety i broszury. Wasilewicz przeczytał nazwy: „Biednota“, „Prawda“, „Krasnoarmijskaja prawda“, „Komsomolec“.

— Cóż to ma wspólnego z Białoruską Hromadą i hurtkiem — rzekł ociężałe.

Obecni zaśmieli się.

— A któżby finansował hurtki? — objaśnił Szyrwitz, — Hromada chce zrzucić Polskę i my, bolszewicy, chcemy jej nóż do gardła przyłożyć. Weźmijmy się za rączki, zatańczmy, a dobrze, do skutku.

— A prawda, — udał przekonanego Wasilewicz.

Szyrwitz wyładował już całą bibułę, teraz wyciągał z dna walizy rewolwery. Zaczął je rozdawać młodszym członkom „hurtka“, którzy chciwie za nie chwycili.

— A co, teraz możnaby do Kąckiego się zabrać, — zawołał jeden z nich, — powiadają, że on z policją polską się zwąchał.

— Z policją on nic nie ma do czynienia, — sprostował Szyrwitz, — ale Polak jest zabity. Jeżeli można sprzątnąć zgrabnie — sprzątnijcie.

— A co się stało z tym policjantem, cośmy go wam na wasz teren zaprowadzili? — zapytał szerokomordy i wyłupiastooki okaz rasy białoruskiej.

Szyrwitz oblizał się ze smakiem.

— Bili pod żebra, w dołek, w brzuch. Mdlał, a nie chciał gadać. Ale kiedy z niego zaczęli zdzierać skórę w G. P. U...

— Widzieliście? — z zainteresowaniem zagadnął Smarczek.

— Ma się wiedzieć. Zdzierali z nóg. Krzyczał, potem kwiczeć zaczął. Śmiesznie było! Aż komisarz miał tego dosyć — zastrzelił go.

Śmiał się do rozpuku — nos jego zaostriżył się, groźne fałdy wystąpiły koło oczu i ust.

Tymczasem do chaty wniesiono dalszy bagaż, przywieziony przez Szyrwitza. Były to karabiny z obciąż-

temi łufami — obrzezanki. Członkowie „hurtka“ podzielili się i tymi obiektami pracy narodowo-kulturalnej na kresach.

— A granaty ręczne zakopcie odrazu w ziemię — jeszcze wam wybuchną i wlezie wam policja albo KOP na kark.

— Idziem, — zawołało kilku młodszych hurtkowców.

Wyszli, a do pozostałych znów zaczął gadać poseł Smarczek. Opowiadał o organizacji, o gromadzeniu broni, o bliskim połączeniu się z bolszewikami. Szyrwitz przytakiwał ze swym posępnym i złowrogim grymasem.

Skończyło się zebranie. Chłopi rozeszli się, unosząc ze sobą odezwę, gazety, broń. Z nimi jakby ulotnił się, wywietrzał trochę zapach zbrodni, który dusił prosto, ciężył, jak opar krwi w rzeźni.

Przyjezdnych poprowadził gospodarz na ich żądanie na siano. Wasilewicz ułożył się i poczuł, jak porozumiewawczo ścisła jego dłoń Skrzeżetowicz.

— Milcz, — powiedział po cichu.

Spał ciężko, dusiła go zmora, czuł rewolwer przystawiony do swej skroni. Obudził się niewypoczęty i przygnębiony.

Szyrwitz zbliżył się do niego z uprzejmym uśmiechem i ofiarował mu pudełeczko z kokainą. Wasilewicz nie oparł się pokusie. Zażył i po chwili poczuł się rzeźwym. Ogarnęła go euforia, stan niewysłowionej błogości. Poczuł chęć ruchu i przedsiębiorczość.

— Kiedy spotkamy się w Warszawie, może pan zawsze dostać u mnie wszelkie narkotyki, — rzekł Szyrwitz.

Zrobił to posunięcie. Jeżeli już Wasilewicz doszedł do udziału w zebraniu „hurtka“ i nie protestował...

Może z nim wejść w kontakt bezpośredni. Nie naproźnie osłabiał i demoralizował Wasilewicz przez pannę Antoninę. Ale z kobietą nigdy być pewnym nie można. Lepiej bezpośrednio. Zacierał ręce, myśląc o skaptowaniu Wasilewicza.

— Bezwolny degenerat, — rzekł o nim do Smarczka, — tacy będą służyli nam, ludziom nowym.

— I co ty za nowy człowiek, — odparł Smarczek, — ty najstarsza szlachta: od samego Abrahama.

Szyrwitz zmarszczył się.

— Pójdę teraz na dzień za front, dajcie pewnych ludzi, do przeprowadzenia, — zmienił temat rozmowy.

Zaczęli szeptać ze Smarczkiem. Ten rzekł do Wasilewicza:

— Łasicki będzie przez Zabołotne szedł z Mińska. Jak go spotkacie, powiedzcie mu nasze hasło na ten miesiąc: Szyrwitz. Pogadajcie i z nim. On człowiek duży.

— Dobrze, — zanotował sobie w pamięci Wasilewicz.

Skrzeżetowicz tymczasem męczył się i pocił. Widział, w jaką kabałę wciągnął ich Smarczek. Wiadomą mu była znajomość panny Antoniny z Szyrwitzem. Zanim Wasilewicz wróci do Warszawy, trzeba uprzedzić pannę Antoninę, żeby dała spokój stosunkom z bolszewikami. Trzeba ją przekonać, że zgubi Wasilewicza.

Odszedł z nim na stronę.

— Mnie się ta cała historia nie podoba, — powiedział, — przecież *tego* myśmy nigdy nie chcieli. Przecież to wywiad i dywersja bolszewicka te całe hurtki — nic innego.

— Jeszcze mnie będziesz pchał do Hromady?

— Już nie. Może pojedziesz sam do Zabołotnego.

Chcę najprędzej wrócić do Warszawy. Trzeba zniszczyć ślad jakichkolwiek naszych stosunków z Hromadą. Wiecie, oni się wsypią lada godzina. A temu djabelskiemu Szyrwitzowi może tylko o to chodzi. Bo w to „wyzwolenie Zachodniej Białorusi“ on sam chyba nie wierzy. Przecie u nich tam w Mińszczyźnie większa część ludności, zwłaszcza katolickiej, nie chce ich i byłaby chętnie powstała, gdybyśmy pomogli.

— Więc chcesz wracać sam?

— Myślę, że tak najlepiej. Rozstańmy się pozatem co prędzej z tą miłą kompanją.

— I ja tak myślę.

Zaprzężono im znowu konie. Szyrwitz został, bo miał przechodzić w nocy na stronę bolszewicką. Smarczek, Skrzeżetowicz i Wasilewicz dojechali do stacji. Tu Wasilewicz został, czekając na pociąg w stronę granicy, zaś Skrzeżetowicz ze Smarczkiem odjechał do Warszawy.

XIII

Wasilewicz wysiadł na stacji. Nie mógł jej poznać. Nowe zabudowania murowane, czysta poczekalnia. Wyszedł na peron. Ogromny księżyc stał nad kępą starych drzew. Gdyby taki namalował młody malarz, powiedzianoby: — Zbyt się wyokrąglił i wyjaskrawił, — pomyślał leniwie Wasilewicz.

Paru kolejarzy snuło się z latarkami po peronie. Do przyjezdnego podszedł chłop w kozuchu i zapytał bez cienia uprzejmości:

— Pojedziem, aj nie?

— Do Zabołotnego drogę znacie?

— Czamu nia wiedać? Wiedaju! — spojrzał się z podełba, — ja sam stamtąd.

— To pojedziemy.

Wyszli przed stację. Chłop opryskliwie wynukał konika od siana, wprzągł go w hołoble z duhą, poprawił na wozie siedzenie z siana, pokryte płachtą. Obojętnie patrzył, jak Wasilewicz sam lokował na wozie swoją walizkę.

Konik ruszył, parszcząc od niechcenia. Jechali przez śpiące miasteczko, zalane światłem księżycowem. Domki wyglądały, jak z kredy. Okrągłe kępy drzew wrzynały się konturami w płynną świetlistość. Plamy dwóch wież kościoła zaogromniały nad szeregami daszków. Jak dwa zatemperowane ołówki. Ktoś nadejdzie, weźmie jeden w rękę i napisze na niebie głoski ogniste.

Takiż jest ciemny przestwór nocy, takiż jest dusza jego. Kto wpisze w nią głoski ogniste?

Wytoczyli się na drogę białą wśród ciemnych wzgórz. Truchtem ociężałym posuwał się konik. Woźnica na mostku z ociosanych pni albo na zakręcie drogi budził się z drzemki, krzyczał: — Ny — ooo! — szarpał przez chwilę lejce bez sensu, chlastał konia i znów zapadał w bezruch.

Wyokrągliła się przed nimi góra. W pełni widne były na niej krzyże. Czarne, a kapliczka wąska i biała. Refleksy księżyca na szybie. Kilka drzew. Gałęzie splecione w jedną bryłę okrągłą. Stoją, jak głowy na długich szyjach.

Cmentarz... Może otworzy się mogiła darniowa. Z włosiem zjeżonym, z oczyma obłąkanemi od zgrozy wstanie upiór-bratobójca, smutny aktor dziejów tego kraju.

Wasilewicz nie mógł oderwać oczynionych oczu. Aż znikła góra. Księżyc ogromny i czerwony, jak oko przekrwione od łez, szedł przed nimi.

I oto znowu cmentarz. Płynne srebro szemrze w liściach brzoź. Krzyże wyciągają ramiona. Wyrwą trzon swój z ziemi, ruszą i pójda... Pójda czarne i groźne stawać na targowiskach życia. Księżyc ogromny nad gromadą krzyżów. Cisza. Czarny całun nieba w gwiazdy zwisa coraz niżej. Ludzie są martwi. Dusze umarły. Spadnie na nie kir nieba gwiazdzisty. Gwiazdy, to żyź aniołów nad umarłym światem.

Wasilewicz uczuł chłód w oczach i zrozumiał, że zimnemi, straszniemi łzami płacze nad sobą. Oto się błąka na rozdrożach wśród mogił i krzyży. Wiatr zagwizdał w polu. Dolo zgubiona, dolo!

Wjechali do wioseczki o świcie, gdy krowy, leniwie

rycząc, wychodziły z opłotków na niechlujną ulicę. Leżały na niej przypadkowo rozrzucone kamienie. Może przynieśli je kiedykolwiek ludzie, przewyciężywszy swą niedźwiedzią ospałość. A może leżą tu od tych czasów, gdy przywlokły je lodowce z Finlandji, zostawwszy tu szczątki swych moren?

Chłopi wychodzili z chat idąc na roboty i widząc „pana“, nie kłaniali się, patrzyli z podełba, wilczo i nienawistnie.

— A gdzie folwark? — zapytał Wasilewicz, chociaż wiedział doskonale.

— Folwark dalej, o wiorstę, — odparł woźnica i ożywił się: — Wam do dzierżawcy?

— Nie, mnie do wioski, — wiedziony instynktem odparł Wasilewicz, — a u kogo tu można zatrzymać się? Napić się mleka?

Chłop zatrzymał konia i wsadziwszy łapę pod czapkę, pogrzebał w czarnym włosiu.

— A może u Gałgowskiego — rzekł po chwili namysłu, — u niego cztery krowy.

Jakoż podjechał do obszernej chaty z rzeźbionymi ozdobami nad oknami i nad bramą. Białe drzewo w brunatne prążki świadczyło, że chatę niedawno pobudowano. Na ścianach jeszcze stały żywiczne łyzy. W oknach wisiały firanki, których deseń wydał się Wasilewiczowi dziwnie znanym.

— Teraz między mną a ludem niema nikogo — pomyślał, — zobaczę ich, wyczuję... Może i oni mnie przyjmą i zrozumieją... Poznam ich biedę, ich szare troski...

Wszedł przez furtkę na podwórko, cuchnące nierogacizną i nawozem. Chata była zwrócona szczytem na ulicę, a drzwi wychodziły na podwórze. Wszedł do

sieni, z której z gdakaniem wypadły kury. Poruszył kłamkę w drzwiach i znalazł się w pierwszej izbie.

Prawie połowę izby zajmował wielki piec, którego czeluść wypełniona była buzującym ogniem. Przed otworem pieca stały żelźniaki z parkoczącymi kartoflami.

Stara kobieta w samodziałach stała z drążkiem przed piecem, przesuwając garnki. Odpowiedziała na pozdrowienie pana grzecznie i z niejaką czołobitnością. Po staroświecku. Ale młoda kobieta z dzieckiem odwróciła się od niego niegrzecznie.

Usiadł na ławce, czekając na obiecane mleko. Rozglądał się. Brud jest, ale gdzież nędza? Maszyna do szycia, gramofon, duże skrzynie widocznie dobrze wypełnione przyodziewkiem. Szafa...

Tu Wasilewicz doznał tak nagłego wzruszenia, aż go ścisnęło za gardło. Podeszedł do szafy mahoniowej. Okółki brązowe na dziurkach od klucza z głowami lwa... Wydrapane przez niego scyzorykiem na prawej połowie drzwi: Miss Betty is stupid. Za tę zniewagę swojej angelki i niszczenie rzeczy został zamknięty na parę godzin w sali bilardowej i poobrywał liście na dwóch wielkich wazonach z bluszczem. Szafa z Wasilewa!

Otworzono drzwi. Odskoczył od szafy i udał, że wygląda przez okno. I teraz poznał na oknie firanki ze swego gabinetu. Na drogim, mocnym tiulu szlaki z wianuszkami, dyskretny deseń, wyrób francuski. Nieraz w godzinach siesty, odpoczywając na otomanie po parogodzinne czytaniu, wpatrywał się w firankę, nie mogąc się opędzić mimowolnemu liczeniu wianuszków na niej. Dlatego tak dobrze zapamiętał ten deseń.

Wszedł duży chłop białowłosy i piegowaty. Miał na twarzy zawziętość i okrucieństwo. Nie odpowiedział na pozdrowienie Wasilewicza. Patrząc na niego z podełba, zamienił z kobietami po cichu kilka słów i wyszedł.

— Może wam przeszkadza? — zapytał Wasilewicz, którego ta atmosfera zaczynała denerwować.

— Nie, nam cóż, — odparła młoda kobieta, silniejszawiązując brudny fartuch.

Paru chłopców o wypalonych słońcem czuprynach, piegowatych i bezczelnych zlaźło z łóżka, na którym piętrzyły się sterty poduszek w poszewkach z różowego perkalu. Zaczęli się bić, wydzierając sobie z rąk fotografie. Matka paru szturchańcami przywołała ich do porządku. Wleźli na ławkę i zaczęli rozkładać fotografie na stole. Wasilewicz podszedł.

Fotografie jego rodziny.

— Temu panu wykłuję oczy, — rzekł starszy i końcem nożyka dokonał operacji na podobiznie ojca Wasilewicza, który ongi oddał dziesięć folwarków ubogim chłopom i był dobroczyńcą swej okolicy.

— A tej pani przerżnę gardło, — zapowiedział drugi, — szyję wystawia gołą, ot jej po szyi.

Poderżnął szyję matce Wasilewicza, która była sfotografowana w stroju balowym.

W tej chwili starsza kobieta postawiła przed nim mleko w niezbyt czystym kubku.

— Dziękuję, duszno w chacie, aż pić się odechciało, — powiedział Wasilewicz stłumionym głosem, położył na stole pieniądze i wyszedł.

Zatrzymał się w małej chatce na końcu wsi. Ale i tam widać było chłopski dostatek. Dużo kozuchów wisiało w izbie. Rodzina siedząca przy stole jadła suto i nie żałowała sobie.

Przywitano go nieco uprzejmiej, ale ze zwykłą Białorusinom nieufnością. Usiadł na ławce i powoli wywiadywał się o rzeczy potrzebne.

— To wieś Zabołotne?

— A wieś.

— A jaka najbliższa wioska, czy zaścianek, czy folwark?

— Najbliżej folwark Zabołotne.

— A czyżże on?

— Wasilewicza był. Zostało jego wszystko u bolszewików. Tylko ten jeden folwark pod Polskę podszedł.

— A teraz tam kto?

— Wasilewicza dzierżawca. Jak pan Osmołowski prawo wydał, że ziemia po dziesięciu latach przejdzie do dzierżawcy na własność, jeżeli on dziesięć lat dzierżawę trzyma, tak on nie rusza się stąd. Za rok, mówię, moja ziemia będzie! Nawet córce, zamąż wydając, dwadzieścia morgów odpisał.

— A gdzie Wasilewicz?

— Powiadają, zabili go w wojnie z Ukraińcami we Lwowie. Wam, panie, lepiej wiedzieć...

Popatrzył na niego wyczekująco.

— Skądże, — uśmiechnął się Wasilewicz z przymusem — obcy ja tutaj, a Wasilewicza na świecie nie spotykał. Pozwolicie przespąć się na sianie w odrynie?

— Śpijcie, zróbcie łaskę.

— A wieczorem dacie konie na pociąg?

— Można. Jednego konia. Dwadzieścia złotych.

— Niech będzie, — zgodził się Wasilewicz na to zdzierstwo.

Przespawszy się w odrynie, Wasilewicz poszedł obejrzeć swój folwark. Zdaleka zobaczył mały dworek, przed którym kiwały się na wietrze słoneczniki. Po-

letki były obsiane porządnie. Kawał lasu stał na błocie. Pnie olch wznosiły się na kępach, wystających z czarnego bagna. Rozrosłe paprocie obejmowały je, jak wazon. Ukośne smugi promieni wypełniały las zimną świetlistością. Na twardszym miejscu leżał olbrzymi głaz erratyczny. Zwiertzał już po wierzchu i okrył się warstewką próchnicy. Grzęda fioletowych wierzbówek, wysokich kwiatów o kiściach, wystrzelających z pośród wąskiego listowia porwała oczy. Drobne sosny nad głazem rozłożyły ciemne tło. Tajemny zakątek lasu. Siedziba elfów. Rycina z połowy XIX-go wieku, gdzie sentymentalnie wymuskano przyrodę. Ten zakątek z precyzją przyrodnika i zachwytem artysty malowałby wielki Lionardo.

Grzęda fioletowych kwiatów wieńcząca głaz... Głaz jak czaszka powalonego olbrzyma...

Wasilewicz poszedł cichą groblą, zarosłą trawą. Po obu stronach grobli stały olchy, paprocie i krzewy jeżyn i wilczej jagody. Wiedział dawniej z relacji rządcy, że tam dalej są łąki na błotach. Można je kosić tylko w suche lato. A i wtedy czasem się kosi, stojąc w wodzie. Postępowy rządcza-agronom nastawał, by zrobić drenaż. Osuszyć tę przestrzeń olbrzymią i na nowych gruntach umieścić polskich osadników. Wasilewicz odkładał realizację tego projektu.

Siano ustawiano na błotach w stogach, a dopiero w zimie, po zamrażniętych obszarach wywożono na saniach.

Wyboje od kół z zeszłego roku porosły już trawą. Zaginał ślad od płoźów...

Cisza była na szerokiej drodze. Pod konarem gałęzie tworzyły jakby okno w głąb. W smudze światła drobne, jasne mchy kształtu gwiazdek. Aksamit leśny.

Ciemne koronki rozkłada w złotym powietrzu paproć — zanokcica, już od spodu osypana ciemnymi punkcikami zalążków.

Niechętnie ujrzał Wasilewicz ludzi. Wracali gromadą z kośby na błotach. Byli utaplani w wodzie po pas. Mieli płócienną koszulę i kosy na ramionach. Kobiety ubrane były w spłowiałe spódnice z lnianego samodziału i bluzki z miejskiego kretonu. Przeszli, nie pozdrawiając go i wielokrotnie oglądali się na niego nieżyczliwie i nieufnie.

Wasilewicz podszedł aż do błot. Szła w dalekie horyzonty, w nieogarniony przestwór błot udeptana droga.

Stary człowiek w płótniance szedł, niosąc łapcie niedoplecione.

— A skąd wy? — zaczepił go Wasilewicz.

— Z Hołodnicz.

— Czy jest droga przez błota?

— A jest. *Sioleto* sucho, można przejść, tylko ze ścieżki ani na prawo, ani na lewo. Trafic w błoto — i zassie. Nie zostanie z człowieka ani czubka głowy. Tylko za nim czort zachichocze, a wilk koło tego miejsca zawyje.

— I dalekoż prowadzi ta droga?

— A daleko. Tam się skończy Zabołotne, gdzie wierzba sucha. A potem — nasze kwatery, Pławuszyńskie, a potem — Ostrowlańskie — i będzie las. A za lasem — już blisko wieś Hołownia. Tam teraz legiony są.

Wasilewicz poczęstował rozmownego starowinę papierosem. Obrócił się ku bagnom, których nie wybrał się nigdy osuszyć.

Słońce ogromne i czerwone stało nad błotami.

Krwawa głowa ucięta. Symbol tego kraju, który jest potwornym, bezgłowym kadłubem...

Wrócił do wioski, do tych samych ludzi. Zapytał o konie na nocny pociąg. Teraz gospodarz, nie patrząc mu w oczy, odmówił.

— W nocy nie pojedzie, o świcie można, w nocy za nic... Wilki chodzą. Bandytów z za frontu widzieli. Konia odbiorą, może zabiją. Nie wie kim Wasilewicz jest i jakie ma sprawy. Tu na pograniczu nieznajomych wozić niebezpiecznie. Narazić się można jak nie władzom polskim, to jeszcze komu...

Wasilewicz widział, że gospodarz jego kłamie i że za nic nie da mu koni. Poszedł do innych, ale spotkał się z grubą odmową. Widocznie, chłopci coś w tem mieli, aby nie wypuścić go ze wsi. Zaniepokojony i zniechęcony zjadł trochę mleka kwaśnego, które cuchnęło źle umytym garnkiem oraz źle wypieczonego razowca i poszedł spać na siano.

Zaledwie się ułożył, posłyszał, że drzwi odryny zamknięto na skobel.

Serce mu stanęło. Był w pułapce. Zobaczył jastrzębie oczy dzieci, które znęcały się nad fotografiami jego rodziców. Poczul ostrze nożyka w swych oczach.

Chłopci uważali widać, że niema potrzeby zwracać na niego uwagi. Był w ich mocy. Nie wymknie się. Było ich kilku. Mówili gwałtownie.

— Tak ty każesz, Józiu, szto heta sam Wasilewicz?

— Ot, niech się ziemia rozstąpi... Jej Bohu! Jaz nieraz bywał w Wasilewie! Nietylko, jak my tam hulali.

— I ja jaho baczu.

— Jaz wam mówię, — brzmiał pierwszy głos —

że on tu przyszedł odebrać Zabołotne. Jeszcze trochę czasu i byłoby Zabołotne moje, bo skończyłoby się dziesięć lat dzierżawy. Za błotami, na boku leży — nikt go nie zauważył, gdzie ono jest. Nawet tu komisja nie przyjeżdżała. A tu czort jego przyniósł!

Bezmiar nienawiści zabrzmiał w głosie chłopca.

— Przecie ty, Mikołaj, kontrakt masz.

— Kontrakt na sześć lat, on może każdej chwili wysiedlić.

— To i rzeczy on nam poodbiera, co zabraliśmy jak grabili my Wasilewo!

— Pewno, że poodbiera! A tobie bardzo potrzebne, coś zabrał z Wasilewa, jak fortepian stoi w odrynie, kury w nim siedzą na jajach!

— Może on mi niepotrzebny, a taki lubo, że mój, nie jego, pana!

— Któż jego skończy? — zapytał jakiś głos i drgnął z ociąganiem się.

— Nikt z nas — przemówił twardo dzierżawca — pierwsze podejrzenie na nas. A już na mnie to pewno. Posłałem za front do Wasilewa. Niech go zabiorą i za frontem zatłuką. I ręce czyste i sprawa zrobiona. Nie bolszewicy będą się martwić o pana! Ja im kazał powiedzieć: — Teraz wy Wasilewskie dobro trzymacie. Nim przyszedli robić Sowchoz, wy już ziemię i pastwiska rozchwyтали. A jakby bolszewików car wypędził? Wasilewicz znowu przyjdzie po swoje.

— Tak, tak — przytakiwano — z nim skończyć to już na zawsze spokój.

— A przyjdą oni?

— Przyjdą. Chłopak po nich o zmierzchu posłany. Przed północą będą, ani chybi.

— Ludu mój białoruski, z moją wielką tęsknotą

i miłością idę do ciebie, — białemi wargami szeptał Wasilewicz i śmiał się bezgłośnie.

— A nie uciekniesz?

— Co wy! Odryna mocna — z jego lasu jeszcze podczas wojny niemieckiej budowana! Gdzież on wyjdzie?

Oddalili się. Wasilewicz patrzył bezmyślnie w ścianę. Ujrzał szparę, przez którą się sęczyły resztki zmierzającego dnia. Nie było jej widać w dzień. Odsłonił ją, ugniótłszy siano.

Przyczółkał się i zaczął próbować. Deska w tym miejscu była wstawiona słabo. Widać między nowe, przy nieporządnej chłopskiej budowie, wsunięto starą deskę.

Siły jego dawniejsze stargał alkohol i kokaina. Ale w tej chwili uczuł przyływ energii. Mięśnie jego naciągnęły się, jak pasy rzemienne. Deska chrupnęła. Ukazał się otwór.

Wyjrzał ostrożnie. Tędy można się było dostać na tyły obejścia, do sadu między konopie. Z trudnością przecisnął się między deskami. Ręką zzewnątrz naciągnął na zbawczy otwór siano, by go nie zauważyli prześladowcy. Wszedł w konopie. Jak w „Panu Tadeuszu“ woźny! — pomyślał. Szedł z wyciągniętą ręką, pamiętając, że jest tu drut kolczasty, którym ogrodzony był sad. Jakoż napotkał go w ciemności i ukłuł się w rękę. Rozszerzając ostrożnie druty, przeszedł, zostawiając na kolcach strzępy ubrania.

Znalazłszy się za ogrodzeniem poszedł wielkimi krokami. Pies za nim zaszczekał, ale go nie gonił.

Kierował się ku zaroślom, czerniejącym w zmierzchu. Zaszył się w nie, usiadł na pniu zmurszałym. Wtedy dopiero otarł pot z czoła i zaczął się zastanawiać, w którą stronę uciekać.

Na drodze koło zarośli usłyszał głosy.

— A nie wypuszczą jego? — pytał gruby bas.

— A nie, czemuż mają wypuścić.

— A może jak poszedł folwark oglądać, tak nie wrócił?

— Na drogach straż postawiona. Zając nie przebiegnie. Ani do miasteczka, ani do Pławuszek nie puszcza. A trzecia droga — jedna: przez błota. A tam i bez nas przepadnie.

— Zawsze pewniej jemu w naszych rękach przepaść — odparł ten sam gruby głos.

— Pewno, że tak — przytaknął głos wyrostka, widocznie wysłańca z Zabołotnego.

Chłopi przeszli. Widział ich ciemne sylwety przez liście. Jeden kurzył fajkę i czerwony tlejący punkt poruszał się w powietrzu. Jakby sam szedł.

Wasilewicz niedługo się zastanawiał. I na polowaniach, i na wojnie wyrobił w sobie instynkt nieomylny. Poczucie maximum niebezpieczeństwa w danym punkcie. Jako myśliwy nieraz po pas bywał w błotach. Zapadł się parę razy w trzęsawiska i wyratował z trudnością. Mniej go straszły wielomilowe bagna, niż ludzie.

Kiedy skończyły się zarośla na grobli, którą Wasilewicz obejrzał w dzień i pod podeszwą zachlupotała mu woda, cofnął się na suche miejsce. Rozzuł się, przewiesił trzewiki przez ramię. Wyłamał po ciemku grubą gałąź i ruszył naprzód. Grunt ugiął się pod nim. Zimna woda dotkliwie raziła stopy. Ale wiedział, że wielogodzinny marsz w przemokłych trzewikach jest jeszcze gorszy.

Przypominał sobie, przeżywał mimowoli uczucia zwierza, złapanego w pułapkę. Moment rozpacz, że

to już koniec. Gniew, że tak głupio i marnie zginie. Szczęście, krzyk triumfu, że jest wyjście z obieży!

Teraz, wszedłszy na bagna, oddychał głęboko i radośnie. Miał prześladowców za sobą. Wyrwał się im. Żyje! Zrzucił nóż z gardła.

Świat wydał mu się pięknym. Przychylna i miła była nawet ta woda, chlupocząca pod nogami i te uginające się pod nim niezliczone warstwy torfowca, które od prawieków wypełniały kotlinę jeziorną, aż ją zamieniły w trzęsawisko. Upiorne, zimne światło księżyca było pełne uroku. Oddawna poraz pierwszy otworzyły się jego oczy, nieczułe na przyrodę, poraz pierwszy nanowu wyszedł poza własne czucia zmysłowe. W tych czuciach roztopiał i unicestwiał ból, kiedy stawał się nie do zniesienia. Głuszył myśl świadomą, i torturę wyrzutów sumienia, iż nie dźwignął pełni odpowiedzialności dziejowej, nie dociągnął się do pierwowzoru doskonałości, który w nim bytował.

Stopniowo dusza jego drętwiała. Z twardym chichotem spotykała dawne obrazy, piękne i miłe, wynurzające się z topieli nieświadomego na brzeg świadomości. Uragliwie akceptowała niespełnienie zadań życiowych. Nienawistnie odpychała wieść o cierpieniu zadanem przez siebie. Patrzyła na dzieła sztuki w sposób grzeszny — oceniając fakturę, nie doznając emocji. Czuła się oderwana od przyrody i człowieka — brata.

Wstrząs, jakiego doznał ten człowiek w letargu, odrazu ożywił w nim wszystkie uczucia. Zziębnięty, trochę drżący ze zdenerwowania uśmiechał się nanowu do życia. Odzyskał świeżość wrażeń...

Czarno-szafirowe niebo wydało mu się olbrzymim płaszczem Matki Bożej. Widział Ją oczami wyobraźni. Przedziwnie słodka twarz, niecielesna, z białego obłoku.

Uśmiech wszechwiedzy. Dłonie wyciągnięte. Stopki w srebrnych trzewiczkach wsparte na krawędzi księżycy. Cudna. Przeświata. Słodycz zalała mu serce. Obiecował Jej za ocalenie dary i kadzidlany dym modlitw. Zrzucił Jej ołtarz różami. Odrodzi się...

Chmury narzuciły na błota płachtę czerni. Chybił drogi i noga jego pograżyła się po kolano. Oparł się kijem o twardą kępę i wydzwignął się mocnym podrzutem. Uświadomił sobie, że warstwy zgniłych mchów, po których idzie, mają przerwy, studnie i jeziorka wody zaskórnej. Że nie wszędzie kozuch wierzchni jest dość mocno spojony pracowitą tkaniną korzonków. Że ugną się w którymś miejscu wciągając w topiel rudej wody.

Stał na miejscu, owiany grozą tej świadomości, dokładnie widząc w przekroju głąb trzęsawiska. Dopiero, kiedy księżyc wyjrzał znowu, ruszył ostrożnie naprzód.

Naprzeciwno powiększał się jakiś kształt. Rósł w miarę zbliżenia. Wasilewicz namacał rewolwer w kieszeni. Ujrzał wyciągnięte olbrzymie ramiona. Między nimi — na długiej nadmiernie szyi — czapkę pokracczną. Scisnęło mu pierś poczucie nadprzyrodzonego. W tym obszarze zagrzebanych, zwęglonych istnień roślinnych, niedostępnym dla ludzkiej władzy, co za siły ciemne potopiły ludzi, jakie widma chodzą tu swobodnie, niepłoszone wolą i wiarą człowieka?

Ale wśród wielkich ramion małe rączki zaczęły kiwać przychylnie. Podmuch wiatru przejął go do kości. Nie, to żadne widmo. Drzewo poprostu. To pewnie sucha wierzba, granica Zabołotnego!

Rosła na kępie, wydzwigniętej nad mokrym obszarem. Wszedł na nią z uczuciem ulgi. Nakoniec nogi jego spoczęły na twardziźnie, wilgotnej tylko od rosy!

Przyglądał się zwitkowi węzlistych gałązek na wierzchołku środkowego konaru wierzby, który wydał mu się zdaleka głową. Usadowił się na niskim konarze. Postanowił drzemać, aż się trochę rozwidni.

Jakoż trzęsąc się z zimna, zadrzemał gorączkowo. W pewnej chwili ocknął się, jakby ktoś trącił go w serce. Był skostniały, przemęczony, zdawało mu się, że się już z miejsca nie ruszy.

Nagle pole jego widzenia przeszło czerwone światło zdaleka. Zaniepokojenie zaczęło ssąć go wewnątrz, jak pijawka, co przywarła do miejsca najczulszego.

— Błędny ogień na błotach? — pomyślał.

Światło szło, chwając się, prosto na niego.

Zdaleka wiatr przywiał głosy.

Wasilewicz myślał przed chwilą, że zimniej, niż jemu, na świecie być nie może. Ale teraz poczuł śmiertelny chłód. Włos mu się zjeżył na głowie.

Zrozumiał, że tym razem idzie śmierć.

— Lepiej w topieli, jak w ich chamskich łapach, — zdecydował prosto i po męsku, — albo się uda, albo nie uda.

Macając kijem, zszedł w bok z wydeptanej drogi.

Na bagnach w głębokiej ciszy rozlegał się daleko głos.

— Czort pobieri, ot, tu ślad został w trawie.

— Może to szedł kto nad wieczorem?

— Czorta tam nad wieczorem. Ślad w stronę Holowniańskiego lasu zwrócony. Tak długo na błocie ślad nie zostaje. Podniesie woda trawę i znowu gładko.

— Gdzież on poszedł?

— Może latarnię miał, to i poszedł, jak my.

— A może w lasku przed błotem się schował?

— Jak my w dziesięciu ludzi lasek przeszli! W błocie

się nie schował! My koło każdej olchy obszukali! Cały olsznik nie większy, jak podwórko!

Wasilewicz brnął już po kostki. Oddalił się znacznie od drogi. Tu już po nim na zalanym wodą gruncie śladów nie zostaje. Latarnia zbliżała się mozolnie do wierzby. Nachylił się i dotknął powierzchni błota, wy-czuwając twarde rośliny pod stopą. Były to krzemieniste skrzypy. Położył się na ziemi, kryjąc między rośliny twarz i ręce, które mogły bieleć w ciemności. Grunt ugiął się pod nim.

Chłopi byli już koło wierzby. Podnieśli wysoko latarnię i wodzili nią po okolicy. Wasilewicz patrzył przez żdźbła skrzypów na światło. Nie czuł w tej chwili ani chłodu i mokrej wody, ani też zapadającego się pod nim gruntu. Całe życie jego zatrzymało się na tem świetle. Refleks padł na niego smugą zgóry... Widzą... Koniec... O Boże!

Ale nie zdawał sobie sprawy, że jest już we wgłębieniu, poniżej poziomu równiny. Nad wgłębieniem tem stał las żdziebeł dziesięciocentymetrowych. Można go było odkryć tylko ze znacznej wysokości.

Z ulgą usłyszał głosy:

— Gdzież on się podział do licha?

— Ślad idzie do wierzby, a dalej ani-ani!

— Wciągnął go djabeł na dno, czy jak?

— Poszukaćby dokoła?

— Czy nie wiesz, że tu grząsko? Raz studnia się robi w jednym miejscu, raz w drugim. Po nocy — nie daj Boże zejść z drogi!

— Więc co robić?

— W dzień go poszukać. Drogi nie znając, nie zajdzie nigdzie.

— Kto w dzień ma czas?

— Mnie do Hołowniańskiego lasku i tak trzeba.
— Poco?
— Łasicki z Mińska przyjdzie. Przeprowadzić jego trzeba.

— A Łasicki! Ot, dobrze!
— Pamiętajcie pomoc dać!
— Damy! My wiemy, on przeciw panom!
— Tyle i warte wasze szukanie! Ja sam już stary, mnie trudno. Syna nie mam, same córki. Obiecuję sto pudów żyta, kto jego zatłucze jak psa. Niech on żywy ucieknie, będzie się mścił. Rząd, choć panów nie bardzo słucha, ale nie może jemu pomocy nie dać. Wszystko nam odbierze, wszystko! Z torbami pójdziemy!

— Chyba nie ty, Mikołaju! Tyle lat dzierżawy nie płacąc, tyle dobra wzięwszy z Wasilewa, — masz pieniądze! Będzie z czem na nową dzierżawę wyjechać, albo i ziemi własnej kupić!

— Wam tylko patrzeć w cudze kieszenie!

Zaczęli się oddalać. Wasilewicz odetchnął. Wyciągnął rękę i namacał już o pół metra nad sobą krawędź zagłębienia, krawędź własnej mogiły. Zapadał się w głąb. Dźwignął się bardzo powoli. Gwałtowny ruch pograżyłyby go jeszcze bardziej. Siedząc, wodził ręką, szukając oparcia. Napotkał krzepki krzak, jałowca zapewne, bo uczył ukłucie w rękę. Chwycił się go oburącz. Przewyciężając ból w rękach, podciągnął się w górę. Wygramolił się na suchą kępę, podstawę krzaka. Ugniótł go, rozgarnął gałęzie. Usiadł. Nareszcie znowu bezpieczny!

Wtedy z siłą ozwały się wszystkie dolegliwości. Zabolały pokłóte ręce. Zmoczony prawy bok sprawiał cierpienie nieznosne. Dobrze, że rewolwer nie zamókł, był w lewej kieszeni. Nogi zdrętwiały od wody. Zmęczony organizm domagał się dawki narkotyku.

Zebrał się w sobie na wytrzymałość, do końca, aż wybawi go świt. Skurczył się, ochraniając uciekające ciepło ciała. Przedygotał tak, aż na widnokręgu ukazał się blado-żółty pas świtu. Mgły przedranne zasłaly obszar błot srebrnym obrusem. Gdy zaczęły się przerzedzać cokolwiek, a wschód się zakrwawił, Wasilewicz przygotował się znowu do drogi. Pilnie rozglądał się po okolicy.

Pod nogami jego było podłużne wgłębienie, wypełnione wodą. Tu leżał w nocy. Byłoby go tu zalało. Smuga burej wody wyglądała, jak nagle rozwarłe usta bagniska, które chciały go wessać na wieki.

Zdaleka widział ścieżkę, w którą przechodziła droga za wierzbą. Ścieżką tą przyjdą go szukać ludzie. Będą wyspani, najedzeni, w suchym ubraniu. Będą silni i niewycieńczeni. A on jest chory, przemęczony, głodny i zziębnięty.

Zaledwie jednak wyobraził sobie potworną śmierć w rękach zbolszewizowanego chłopstwa, które rozegrywało z nim stawkę jego mienia, gdy potężny ten bodziec dźwignął zbolełe jego ciało na nogi. Wyprzedzi ich! Znajdzie drogę!

Wracał na drogę ostrożnie, próbując miejsce każdego kroku kijem. Cieszył się, że zaryzykował wtedy w nocy i ocalał. A przecie mógł trafić do jakiejś bezdennej dziury, o której mówili chłopci, i przepaść, jak kamień w wodę.

Nareszcie stąpił na ścieżkę. Poszedł rzeźwiej, pomimo nieznosnego chlupotu wody, którą wyciskał z warstwy mchu każdym krokiem.

Naprawo i nalewo szły zagony skrzypów i mietlicy. Wśród nich sterczały ostatnie, nierozwiane jeszcze przez wiatry kłaczki nasienne bawełnicy. Białe zwiteczki

waty, w morzu zieleni i brunatnych pióropuszków trawy. Pod stopą siedział mech rudawy z gałązek i zielony, z łodyżek pojedynczych, obrosłych drobnym liściem. Czerwone liście nieznanego mu rośliny wystawały z kobierca mchu, który przypominał mu roboty babki ze strzyżonej włóczki.

Słońce wstało na tle z purpury i różowej gazy. Oślepiło mu oczy. Chwilę trzymało się na linii horyzontu, ciekawie zaglądając do ziemi z przestworów kosmicznych. Potem zaczęło się wznosić nad nieograniczonym obszarem błot.

Mgły opadły. Zaczęło być cieplej. Słońce życiodajne, słońce cudotwórcze — szeptał Wasilewicz.

Wyrwany z warunków bytu cywilizowanego, rzucony nagle w dziki bezmiar przyrody, odnajdywał w sobie prastary atawizm walki i kamienną moc przetrwania, która uratowała praojca jego — jaskiniowca. Która kazała na takim, jak to, zarośniętym dziś jeziorze stawiać budowle na palach i mieszkać nad wodą, razem z żeremią bobra, wydrą i rojami meszek i komarów.

Po obu stronach ścieżki, wzmocnionej pniakami i gałęzmi, wbitemi w błoto, słały się już nie zielone trawy, lecz kępy mchów i krzewów, otoczone czarnym grzęzawiskiem. Karłowate brzoźki, olchy i jałowiec sterczały nad równiną. W niektórych miejscach ścieżka zapadała się i musiał skakać z kępy na kępę. Gdzieś niedługo widział liście żórawin.

Ruch na ścieżce zwrócił jego uwagę. Zygzakował po mchu wąż. Pełził naprzeciwko, płasko sunąc główkę podłużną po mchu.

— Zwyczajny zaskroniec, czy inne lichy? — pomyślał Wasilewicz z odrazą, trzymając kij w pogotowiu.

Wąż podniósł się, miotając żądłem w paszczy, syknął i popęłzył w bok. Wkrótce zginął wśród mietlicy. Wasilewicz poszedł dalej, pilnie badając grunt pod nogami.

Na widnokręgu zamajaczył znowu kształt. Zbieg zatrzymał się z silnym biciem serca. Nie, to nie był ludzki kształt.

Rysował się coraz wyraźniej na białym niebie porannym. Wspaniałe rosochy zdają się sięgać chmur, które nisko rozwiesiły się, jak dekoracje. Smukłe nogi i kadłub zwinny i potężny... Łoś, wymierający mieszkawiec tych zagubionych obszarów...

Żyłka myśliwska zagrała w Wasilewicu. Och, mieć w rękę strzelbę! Nie ruszał się długą chwilę, podziwiając króla zwierząt na trzęsawiskach i niedostępnych lasach, do których prowadził go instynkt pierwotny, już zatracony przez ludzi.

Łoś obrócił się i znikł w paśmie zarośli wierzbowych. Tu była jakby wyspa w morzu chlupoczącego bagna i czarnej mokrzyzny — twardszy grunt, gdzie mogły zapuścić korzenie większe drzewiny.

Wasilewicz wszedł i usiadł z rozkoszą na suchym miejscu, które w nocy osłaniały od rosy suche gałęzie. Dokoła rósł odurzający bagun, zwany na ziemiach środkowo-polskich bagnem i jagody pijanice. Zerwał garść jagód. Orzeźwiły go, ale wkrótce doznał zawrotu głowy i odrzucił je.

Nie mógł zatrzymać się nigdzie, musiał wyprzedzić pościg. Osuszył nogi trawami i ogrzał je trochę na jeszcze słabym słońcu. Dźwignął się z trudnością i podjął marsz po ścieżce, która wkrótce wybiegła z zarośli.

Na wysokim pagórku zobaczył poszarpanego zająca.

Długie zęby wyszczerzył w przedśmiertnym skurczu. Skoki miał odwalone na dwie strony, a wnętrzności wyszarpane.

Był to symbol dzikiej walki, którą wydało sobie wszystko żyjące. Czy i on będzie powalony i poszarpany? Dokoła leżały kłaki sierści, wydarte ze zwyczajonego.

Słońce podniosło się już dość wysoko, gdy w dali za fioletową sreżogą zamajaczył las.

— To już pewnie las Hołowiański, za nim — zbawienie — myślał Wasilewicz z otuchą.

Pod lasem przemknął szary zwierz. Pies? To już blisko osiedla? Zwierz zatrzymał się i wyciągnął pysk czujnie w stronę nadchodzącego. Potem lekkimi skokami zaczął mu zabiegać drogę z prawa i z lewa.

Widział teraz, że jest to olbrzymi, stary wilk. Wystarczyłby jeden jego skok do gardła... Może go nie ruszy. Sięgnął jednak po rewolwer. Zwierz coraz to zacieśniał półkola. Wasilewicz czuł coraz większe zdenerwowanie. Nie wytrzymał. Wycelował i strzelił.

Ujrzał, że nie trafił, spłoszył tylko drapieżnika, który wielkimi susami pomknął po kozuchu mchów. Powierzchnia bagna zaledwie ugięła się pod nim.

Wasilewicz po strzale obejrzał się. Nie widział nikogo za sobą. Wszedł w las, aby tu się ukryć.

Z gęstych krzewów wyszedł nagle na spotkanie jego myśliwy. Miał buty juchtowe, kurtkę myśliwską, ładownicę i strzelbę.

— Pan strzelał? — zapytał, uchylając czapeczki.

— Tak. Odpędziłem wilka.

— Wilka? No, proszę — powątpiewał tamten, przyglądając się Wasilewiczowi, — to pan wyszedł na polowanie? Jakoś nie bardzo odpowiednio pan wyekwipowany.

Widząc pleczystego i brodatego chłopca, który wysuwał się za myśliwym, Wasilewicz połapał się w sytuacji.

— Bo polowałem tylko przypadkiem. Objeżdżałem kresy z posłem Smarczkiem, jako Białorusin z przekonania. Wyprzedziłem go, mając sprawy osobiste w tej okolicy. Pożyczyłem sobie u „naszych“ ludzi strzelbę, ale zabiłem aż na błota. Sam się nie utopiłem, zato utopiłem w trzęsawisku strzelbę. Będę musiał odkupić. Szkoda. To pieniądz w naszych czasach.

— A czy pan nie chciał kogo spotkać za błotami przypadkiem? He?

Wasilewicz nachylił się do jego ucha.

— Nie Łasicki pan będzie?

Tamten przyglądał się mu długo świdrującymi, nieprzyjemnymi oczkami.

— Panu kto o Łasickim mówił? Smarczek?

— Ehe.

— A sam pan kto będziesz? Skrzeżetowicz może?

— Nie, Wasilewicz. Po pana wyjdą ludzie z Zabołotnego. Tylko ich patrzeć.

— Widzę, że pan swój człowiek — rozkrochmalił się Łasicki, — jaki zapach dla ruchu? Ryzykował pan taką podróż po błotach, żeby zobaczyć się ze mną?

— Nigdy nie za wiele fatygi, żeby zobaczyć wielkiego człowieka!

Łasicki roztopił się jak masło.

— Ależ przemókł pan! Chodźmy!

Poprowadził go do osłoniętej kotlinki, gdzie płonął ogieniaszek. Wasilewicz ogrzał nogi i obuł się.

— Jakże tam w Mińsku? — zagadnął Wasilewicz.

Łasicki nachmurzył się i twarz jego zbrzydła jeszcze bardziej.

— W Mińsku zawsze to samo. Na szyldzie Białoruś, a w środku moskiewszczyzna. Oszukałem się na nich. Gdybym wiedział wtedy, kiedy Polacy byli w Mińsku...

— To co?

— Możeby robił inaczej.

— A mianowicie?

— Możeby nie brał pieniędzy od bolszewików i Ukraińców. Możeby za bolszewickie pieniądze nie organizował w Mińszczyźnie partyzantki przeciw Polakom. Proszę się napić.

Wasilewicz odsunął gwałtownie flaszkę z wódką, którą ten mu podawał. Opanował się zaraz.

— Nie wiedziałem, że ma pan tak wielkie dla Białejrusi zasługi.

— Jakże — podjął Łasicki chełpliwie, — dlategoż oni w Mińsku myśleli, czy mnie nie powiesić. Ale że miękkie polskie serca — wypuścili. A moi partyzanci im zato kulami wdzięczność wypisali.

— No, a teraz, jeżeli pan zraził się do bolszewików?

— Teraz nie czas się cofać, — rzekł Łasicki głucho, — między mną a Polską morze krwi. Nie przepłyniesz.

— Więc będziemy przyłączali ziemie białoruskie do Mińszczyzny?

— Do republiki białoruskiej chce pan powiedzieć?

— Daj pan spokój z republiką. Tu nas tylko dwóch augurów, niema tłumu. Mówmy zgodnie z rzeczywistością: do gubernij Mińskiej, Witebskiej i Mohylowskiej, albo do Mińskiego kraju.

— Niech i tak będzie. Pan, widzę, człowiek inteligentny. W lot pojmuje. Nie trzeba panu frazesów. Wiem dobrze, że pcham mój naród w nieuchronną

asymilację z Moskwą. Białoruś utonie w oceanie kaptstwa. I zdziczeje.

— A z Polską?

— A z Polską, z nazbyt miękką Polską ocali odrębność swego szczepu i zyska wyższą kulturę i rozkwit ekonomiczny.

— W takim razie?...

Małe oczki Łasickiego błyszczały strasznym ogniem na jego brzydkiej twarzy.

— W takim razie... Ot panu raz...

Wyciągnął z kieszeni garść złotych rubli.

— Najwyższy argument człowieka, umiającego z ironją Mefistofelesa patrzeć na ludzkość.

Wasilewicz wstał. Oparł się o pień drzewa.

— Pan sprzedaje swój naród — rzekł głucho.

— Ot i frazes! Sprzedaję! Naród — to jego inteligencja. Jest nas, powiedzmy, garść inteligencji i pół-inteligencji białoruskiej. Co my znaczyć będziemy w Polsce? Tam każdy od nas wyższy i zdolniejszy. Nie nas wezmą na ministrów. Co mówię? Na starostów nie wezmą! Nam trzeba przestrzeni! Tłumu na piedestał trzeba. Nigdzie człowiek o instynkcie władzy nie nasyci tak owego instynktu, jak w zaczynającym się ruchu narodowym. Tu rozpierać się nie trzeba. Wszystkie miejsca wolne. Bierz, jakie chcesz.

— Teraz rozumiem i teraz dopiero podziwiam pana! Pan jest nadczłowiek!

— Co ja! Starościński jest nadczłowiek! Urodzony trybun, jak Trocki! Najwytrawniejszy zdrajca stanu, jakiego widziałem!

— Rozumiem pana całkowicie. Że też mnie to nie przyszło do głowy! Rozpierała mnie ambicja, a drogi nie widziałem przed sobą.

Łasicki zrobił wielki gest.

— Ja panu pokażę drogę. Gdyby pan wiedział wtedy, w Mińsku... Najechało ich z różnych stron. Oni rządzą, oni znaczą. Co dla nich my? Nie im za imponujemy. Czemu tamci rządzą, a nie my, tutejsi? Lepiej umieją, lepiej wiedzą? Dla nas miejsca. Oto istota naszego ruchu! Ja pana pociągnę za sobą!

— Był nie na szubienicę — zatrzymał go Wasilewicz.

— Kto chce wiele mieć, ryzykować musi, — zaśmiał się Łasicki, nie zrozumiałwszy, — ludzie o szerokich poglądach szukają zawsze nietkniętych żerowisk!

Zapadła chwila milczenia.

— Czas mi już w drogę, — ozwał się Wasilewicz — zlecenia jakie macie dla Smarczka?

— Sam mu wszystko powiem. Nakażcie, żeby mnie czekał piętnastego w Grodzieńszczyźnie tam, gdzie zawsze. Będę wracał tamtędy do Kowna.

— Dobrze. Powtórzę dokładnie.

Łasicki wyciągnął rękę.

Wasilewicz poczuł, że to ta sama ręka, która rzucała dzikich zbolszewizowanych chłopów na legiony polskie. Wydała mu się ta ręka lepka od krwi.

— Wybaczajcie, tak mnie chwycił reumatyzm w prawą rękę.

— Kto ma reumatyzm, nie powinien chodzić po błotach.

— Już mówiłem: poznanie wielkiego człowieka warte jest nawet większych ofiar od ataku reumatycznego!

Łasicki pożegnał go mile. Wasilewicz szybko poszedł, pamiętając, że może tylko o parę godzin wyprzedził chłopów z Zabołotnego.

XIV

Wasilewicz szedł i gotowało się w nim wszystko. Mamrotał:

— Zdrajca! zdrajca! Oto komu mnie chciał sprzedać ten rudy Judasz Iskarjota! Ten plugawy Smarczek!

Ale wkrótce poczuł się znużony i słaby do łez. Zażył dawkę kokainy, ale nie ożywiła organizmu. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

— Nie znajduję mnie w lesie, — myślał i zszedł ze ścieżki w gąszcz, dobrze ustalając w pamięci kierunek.

Wsunął się w gęste krzaki. Przeszukał dobrze trawę kijem, czy niema węzów. Zebrał garść paproci pod głowę. Wyciągnął się na ziemi. Zasnął prawie w tejże chwili.

Spał i śnił, że płynie łódką po czarnej toni. I powoli, powoli pogrąża się w tę toń.

Ocknął się nagle z uczuciem zgrozy. I ujrzał pochyloną nad sobą twarz swego gospodarza z Zabołotnego.

— Taki my się spotkali, panoczku, — rzekł tamten z okrucieństwem, — zapomnieli za nocleg zapłacić.

Powiodł wzrokiem dokoła. Ujrzał kilka nieznajomych twarzy. Jeden chłop trzymał w ręku obnażony kordelas. Drugi rewolwer. Trzeci kręcił ze złym śmiechem sznur.

Wasilewicz wstał.

— Spotkaliście pana Łasickiego? — zapytał spokojnie.

— A spotkali. Jak dowiedział się, że wy Wasile-

wicz, tak mówi: — Chcecie, bratoczki, z nim porachunki robić—róbcie. Choć on za Białorusina się ma, ale pan. Bez ceremonji z nim, po bolszewicku.

— Tak, tak, panie Wasilewicz, trzeba wam teraz za nocleg zapłacić, — zbliżał się do niego gospodarz z Zabołotnego ze sznurem.

— Ja ci, zdrajco, zapłacę, — huknął Wasilewicz, wyrwał z kieszeni rewolwer i palnął mu w głowę.

Ten przewrócił się, trzępnąwszy rękami. Pozostali rzucili się na Wasilewicza. Poczuli na rękach, na gardle dłonie przemocy. Zahuczało mu w uszach...

Nagle ręce, oplatające go, jak macki głowonoga odpadły. Stał, chwiejąc się na nogach. Usłyszał tupot ucieczki swych prześladowców. Potem daleki tentent i okrzyki:

— Stój, stój!

Przeleciało koło niego, jak burza, kilku kawalerzystów, gniotąc krzaki lub przesadzając je wielkimi szczupakami.

Wasilewicz nachylił się i podniósł swój rewolwer. Podjechało do niego kilku wojskowych.

— Kto jesteś?

— Właściciel Zabołotnego, chcieli zamordować mnie chłopci z za kordonu.

— Pan strzelał?

— Ja. W obronie.

— To rzucaj pan do licha rewolwer. Patrz, moi chłopcy i tak cię mają na muszce.

Dwaj żołnierze, trzymający się z tyłu, istotnie wycelowali w niego karabiny.

Wasilewicz położył rewolwer na ziemi.

— Tak, to co innego, — rzekł porucznik, zeskończył z konia i zbliżył się do Wasilewicza.

— W ślicznym pan jest stanie. Przepraszam za nieufność, ale proszę nie zapominać: tu jest pas pograniczny. Tu wre nienawiść, jak w kotle. Można się zbliżyć do człowieka, wołającego pomocy, a ten wyjmie karabin z pod płaszcza i wali.

— Rozumiem to, panie poruczniku. Dziękuję za pomoc.

— To pan strzelał przed paru godzinami na błotach?

— Tak, to też ja.

— Do kogo?

— Do wilka. Wprost nie do uwierzenia, jak denerwująco zabiegał mi drogę.

— O, ja wierzę. Wilki tutejsze przywykły do mięsa ludzkiego. Wyrósły na pobojuwiskach i tam się utuczyły. Zawziętość wojujących ludzi jakby weszła wraz z trupim żerem w te bestje. Urządzamy tam na nich potrochu obławy.

— To pan mówi, że wilki rozzuchwalone?

— W najwyższym stopniu. Ale dobrze się stało, że pan wtedy strzelił. Placówka na błotach usłyszała i dała znać do strażnicy.

— To panowie są?

— Z Korpusu Ochrony Pogranicza, do usług, czyli KOPa. Jak się mówi żartobliwie: kop grób... już wie pan, komu. Ale pan się tu porządnie zmarnował. Topił się pan, czy co? Proszę dobrze usiąść i opowiadać.

Zdjął swój płaszcz zwinięty za siodłem i narzucił na Wasilewicza. Ten opowiedział swoją historję.

— Och, zgabiliśmy się, — rzekł porucznik frasośliwie, — Łasickiego już nie przyłapiemy. Ale czasem myślę, że to jest jeden z największych łotrów i zdrajców świata. Będzie siedział w najniższym kręgu pie-

kiel w paszczy Lucyfera. Już tam dla niego zapłata zarezerwowana.

Wasilewicz zaśmiał się, popijając z flaszki, którą mu dał przyjaźnie porucznik.

— Czemu tak długo nie wracają żołnierze?

— Bo prowadzą łotrzyków na piechotę.

— Ale może nie wszystkich złowili?

Porucznik podniósł brwi ze zdziwieniem.

— Och, moi chłopcy! Wyłączone!

Jakoż w niedługim czasie rozległ się znowu tent i parskanie koni. Żołnierze jechali krokiem, prowadząc na postronkach gości z za kordonu i z Zabołotnego.

Chłopi wyglądali, jak wilki zgonione. Patrzyli ponuro i z podełba.

— Pan ich poznaje? — zapytał porucznik Wasilewicz.

— Poznają.

— Którzy chcieli pana zamordować?

— Ci z za kordonu.

Pokazał wszystkich, prócz gospodarza z Zabołotnego.

— A ten?

— A ten tutejszy. Z Zabołotnego.

— I nie nastawał na pana?

Wasilewicz wpatrzył się w oczy chłopca, pełne obietnic i błagania. Ujrzał w chłopie nic życia, naprężoną do ostatnich granic, jak w nim samym, gdy niedawno śmierć zaglądała mu w oczy.

— Ten nie. Spotkałem go w lesie. Pokazał mi drogę.

— Pan jest pewny, czy też chce pan ochronić z jakichś pobudek tego zbója?

— Pocóż mnie, panie oficerze — zaczął skamlać

chłop — u mnie i rzeczy z Wasilewa niema wcale, choć idźcie patrzeć.

— Nie masz, boś pewnie sprzedał. Znam ja was, bandytów. A czapkę przestrzeloną czemu masz?

— Panie poruczniku, proszę pana puścić go do domu — rzekł Wasilewicz — proszę mi wierzyć, że tak trzeba.

— Wiem, wiem. Każdy coś ma na sumieniu na tej nieszczęsnej linii demarkacyjnej, czyli demoralizacyjnej, jak ją od strony wschodniego sąsiada nazywamy. Nawet, jeżeli w tym wypadku czysty, to tylko go tknąć, a wykryją się dawne sprawy. No, to idź — zwrócił się do chłopca z Zabołotnego — pan Wasilewicz darowuje ci życie, bo ja jednak nie tracę przeświadczenia, że ci się stryczek należy i że ciebie pierwszej czy później nie ominie.

Chłop wpatrywał się w Wasilewicza. Dusilo go coś za gardło, niezrozumiałe wyrazy wydobywały się na usta i nie mogły wydobyć. Błysk jakiś wpadł w mrocznię jego duszy, która zaczęła pracować morderczo, walcząc o zrozumienie.

— Idźcie już — rzekł Wasilewicz — idźcie spokojnie do domu.

Chłop pokłonił się nisko Wasilewiczowi i gdy oddalać się począł, porucznik zagwizdał.

— Fruwa ptaszek, a sidlełko taki mu się należy. Proszę pana, czuję, że zmalował pan znowu jakieś niepoprawne głupstwo w wielkodusznym polskim stylu. Proszę wytłómaczyć przynajmniej. Czemu tego?...

— Tam mój folwark, chcę tam żyć. Chcę tych ludzi zrobić przyjaciółmi moimi i Polski. Ten człowiek stanąłby między mną a moją wioską. A ci z za kordonu — ci już zatruci i tylko sączą truciznę. To

już tylko wrogowie, a ci mogą być jeszcze sąsiadami.

— Aha! A czy pan sądzi, że w razie dywersji bolszewickiej ochroni to pana od pogromu?

— Od czego jest KOP., żeby dywersji bolszewickiej nie było!

— Racja! A wie pan, że w sam raz przed Zabołotnem budujemy strażnicę. Musi pan pomyśleć o naszym prowiancie! Bez rekwizycji, oczywiście.

— Doskonale — uśmiechnął się Wasilewicz.

Wstrząśnienia dnia złamały go. Położył się na ziemi. Gdy go odeszło, jeden z żołnierzy spieszył się. Wsadzono Wasilewicza na konia i przywieziono na wypoczynek do tymczasowej kwatery oddziału KOP'a we wsi Hołownia.

Kiedy wieczorem obudził się na improwizowanym łóżku porucznika Czupura, składającym się z siennika na tapczanie, przykrytego kocem, w izbie rozlegała się przyciszona rozmowa. Paru oficerów siedziało przy stole nad szachami.

— Ach, nudno! — ziewnął Czupur, otrzymawszy czwartego mata.

— Pewnie! O tej godzinie tobie zawsze wszystko brzydnie. Ogarnia ciebie tylko niesłychany zapał do literatury...

— A właśnie... Żebyś wiedział, że pójde zmienić książkę do panny Zosi.

— Wiedziałem. I ja też.

— Nie radzę — groźnie zamruczał porucznik, wyprostowując szerokie bary.

— Czy wiesz, że Czupur wysłał list do jubilera w Warszawie?

— Po pierścionek zaręczynowy?

— Bo znam synka jubilerskiego, kolegę z frontu — zasypywał się jeszcze gorzej Czupur, czerwony, jakby go z wrzasku wyjęto — zacyzny chłop, wcale nie nosi złota ani kamieni. Pisałem do niego.

— Mógłby gryźć djamenty, jak rzepe. Przejadło mu się. Czy chodziło o zniżkę na pierścionek?

— Władek, odczep się, bo cię zbije!

— Cicho, nasz obszarnik się obudził!

Wasilewicz wstał orzeźwiony snem. Przyjęto go owacyjnie. Gość na odludziu!

— Chce pan obejrzeć jezioro? — zaproponowali oficerowie — bo odesłamy pana do miasta dopiero jutro rano, z okazją.

— Dobrze, nie byłem nigdy w tej okolicy.

Wyszli nad jezioro, słońce zachodziło. Na brzegu suszyły się rozwieszone sieci. Na białym piasku leżało kilka łódek. Między niskimi zaroślami łożyny widać było jeszcze niemiecką zagrodę z drutu. Zerwał się wiatr przedwieczorny. Bałwany wysokości człowieka przewalały się po głębinie, jak czarno-szare igrające walenie.

— Głębokie to jezioro? — zapytał Wasilewicz

— O, głębokie! Utopić się jeszcze łatwiej, niż w bagnisku; który to eksperyment już ma pan za sobą.

Wasilewicz radował się jeszcze oczy widokiem czarnej ściany sosen, ujmującej z przeciwległej strony obręczą falującą wodę. Odwrócił się ku towarzystwu. Spostrzegł nieobecność porucznika Czupura.

— A gdzież porucznik?

— Uciekł. Chce pan, to go przyłapiemy u ładnej panny.

— O, czy to nie będzie aby niedyskretnie?

— Gdzie tam, — wmięszał się kapitan, dowódca kompanji, — ta panna — to działaczka, osoba z sercem

siostrzanem dla wszystkich. Boję się, że biednemu Czupurkowi nie wiele przyjdzie z tych zalotów. A szkoda! Chłopakowi nic nie brak ani w garści, ani na rozumie.

— Serce złote!

— Więc lepiej nie dokuczajcie! Akurat możecie go zranić w najgorszej chwili, nie wiedząc, że tkwi z nogami w tragedji, jak w bagnie.

Młodzi wojacy umilkli, szczerze zatroskani o los ulubionego kolegi.

— Panie kapitanie, mnie się nie podoba ten człowiek, — ozwał się nagle podporucznik.

Przechodził z książką w ręku osobnik wyglądający na pół inteligenta. Spodnie w butach, czarna rubacha wypuszczona na wierzch i podpasana samodziałową taśmą.

— I mnie się on nie podoba, — zmarszczył się kapitan, — zwracałem uwagę policji. Mówią, że papiery ma w porządku. Przyjechał niby do krewniaka na lato. Do czego tu się przyczepić?

— A do tego, że się do panny Zosi przyczepia. Wysiedlić — i już.

— Masz ci! A konstytucja?

Podporucznik palnął się po szabli.

— O to moja konstytucja na pograniczu!

— Akurat, — mruknął kapitan posepnie, — zrobią gwałt na całą Polskę: rządy soldateski, militarizm, przemoc.

Podeszli do czystego domku, otoczonego ogródkiem. Rosły w nim wysokie malwy i słoneczniki, tworząc gorącą plamę wśród szarego drewna całej ulicy.

W sionce drzwi były otwarte. Izba z ławami szkolnemi, obwieszona rycinami, obrócona była chwilowo na bibliotekę. Niewielka szafka z białego drzewa pełna

była tomików z numerami na grzbietach. Druga szafka zawierała w sobie przeróżne medykamenty, flaszki, słoiki i środki opatrunkowe.

Przy stoliku stała młoda dziewczyna w szarej spódnicy i białej bluzce. Oczy, urażane widokiem ludzi niechlujnych, brzydkich, niezgrabnie ubranych, odpoczywały na tem zjawisku wysokiej kultury, chociaż w tak skromnych ramach. Ustawiała w prostym dzbanku glinianym bukiet fioletowych wierzbowek, ujętych w wachlarz paproci.

Od jej włosów blond promieniowała jasność. Wydawało się tak w pierwszej chwili. Potem stawało się wyraźnem, że jasność ta idzie z głębi duszy niezmaconej i emanacją swą wszystko przetwarza dokoła na własne podobieństwo.

O parę kroków siedział porucznik Czupur, pogrążony w radosnej kontemplacji. Człowiek ze złą twarzą, którego spotkali nad jeziorem, przerzucał chudy, choć czyściutki katalożek.

Kiedy weszło towarzystwo, Czupur rzucił groźne spojrzenie na kpiarza-podporucznika. Oficerowie przywitali się serdecznie z panienką, przedstawiając jej Wasilewicza.

— Panno Zosiu — pytano — a ileż dziś było chorych w ambulansie?

— Trzydziestu. I szeregowiec pana, panie kapitanie! Wolał przyjść do mnie, niż jechać do felczera.

— A łotr! Pod karabin postawię! Jasne rączki utrudzać!

— Proszę bardzo, panie kapitanie! Bo zato panu nie zrobię nigdy najmniejszego opatrunku! Chociaż daj Boże, by nie zaszła potrzeba!

— A że potrzeba zajdzie, bo wypadki na pogra-

niczu jeżdżą ekspresem, udzielam amnestji winowajcy!
A kółko rolnicze?

— Sprowadziliśmy superfosfaty na oziminę. I nowy gatunek fasoli. Wyśmienity! Będę siała na wiosnę. Na przyszlą jesień zapraszam na nią.

Obco, ze złą polską wymową, zabrzmiał głos człowieka w czarnej koszuli:

— Panieczka tak długo chce tu być?

— A chcę — odparła panna Zosia niewesoło i zwróciła się do oficerów: — Pan Harelik zraza mnie do pobytu tutaj. Mówi, że w tej dzikiej okolicy kultura nie zapanowała. Że lud odpłaci mi niewdzięcznością. Że tu niebezpiecznie być, bo granica blisko, a bolszewicy polskich działaczy nie lubią.

— Pan Harelik jest dobrze poinformowany o upodobaniach bolszewików, — rzekł ostro kapitan, — czy aby nie za dobrze?

Harelik spuścił oczy na katalog z doskonałym opnowaniem. Po chwili wymienił numer książki, otrzymał ją i wyszedł.

Wtedy panna Zosia zwróciła się do Wasilewicza.

— Zdaje się, że to pana córeczka była u mnie w zastępie. Nazywała się Ania. Bardzo głęboka i ładna natura. Teraz widzę, że bardzo do pana podobna.

Wasilewicz pokiwał głową. Wie o nim... Jednak w oczach panny Zosi nie było potępienia, tylko ciepła przychylności.

— Panno Zosiu, — zawołał podporucznik, — prosimy o latarnię na niedzielę. I z sąsiedniej strażnicy przyjdą.

— A jakże! Mam przeźroczą do Prusa i Konopnickiej i do jednej bajki. Będę czytała. Nie napróżno kończyłam kurs deklamacji.

— A nam wolno przyjść?

— O, pocóż! Będę się krępować. Cóż tam zajmującego!

— Musimy skontrolować, czy pani nam nie demoralizuje żołnierzy.

— Jeżeli zachodzą obawy ze strony zwierzchności wojskowej...

— A właśnie... My też jesteśmy żołnierze. Przyjmie nas pani za słuchaczy.

— I mam niespodziankę.

— Niespodziankę! Niespodziankę! Pani jest nieoceniona!

— Jaką? Niech pani powie zaraz! Nie będziemy spali z ciekawości!

— No, to baczność! Zaraz pokażę!

Panna Zosia odsłoniła dywanik samodziśowy w kącie. Wystawił z niego szeroką, uśmiechniętą paszczę gramofonu.

— Nastawić zaraz!

— Wiwat panna Zosia!

— Będziemy tańczyli shimmy w jedną parę! Wszyscy po kolei!

— A nie, — odparła panna Zosia, przykrywając dywanikiem instrument, — to dopiero na niedzielę.

— A teraz proszę do nas! Jest poważny obszarnik.

— Na jednym folwarczku z chlupoczącego błotka, jak cyranka — prostował Wasilewicz.

— Wszystko jedno! Obszarnik w czasie przeszłym. I kapitan, solidny żonaty człowiek...

— Solidność podpisem żony poświadczona.

— To proszę do nas na herbatkę. Pod opieką dwóch solidnych panów.

Panna Zosia zamknęła swój zakład społeczny i poszła.

W kwaterze oficerów krzatali się ordynansi i wiało odświętnością. Zasedli do herbaty. Siedząc przy stole obok panny Zosi, Wasilewicz pytał:

— POCO pani zagrzebała się tu na wsi? Przecież jedyne towarzystwo dla pani — strażnica — wyprowadzi się wkrótce za błota. Zostanie tu pani sama.

— Pan to mówi?

— Ja to mówię. Z czego nie wynika, że kiedyś w tych stronach nie spróbuję przypiąć tym ciemnym dinosauirom bagienным skrzydeł.

— Pan po tych przejściach nie przestał czuć się...

— Białorusinem? Nie umiem tego teraz powiedzieć. Przyznaję, że rozwarła się między mną a nimi przepaść. Bo trzeba czuć jakieś drgnienie wspólności. Mieć wspólne uczucia i porywy, chociażby oni je mieli w stanie początkowym, a ja w stadium najwyższego rozwoju. Teraz widzę: nie mamy wspólnych umiłowañ. A oni sami zbyt są niscy, aby miłość obudzić. Pani rzuciła się w tę paszczę Molocha. Spala się pani. Ale to ofiara. Ofiara bez radości.

Wtedy na twarz panny Zosi wszedł poblask natchnienia.

— Myli się pan. Przyjechałam i stanęłam przed czarną ścianą. Nie mogłam znaleźć najmniejszej furtki. Najmniejszej szczeliny. A teraz znalazłam w niej już parę okienek. Parę malutkich, jasnych okienek, które się otwierają. Proszę sobie wyobrazić morze wyjącego mroku. Wicher zadmuchuje światło. I jednak udało się umocować jedno światełko! Jedno światełko na pustyni wyjącego mroku!

Wasilewicz powiedział szczerze i bardzo serdecznie.

— Szkoda mi pani.

Panna Zosia uśmiechnęła się i milczała przez chwilę.

Potem wyjęła z torebki list w kopercie małego formatu, z gołąbkim.

— Pytałam, czy dotąd czuje się pan Białorusinem. Bo Ania przejęła się przekonaniem pana. Oto proszę przeczytać.

Podawała mu list.

Ręka Wasilewicza drżała, gdy brał ten list. Ozwalała się w nim miłość i tęsknota do dziecka, które utopił w odrętwieniu duszy upadającej.

Ania pisała:

— Najukochańsza Panno Zosiu!

Bardzo mi dobrze tutaj. Tak jest cicho. Z tak daleka nie mogę posłyszeć, czy męczy się dusza Tatusia. A tak głośno słyszałam, gdy był obok mnie za ścianą. Matka Przełożona poradziła mi nie mówić wcale, że uważam się za Białorusinkę. Bo poco mówić ludziom to, czego nie rozumieją? Pozwoliła mi nie śpiewać pieśni polskich, jeżeli nie zechcę. Dziewczynki nic nie wiedzą i nie dokuczają mi. Już nikt na mnie nie woła: Anastazja—Apostazja. Ale czasem tak mi smutno, Panno Zosiu, tak smutno. Bo czemu ta Polska taka piękna, czemu czaruje duszę, że nie można jej nie kochać? Kiedy mówią o Żółkiewskim i Kościuszcze, wszystko się we mnie rwie w wołaniu: — To moje! — I muszę sobie powtarzać pocichu: — Czuzyncy, czuzyncy!

Bo zdradzę Tatusia, jeżeli przestanę być Białorusinką! Modłę się do małej świętej Tereski, żeby odmieniła duszę Tatusia. Żeby znowu był Polakiem i żeby wolno mi było zostać nanowo, naprawdę harcerką polską! Ja chcę być taką, jak inne dzieci! Ja chcę być Polką! Przecież i będąc Polką, mogę pracować dla biednych, głodnych Białorusinów? Czy prawda,

panno Zosiu? Czy prawda? Za co mnie spychać w dół? Za co mnie spychać w dół?

Całuję Panią bardzo mocno, po tysiąc razy i posyłam bratek, który Matka Przełożona dała mi, kiedy byłam smutna. Uciekam od dzieci i uczę się robić po cichu węzły harcerskie. Próbuję też skoku o tyczce. Może stanie się cud. Kocham tatusia. Całuję Panią w końce złotych warkoczy, Pani jest najładniejsza w świecie. Oddana Pani

Ania.

— Może pan zabrać ten list — rzekła panna Zosia, gdy skończył czytać.

— Po co pani mi daje? Jako talizman? Mnie już nic nie zbawi. Idę na dno. Tu chwilowo, pod wpływem wzruszeń, wydaje mi się, że mogę coś o sobie sam postanowić, że mogę zacząć jakąś działalność, odebrać to Zabołotne i zrobić z niego placówkę kultury zachodniej dla tego kraju nieszczęsnego, bo złe w nim się zaparło bez wyjścia, a miłość tu dróg nie znajduje. Hula tu, jak sabbat czarownic na piaszczystym wydmuchu nieczysta żądza posiadania, chciwość opętańcza, która dla garści mienia posle w zatracenie innych i siebie. Ustawić warowną redutę przeciw naporowi tej mocy djabelskiej chciałbym w tej chwili. Ale cóż... Jestem człowiek skończony. Zrujnowany fizycznie i moralnie. Zapisany cyrografem na cudzą własność.

Odszedł w silnem wzburzeniu. Tymczasem podporucznik wkładał płyty w gramofon, który zdołał wybłagać u panny Zosi. Zabrzmiała oszpecona emisją gramofonu melodia Griega.

Wasilewicz słuchał, stojąc, wsparłszy się łokciem o futrynę okna.

Panna Zosia podeszła do niego. Przemówiła cicho:

— To jest pieśń Solveigi, która czeka na Peer Gynta, czeka do śmierci...

Głowa Wasilewicza opadła na piersi.

Nazajutrz rano obudził się na stacji sam. Oficerowie już się rozeszli do swych obowiązków. Ubrał się i począł się błakać. Za domem ujrzał ławy po obu stronach długiego stołu. Siedzieli przy nich żołnierze. Była to godzina oświatowa. Wytrwale dukali wraz z porucznikiem z elementarza Falskiego.

Przed następnym domkiem stał szereg osób pod strażą żołnierzy. Wasilewicz wszedł do kancelarii kompanijnej. Przy stole siedział kapitan i porucznik Czupur. Przed nimi stała zapłakana kobieta z dzieckiem na ręku. Sześcioro innych chlipiących dzieci tworzyło za matką schodki, od najmłodszego do najstarszego w wieku lat 15.

Wasilewicz przywitał się.

— No, niech pan tu posiedzi i przyjrzy się życiu pogranicza, — wesoło zawołał kapitan.

— Co to za kobieta? — zapytał Wasilewicz.

— To? To kobieta, która ma mienie po tamtej stronie. Przerzuciliśmy ją z dziećmi na teren bolszewicki, a bolszewicy już czwarty raz przerzucają ją z powrotem. Zmarnowała się zupełnie z dziećmi. To taka zabawa w piłkę, ale żywymi ludźmi.

— Po co oni to robią?

— Po co oni to robią? Z powodu małpiej swojej złośliwości. No, matko, nie płakać tam — zwrócił się do kobiety — nakarmią was, a tam będziemy dalej myśleli, co robić. Ale już was nie przerzucimy. Sierżancie, odprowadzić. Następnych.

Wprowadzono chłopów o śmiałych i wyzywających spojrzeniach.

— A, mili znajomi, — witał kapitan, — braciszkanie Siewrukowie, znowu do kontrabandy? Małoście w pace siedzieli?

— Tak cóż, że siedzieli w pace? Granica blisko, jak nie zarobić? Zmiłuj się panoczku. Już i tak wszystko odebrali.

— Tak, — wyłożył sierżant na stół *corpus delicti* w postaci paki chustek i materjałów, — a to było u niego za cholewą.

Kapitan patrzył na papierek, który sierżant mu przedstawił.

— O, choć niezgrabny, ale trafny plan terenu dokoła obwodu kompanijnego — zawołał. — Gdzieś ty się, ptaszku, tego uczył? Na kursach dywersyjnych w Mińsku? Widzieli tam ciebie.

— Kto widział? Ja sam nie był, jej Bogu, — z trwogą zawołał Siewruk.

— Już widzieli, — surowo odpowiedział kapitan.

Kapral, który sprowadził przemytników, ozwał się:

— Panie kapitanie, melduję posłusznie, jak nasza czujka ich brała, był tam z nimi jeszcze jeden cywil. Ten uciekł wgłąb naszego terenu. Strzelaliśmy za nim, ale po nocy nie da rady. Tera go patrol przyprowadziła.

— Dawaj tu tego cywila! Czy to nie ten, co uciekł przy aresztowaniu hurtka w Makaryczach? Kierował się na nasz odcinek ku granicy, potem go zgubili z oczu. Dawaj prędzej. To bardzo wielki drań.

Wasilewicz nie chciał wierzyć, gdy drzwi się otworzyły i kapral wprowadził — Szyrwitza.

Wyglądał, jak wilk z sierścią zjezoną, obkoczony

przez psy w ostępie. Oczy biegały mu dziko. Raz wraz zdejmował kapelusz i ocierał pot z czoła.

— Pan tu, panie Szyrwitz? — odruchowo wykrzyknął Wasilewicz.

— Nie znam pana, — warknął zagadnięty i oczy jego schowały się w szczelinach brwi, — co znaczy, że pan mnie nazywa Szyrwitz?

— My dobrze pana znamy — odezwał się kapitan i sprezentował mu jego własną fotografię, — z Warszawy dawno czule opiekują się panem.

— Co znaczy — opiekują się? — głucho zawarczał Szyrwitz, — mnie opieki nie potrzeba.

— Ale sentyment Rzeczypospolitej Polskiej dla pana jest tak wielki, że dla pana przygotowano nawet bezpłatny lokal, — zadrwił z wyraźną niechęcią kapitan, — wiemy o pewnym transporcie broni i granatów i o przyjemnem spotkaniu z posłem Smarczkiem w Makaryczach.

— A gdzie Smarczek? — zapytał Wasilewicz.

— Pod kluczem, urzędują wiece poselskie w więzieniu Mokotowskim, — wykrzyknął porucznik Czupur, — dawno łapsom się to należało, niech ich szlag trafi!

— Pan był prowokatorem, — z tłumioną złością zwrócił się Szyrwitz do Wasilewicza.

— Nie potrzebujemy zeznań pana, mamy od niego lepsze i dokładniejsze wiadomości, — z gniewem zawołał kapitan, — no, dzięki Bogu, pozwolono likwidować zarazę hurtkową! Dawno ostrzyłem zęby na to plugaństwo. Ale cóż, my przyłapujemy złoczyńców, dajemy materiał dowodowy, — a sprawy gdzieś się zatrzymują bez ruchu, kamienieją na miejscu. Teraz — na koniec! Odetchną kresy.

Szyrwitza wyprowadzono. Oficerowie popisali jeszcze chwilę, zdali ekspedycję żołnierzowi i zaproponowali Wasilewiczowi przejechać się razem aż do najbliższej miejscowości, stąd mógł się udać na stację.

Jakoż wsiedli na konie, on, kapitan i porucznik Czupur. Za nimi jechał oddziałek.

Na odległości stu metrów od linii pogranicza ujrzeli pierwszą placówkę polską.

Wasilewicz jechał i zaglądał w przestwór tego piekła, z którego wyrwał się kiedyś. Równiny pod władzą szatana... Ludzie o twarzach do głębi, świadomie, zaciekle złych i nieszczęśliwych. Jak ciężko, jak ciężko tam żyć. Czy nie tam się otruł? Czy nie tam zatracił siebie?

Pasem pogranicznym naprzeciwko jechał oddziałek bolszewicki. Ujrzał pod pachami znajome twarze wyzywające i bezczelne, spotworniałe od wszelkiej rozpusty i perwersji, napiętnowane cielesnością i okrucieństwem. Mijali ich z drwiącymi uśmiechami, nie uznającymi żadnej wyższości. Salutowali żołnierzy. Ale koło oficerów przejechali, nie oddając honorów.

Powiało od nich pustką, bezceństwem i nudą życia zatraconego. Wasilewicz poczuł z przerażeniem, że mija go wcielona wizja własnej jego duszy... Najdalejszych jej możliwości..

XV

Panna Zosia siedziała przy stoliku w pustej klasie. Przed nią stał białowłosy, piegowaty Taras. Znowu podczas pauzy urządził widowisko z mordowania pisłkąt, które systematycznie wykradał z gniazd. Znowu pobił do krwi chłopca z młodszego oddziału, znowu popełnił kradzież — ściągnął kozik koledze.

Kołatała napróżno do drzwi tej ciemnej duszy. Na przemowy jej odpowiadał zaciętem milczeniem:

— Ty wiesz swoje, a ja swoje! — spoglądał na nią z drwiną w złych oczach.

Odprawiła go z poczuciem, że cały wysiłek jej przepadł na darmo. Gdy odszedł, położyła głowę na rękach. Przyszła na nią chwila słabości. Zapłakała... Gdybyż ksiądz Justyn był tu blisko.

— Zbyt zrozumiała byłam, — myślała, — chciałam cierni — nie wiedziałam, że czasem wbijają się w serce.

Otarła oczy i zaczęła porządkować klasę. Nad ziemią nisko zwisały czarne chmury.

Usłyszała tętent. Wyjrzała przez okno. Ach, to miły porucznik Czupur! Zsiada z konia, oddaje cugle jej ulubieńcowi, żołnierzowi Wojtczakowi.

Wyszła na spotkanie, pogadała z żołnierzami, wyniosła im jabłek i wprowadziła do pokoju porucznika.

— Dokądże wyprawa?

— Rozbójnik „Rjaby Janka“ idzie tą stroną, uzbrojony, jak należy. Są tam dwa jeziora, między nimi

przesmyk. Oskrzydlamy go dokoła jeziora i przesmykiem — we dwa ognie.

— A na ten przesmyk kto pójdzie? Mnie coś przeczucie mówi, że to jakaś warjacka wyprawa!

— A warjacka. W KOPie takich najwięcej. Brawurowy spacer! Tylko w bagnie ugrzęznąć — brrr! Mam do tego abominację!

— O, poruczniczku, proszę się pilnować — z troską powiedziała panna Zosia.

— Będę się pilnował, bo chcę wrócić, i to nie tylko wrócić, ale zrobić coś ultra — ultra rekordowego!

— Chce pan Virtuti?

Porucznik śmiało, po ułańsku zajął jej w oczy.

— Poproszę wtedy o nagrodę.

Ale panna Zosia spuściła oczy i ścichła. Nie chciała mu mówić przed wyprawą, że nie dla niej miłość ziemską, bo się poprzysięgła niebieskiej. Wśród strasznego zła powojennego ślubowała żyć w świecie, ale po zakonnemu, aby ze złem walczyć.

Poszła odprowadzić porucznika. Jezioro falowało gwałtownie. Przeleciała czajka z żalosnym krzykiem. Przecięła powietrze smugą złowrogiego przeczucia. Las na przeciwległym brzegu czerniał, podpierając niską nawalę chmur. Na piasku koło wody leżały wodorosty, wyrzucone przez burzliwą falę. Szli na tle tej scenarii czarno-sinej. Porucznik prowadził konia. Panna Zosia szła obok, a wiatr szarpał i obwijał dokoła niej szafirowy szal. Postacie ich, spłaszczone między wypukłymi chmurami, były zgubione wśród płaszczyzn olbrzymich.

Pozegnali się na zakręcie drogi. Panna Zosia wracała zamyślona. W samotności czuła trzepocącą się nad nią myśl księdza Justyna. Wydawało jej się, że narzuca na nią, jak płaszcz ochronny swoją modlitwę.

Koło brzegu kołysała się już duża łódź. Harelik stał, oczekując. Przy czarnym brzegu łódź Charona... I straszny starzec o ognistych oczach... Roześmiała się ze swego widzenia. Charon obrócił się ku niej. Był to stary rybak w płóciennej koszuli i sukmanie. Miał oczy czerwone, sterane chronicznym zapaleniem.

— Dzieńdobry pani, — rzekł Harelik, — czy nie zechce pani przejechać się łódką.

Panna Zosia zatrzymała się. Tak jej dziś nieswojo. Czemużby nie miała przejechać się łódką? Ksiądz Justyn mówił, że wykonując zakon radości, nie trzeba unikać drobniejszych pociech życia.

— Pojadę, ale Wasil też pojedzie z nami?

— Nie mogę, moja baba słaba, muszę wracać do chaty. A łódkę pan Harelik odprowadzi. On lepszy za mianie wiosłuje. Młody.

— Wszak pani chyba wierzy, że jej nie wywrócę? Patrzył błagalnie prawie.

— Cóż on mi może zrobić? — rozważała panna Zosia. Spojrzała na jezioro. Żywiol pociągnął ją nieprzeparcie. Po krótkim wahaniu wsiadła do łódki.

Harelik przy pomocy rybaka zepchnął łódź i sam w nią wskoczył. Poprawił wiosła w dulkach i równymi uderzeniami wypędził łódź na otwarte jezioro.

— Czy dziś bezpiecznie? — zapytała panna Zosia.

— O, najzupełniej, — odparł Harelik, — fala dość silna, ale to jeszcze nie burza. Wasil nie puściłby mnie — już on wie najlepiej, kiedy można wypłynąć!

Patrzyła na fale, zbliżająca się zielono-szare. Podnosiły się, jak wzdymająca się pierś potworów. Opadały, rozrzucając pas białej frendzli. Pędziły szeregami do ataku, wodną górą wypiętrzały groźbę głębiny. Szum wzbierał

i opadał, huk mas wodnych zlewał się w pieśń dzikiej mocy.

— Wyżej, wyżej, — marzyła panna Zosia, wchłaniając rozdętymi nozdrzami wodny pył, upajając się muzyką żywiołu.

Nałożyła na siebie obrożę. Okuła własną wolę raz na zawsze, zaklepała, jak nitami stalowemi — zakazem. Nic dla siebie. Roztopić swoje „ja“ w innych... Zapomnieć o niem. I kiedy już się zdawało, że zagubione jest do cna, oto w pewnej chwili niezniszczalna osobowość własna wracała do niej jeszcze silniejsza, bardziej mocarna, wyrzeczeniami w jeszcze wyrazistsze rysy wyrzeźbiona. Przypomniła sobie słowa gdzieś przeczytane: — Im głębiej i lepiej siebie zatracisz, tem głębiej i lepiej siebie odnajdziesz...

Odnajdywała w harmonji fal mknących w dal z niepowstrzymaną siłą rozpęd swojej własnej woli, który równie powolnie rzeźbił otoczenie, jak fale kontur wybrzeża.

Przypomniła sobie o obecności Harelika. I nagle stała się jej ta obecność ciężarem. Poprostu zaczęła ją gnieść.

Harelik wiosłował równo i mocno. Mięśnie jego wyprężyły się i grubemi taśmami odznaczały się pod koszulą. Patrzył na pannę Zosię i z pośrodku okrągłego zarostu o szczególnej barwie ciemnej miedzi — błyskały białe zęby. Były równe i szerokie. Były osadzone mocno w dziąsłach jaskrawo-czerwonych. Były straszne.

Wypłynęli na środek jeziora. Brzeg był daleko.

— Nie doleci krzyk, — pomyślała panna Zosia. — O, Boże, Boże, po co była ta łódka? Tak zawsze, kiedy się myśli o rozrywce! Nie wychodzi nic dobrego. Mnie niewolno.

Harelik wyciągnął wiosła i złożył na krzyż. Potem złożył ręce i patrzył. Fale zaczęły bawić się łodzią, przerzucając z grzbietu na grzbiet.

— Może wrócimy? — zapytała panna Zosia.

— Nie, już nie wrócimy, — odparł Harelik dziwnym głosem.

— Proszę wracać, już zimno, — prosiła, udając, że nie spostrzega pogroźki.

Harelik zaśmiał się dziko.

— Teraz, panieczko, porozmawiamy. Za krótko my zawsze mówili. Ładny porucznik zawsze przeskadzał.

— Zarzut niesłuszny. Nieraz rozmawiałam z panem, — łagodnie zauważyła panna Zosia.

— Dla pani dosyć, dla mnie zamało. A wie pani, po co ja tu panią zawiózł? W moje ręce dostał, he, he!

— Sprawił mi pan przyjemność tą przejeżdżką jako delikatny i kulturalny człowiek. Pamięta pan, że mówiłam, jak mi się chce popływać.

— A ty mnie, panna, miodem nie maż! Zapóźno. Nam ty w tej okolicy nie potrzebna. Odkąd ty tu ludzi tumanisz, lepiej ty od nas strzeżesz, jak strażnica. Bolszewicy tu siły nie mają. Pogłuchły uszy na słowa, uspokoiła się nienawiść.

— To chyba dobrze?

— Niedobrze! Tu było pole na nasz zasiew. A tyś nam go zabrała! Nie trzeba ciebie w tej okolicy! Na ciebie wyrok za kordonem wydany.

Panna Zosia zbladła i poczuła, jak niewidzialne ostrze obraca się jej pod sercem. Ale jeżeli umrze, może będzie mogła Polsce dawać pomoc zgóry. Tak wierzyła w świętych obcowanie.

— I cóż Zosia na to?

— Nie jestem dla pana Zosia. Pracowałam dla dobra tych ludzi. Jeżeli chcecie, zabijcie.

— Kiedy ja nie chcę! Niech panna Zosia zapomni swego porucznika. Niech na mnie okiem łaskawem popatrzy. Będiesz moja — żyć będziesz. A nie — tak giń proklata!

Wykrzywił się potwornie, bo na twarzy panny Zosi wyczytał odmowę.

Wstał i stąpił przez ławeczkę środkową ku dziobowi, gdzie panna Zosia siedziała przy sterze. Spojrzała na jego wyciągnięte ręce. Były porośnięte włosami ciemno-miedzianymi. Doznała uczucia niewymownego wstrętu. Może jej dotknąć — jej, której ręce nie dotknęły nigdy! Ślubowanej przeczystemu Sercu Chrystusa!

Jeżeli dotknie jej, znieważy Ukrzyżowanego... Spojrzała na brzeg. Wydało się jej, że jest niedaleko. Była świetną pływaczką. Chrystus ocali! Dopłynie!

Odrzuciła go. Zachwiał się. Wtedy skoczyła na ławeczkę. Przytrzymała suknie na sobie. Odepchnęła się. Znalazła się w wodzie.

Usłyszała krzyk jego za sobą. Mocnymi uderzeniami rąk i nóg oddaliła się od łódki. Harelik patrzył nieruchomo. Stało się to, co miał i sam uczynić. Nie dopłynie. Uratować ją? Ależ ona nie wysłucha go nigdy. Zamajaczyła przed nim postać porucznika Czupura. Patrzył w uniesieniu zemsty na jej zmaganie się z żywiołem. Stał w łodzi, znacząc się czarną linią na tle chmur. A fale z chichotem przerzucały sobie łódź.

Dziewczyna płynęła dzielnie. Myślała, że ksiądz Justyn modli się za nią. Że życie jest jeszcze piękne. Ale suknie jej nasiąkły wodą. Ciężły i ciągnęły na dno... Brzeg był ciągle daleko. Fale wznosiły się coraz

wyżej. Miała w oczach na dalekim brzegu małą drzewinę, którą niemiłosiernie targał wiatr. Pograżyła się po raz pierwszy.

— Chryste, ratuj! — krzykiem ostatnim zawołała w sobie i pograżyła się znowu. Zaparło dech... Ból i łoskot dzwonów w głowie. Chrystus wyciąga ręce...

Po długiej chwili wypłynęło ciało. Szafirowy woal kołysał się za nią na wodzie.

W łódce, przerzucanej z fali na falę, stał Harelik. Czarna sylweta odcinała się posępnie na tle chmur. Wpatrzony był nieruchomo w szafirowy woal, kołyszący się na falach. Nie mógł dojrzeć rysów twarzy. Bolesnie chciał zobaczyć raz jeszcze te rysy. Ale nie mógł wyjść z odrętwienia. Nie miał siły wziąć się do wiosła.

Fale wznosiły się, jak piersi oddychających potworów i z chichotem bawiły się łodzią.

Nazajutrz rano wracał brzegiem jeziora oddział z oblawy na Riabego Janka. Banda została zniesiona. Porucznik Czupur przeszedł przez bagna. Mało się nie utopił. Z początku wyciągnął go z grzęzawiska żołnierz Wojtczak, potem on tegoż Wojtczaka za czuprynę wywlókł z topieli. Wszedł na przesmyk między dwoma jeziorami, na który skierował się oddział bandytów. Szarżował, niczem w wąwozie Somo-Sierra, siadł im na karki. Spisał się efektownie. Kapitan gładził z zadowoleniem wąsa i przebąkiwał o wniosku względem krzyża.

Porucznik, trochę draśnięty kulą, był dumny i szczęśliwy. Doskonale wykonał ruch strategiczny. Grał w nim jeszcze rozpęd walki, radość zwycięstwa, poczucie męstwa i siły.

Wyprzedził swój oddziałek. Zsiadł z konia i popro-

wadził go za cugle, jak wtedy, gdy towarzyszyła mu jasnowłosa dziewczyna. Dziś jej powie. Wszak wówczas zapłoniła się i spuściła oczy. Jakże niewymownie piękna była w onej chwili. Jak cudną linję tworzyły włosy nad skronią! Śmiał mu się świat. Fale nadbiegały i zrzucały grzebień białych pian na piasek nadbrzeżny. Niebieskie niebo jaśniało pogodą. Jasne łożyszeptwały cicho falom swe sny i głaskały je rozwianymi włosami.

Na tle szaro-błękitnej wody ujrzał porucznik szafirowy pas. Niepojęta tęsknota ścisnęła jego serce. Zatrzymał się. Wypuścił cugle. Koń odszedł na trawę i zaczął ją skubać, objadając ze szczawiów same kiście nasienne i wybierając trawy soczyste.

Porucznik stał tuż przy wodzie na białym piasku. Fale z płaczem konały u jego stóp. I niosły, niosły coraz bliżej szafirowy woal...

Nareszcznie dojrzał. Chwycił się za głowę. Oczy boleśnie znieruchomiały mu w orbitach. Fale cicho złożyły na piasku ciało jasnowłosej dziewczyny.

Przypadł do niej. Była martwa, martwa oddawna. Napróżno powiedział jej wszystkie słowa najszańszej miłości, które rozpierały młodą pierś. Napróżno w rozpaczy błagał, by choć raz spojrzała niebieskimi oczami...

Fale równemi rzędami nabiegały na brzeg. Nietulony był ich płacz. Dziką rozpaczą grała głębia olbrzymiego jeziora...

XVI

Ksiądz Justyn szedł do kościoła zasmucony. Nie otrzymał w dzień umówiony listu od panny Zosi. Zwykle wiadomość przychodziła raz na dwa tygodnie, w niedzielę. Widocznie miała smutki, których nie chciała mu zwierzyć. Rozpamiętywał warunki ciężkiego istnienia na kresach. Powinien był może odwiedzić ją od wyjazdu. Ksiądz Justyn czuł teraz ciężar odpowiedzialności, że wczas na pannę Zosię nie wpłynął. Wśród ciężarów na się wziętych dusza jej potężniała i rozkwitała. Ale jeżeli jej się na pograniczu stanie co złego? Chociaż młody, dźwigał na sobie doświadczenie już teraz paru tysięcy dusz grzesznych, które wyszeptwały mu swoje tragedje u konfesjonału. Wiedział, że czasem nadmiar cierpienia łamie skrzydła i oszpeca. Jak daleko sięgał hart tej wiotkiej lilji, która wyrosła w zachwaszczonym wirydarzu świata?

Wszedł do zakrystji i zaczął przyoblekać szaty liturgiczne. Związał na piersiach humerał, włożył przy pomocy zakrystjana albę, szatę symboliczną czystości duszy i ciała. Przewiązał albę paskiem, przypominając sobie obowiązek uśmierzenia pożądliwości. Owinał dłoń manipularzem, radośnie dziękując Bogu za znój pracy kapłańskiej. Wkładając stulę, uczuł na sobie wyraźnie łaskę uświęcającą Zbawiciela. Wreszcie wraz z ornatem przyjął na siebie po raz wielokrotny szczęście jarzma Chrystusowego, jarzma, które jest największą wolnością.

Przygotowywał się do nieziemskiej radości zlania się w jedno z Chrystusem. Szedł do Mistrza. Codzienna jednostajność kultu nie spowszedniała mu tej chwili nieopisanej łaski i szczęścia.

Przystępując do ołtarza, szeptał, wpatrzony w jaśniejącą twarz Pana na starym obrazie Przemienienia na Górze Tabor: — *Qui laetificat juventutem meam...*, który uwesela młodość moją...

Odmawiał pocichu słowa liturgji, znajdując w nich wciąż nowe znaczenie, jakby w każdym z nich przez powtarzanie wykuwał głęb studzienną, sięgającą do pokładów żywej wody. Serce jego napełniało się po brzegi miłością do Przemienionego i kiedy odwrócił się, by udzielić błogosławieństwa, miłość ta wylała się z serca jego i lała się strugami w dziwnym cudzie, wzbierając źródłem nieusychającym. Lała się na zgromadzonych w kościele i na świat cały.

Oczy księdza Justyna zatrzymały się na twarzy młodego oficera. Była to twarz szara od męki, skamieniała, zastygła w kontemplacji jakiegoś jednego, strasznego momentu. Poczuł ból od tych oczu, wpatrzonych w niego, jakby wbito mu w serce dwa ćwieki. Dwa zimne, żelazne ćwieki. Stłumił roztargnienie... Odmówił ostatnie modlitwy...

Kiedy zdjął ornat w zakrystji, wszedł tam młody porucznik. Ksiądz Justyn poznał twarz, która go zasugerowała podczas Mszy. Na znikomy moment... Już nałożył na siebie za to odmówienie psalmów pokutnych.

Porucznik podszedł i salutował ruchem drewnianym.

— Ksiądz Justyn?

— Tak.

— Porucznik Czupur.

Ksiądz Justyn poderwał się z niepokojem.

— Panna Zofja?... Wszak o panu mi pisała?

Twarz porucznika się ożywiła.

— Ach, tak? Pisała księdzu o mnie?

Spostrzegł się zaraz i poprosił:

— Gdzie mógłbym z księdzem porozmawiać? Nie tu... Nie przy ludziach...

Twarz jego ściągnęła się konwulsyjnie.

— Ach proszę do mego mieszkania.

Już wiedział... Stało się nieszczęście... Spojrzał na krucyfiks. Uciszył się w sobie. Prowadził gościa do swego mieszkanka.

Gdy weszli, ksiądz Justyn wziął porucznika za rękę. Posadził go na krzesło. Ten był znowu skostniały z cierpienia, jakby w letargu. Wstrząsnął go za zimne ręce:

— Człowieku, mów...

Porucznik powiedział z niezmiernym trudem:

— Pannę Zosię... bolszewicy... utopili w jeziorze...

Ksiądz Justyn zbiegał, puścił rękę porucznika. Ale po chwili na twarz jego wybiła się jasność i zaczął powtarzać:

— Bądź wola Twoja, bądź wola Twoja.

Porucznik tym samym drewnianym głosem, jak o rzeczy obcej sobie, opowiadał szczegóły. Ksiądz Justyn usiadł. Przeżywał razem z nią ostatnią jej mękę... Przyjmował w siebie ostatni krzyk jej duszy...

— Koledzy wyprawili mnie naprzód do Warszawy. Zająć się pogrzebem... Więc ja do księdza...

— Tu jest grób jej rodziny. Więc chyba tu... Matka jej rodem z Warszawy wyszła zamaż na kresy.

— A to w takim razie tu. Jak ksiądz uważa. Ale jej grób musi być osobno.

Ksiądz Justyn milczał przez chwilę.

— Można osobno. Tylko pogrzeb będzie skromny. Wiem, że nie chciałaby inaczej. Powiedziałaaby z marsem:

— Ksiądz Justyn mnie demoralizuje i namawia do zbytków. Czy takim był żywot surowy i prosty św. Franciszka?

Porucznik jeszcze niżej pochylił głowę:

— Niech będzie wszystko, jakby ona chciała.

Nagle ożywienie wstąpiło znowu w tę maskę zastygłą.

— Niech księdzu nie wyda się niedyskretną moja prośba. Po powrocie z wypadu, miałem ją prosić o rękę. Ale nie byłem pewny jej odpowiedzi. Ona mi już nie odpowie...

— Chce pan porucznik wiedzieć, co pisała o panu? Nic takiego, coby było dla pana wyraźną odpowiedzią. Jest tam wiele słów sympatji.

— Może jej inaczej nie wypadało napisać do księdza?

Ksiądz Justyn odpowiedział, uśmiechając się:

— Prawdopodobnie.

Porucznik znowu ciężko się zamyślił.

— Nie chcę teraz niczego, ale to niczego zupełnie— powiedział.

— Poruczniku, tak nie można, uszy do góry. Ma pan tam jeszcze niejedno do zrobienia na kresach.

Porucznik ujrzał poraz pierwszy od śmierci panny Zosi tę prawdę.

— A mam.

— A potem niech pan pomyśli — wszystkie dusze podobne razem w zaświecie...

— Ksiądz jest pewny?

— Pewny. Tylko trzeba się starać o podobieństwo duchowe w rzeczach wyższych.

Porucznik siedział zamyślony. Rysy jego rozprężyły się. Schodziło na nie ukojenie.

— Potężnem napięciem twórczej nieśmiertelności pokonać śmierć... Pan, który pokonał, albo nie znał nigdy strachu... Mieć serce, jak naczynie przepełnione jasnością, która się rozlewa na ludzi. Być pochodnią wśród mrocznej, wyjącej nocy.

Porucznik wyszeptał:

— Ona, ona tak czasem mówiła... Zosieńka... Jasnowłosa w szafirowym szalu:

Chwycił rękę księdza:

— Naucz mnie, naucz jej słowami ostać się wśród straszliwej pustki świata. Naucz upodobnić się. Kto uczył was?

Ksiądz Justyn w milczeniu wskazał na ścianie głowę Chrystusa.

— — — — —
Ksiądz Justyn szedł na przedzie, odmawiając modlitwy. Mimowolnie, tłumione łzy padały na brewjarz. Katafalk posuwał się powoli.

Zastęp harcerzek i harcerzy szedł z rozwiniętym sztandarem. Bezlik białych kwiatów kołysał się na trumnie.

Bez końca trwała ta droga po brukach brudnej dzielnicy. Oto brama cmentarza. Uderzył dzwon... Zachmurzone niebo rozdarło się. Wyjrzało słońce popołudniowe.

Młodzież zdjęła trumnę i poniosła ją, kołysząc niezręcznie. Oto dół w piasku.

Ksiądz Justyn odmówił ostatnie modlitwy.

— Proszę przemówić, księżo Justynie, to jej się należy, — nalegał szeptem druh Siodełko.

Porucznik Czupur, o twarzy szarej prawie, zastygłej w męstwie, zwrócił na niego oczekujące spojrzenie.

Ksiądz Justyn postąpił ku trumnie.

Nachylił się i podniósł grudkę piasku z ziemi. Dalekie promienie rozbłysły na metalowych ozdobach trumny... Rzucił na wieko grudkę prochu.

Powiedział głosem mocnym jak uderzenie dzwonu.

— Z jasności wyszłaś i w jasność się obrócisz...

Głos jego zerwał się. Nie mógł mówić więcej. Z szeregów harcerek ozwał się serdeczny płacz.

XVII.

Pani Poluta czuła się coraz gorzej. Miała teraz posadę w ministerstwie, mogła posyłać na opłacenie nauki Ani w klasztorze. Praca domowa nękała ją coraz bardziej. Nadarzyła się jej służąca. Była to repatriantka. Nie podobało się w niej pani Polucie zbyt kateryczne i podkreślone poczucie praw indywidualnych. Była to pozostałość Bolszewji, — ów wilczy apetyt na użycie i zerwanie wszelkich cugli z osobowości w dążeniu do nasycenia się.

Ale pomyślała, że może potrafi oddziaływać na tę duszę wykolejoną. Zgodziła więc Cesię.

Postanowiła wrócić swą Cesię kulturze zachodniej. Zapisła ją na kursa dla dorosłych. Dziewczyna chodziła na kursa chętnie, bo spotykała tam chłopaków. Postawiła też zaraz swojej pani warunki: od pół do siódmej jest wolna i albo idzie na kursa, albo robi coś dla siebie.

Robiła rzeczy najkonieczniejsze, zwłaszcza z jej również dobrobytem związane, jak obiad, pranie. Uważała sobie za uciążliwie posługi osobiste. Zagadnięta o jakiś przedmiot, mówiła tylko, gdzie leży, nigdy nie pofatygowwała się go podać.

Pani Poluta wracała zupełnie rozbita. Trawiła ją choroba nerwowa i wyczerpanie. W domu musiała jeszcze podjąć mnóstwo krzątania i rękoczynów, wy-

poczywała bardzo mało. Drażniły ją zuchwałe odpowiedzi dziewczyny i niedelikatne przytyki do jej niedostatku. Powiedziała jej raz:

— Ciągłe mówisz, że tylko biedni są coś warci. Powinno ci się podobać, że nie jestem bogatą.

Cesia odparła z pogardą:

— Kto nic nie ma, to czego po nim się spodziewać? Co ja mam od takiego człowieka?

— A nie rozumiesz, że człowiek biedny może mieć lepsze serce i być więcej wart od bogatego?

— A co mnie po sercu? Ja chcę bluzki jedwabnej, chcę iść w święto na karuzelę, chcę do kina, do teatru. A serce? Czy człowiek od tego syty? Czy to przyjemne?

Stało się zupełnie źle, gdy kawalerzy z kursów zaczęli przesiadywać w kuchni. Na uwagi pani Poluty, że niedobrze jest przyjmować młodych ludzi, jeżeli nie jest się pewną ich uczciwych zamiarów, Cesia zaczęła się z niej wyśmiewać.

— Pani to jak ten ksiądz z pod Warszawy, o którym mi mówiła Marysia z kursów, co jest w obowiązku na Wilczej pod czterdziestym. W jeich miasteczku garnizon stoi. W niedzielę w kościele dziewczyny staną, wcisną się między żołnierzy. Dopieroż tam i szepczą się z żołnierzami, i oko do siebie robią. To ksiądz powiada: — Niedobrze tak, dziewczęta! Po jednej stronie powinni stać żołnierze, a wy po drugiej. Nie trzeba razem. — A one jak zagdadzą: — To nam ksiądz każe boczyć się na żołnierza polskiego, to nam ksiądz od nich każe zdaleka! A w wojnę bolszewicką ksiądz uczył: — Miejcie serce dla żołnierza polskiego! — Dopieroż ksiądz złapał się za głowę i uciekł. Widzi, że nie przegada.

Pani Poluta machała ręką i wychodziła, ogromnie zmęczona. Dziewczyna prowadziła cię coraz huczniej.

Pani Poluta wiedziała, bo pełne były tego szpalty gazet, że nadchodzi nowy świat pracy. Współczuła zawsze upośledzonym i wydziedziczonym. Czasem wśród wspaniałego życia w wielkopańskim dworze marzyła, żeby rozdać większą część mienia cierpiącym i istotnie, szeroko pomagała ludziom dokoła. Ludzie pracy... Niech im będzie najlepiej. Ale teraz widziała, że chodziło nie o prawo cierpiących. Chodziło o prawo najgorszych. Przez parę wieków literatura społeczna budziła współczucie warstw inteligentnych dla cnotliwej nędzy. I oto masy pogrążone dotąd w nędzy wyszły na widownię. Ukazały prawdziwe oblicze swoje. Oblicze twardych, egoistycznych, zmaterializowanych bestyj. Odwracał się porządek świata. To, co było udzielane im dawniej przez miłość, z nadmiaru uczuć humanitarnych, teraz brali sami z nienawiścią i szydem, z absolutną bezwzględnością.

Nieraz, przechodząc, spotykała dozorcę domu. Miał antypatyczną twarz buldoga, na której czasem przebiegał wyraz chytrości. Jeszcze za czasów ekscesów męża musiała drogo okupywać jego bardzo zresztą względną grzeczność. Odtąd ustaliło się płacenie mu przy różnych okazjach kontrybucji, która była dla pani Poluty mocno uciążliwa.

Co do innych lokatorów, stosował cerber domowy różne dozy tolerancyjnej względności, pogardy lub najczłołobitniejszej uniżoności.

Gdy był pewnego razu u niej w mieszkaniu z racji wniesienia jakiegoś pakunku, zagadnęła go:

— Czy prawda, że burzuje gardzą biednym człowiekiem, a szanują nie dobrego, a bogatego?

— Sprawiedliwie pani mówi. Takie one są.

— A kogo pan więcej szanuje, robotnika Soleckiego z pod nr. 65, czy kupca Końskowolskiego z pod numeru 12?

— Juści, że pana Końskowolskiego. Pan, jak należy. Jak z panienkami samochodem w nocy przyjeżdża, zawsze rzuca parę złotych.

— To znaczy on dobry człowiek, jeżeli po nocy hula?

— Dobry to on nie jest. Nie po bożemu to. Ale hojny.

— Znaczy pan jest burżuj, bo szanuje nie dobrego, a bogatego.

— Ja nie burżuj.

— Dlaczego?

Ten zastanowił się głęboko.

— Bo ja nie uczony.

Pani Poluta zaśmiała się.

— To ten paskarz z przeciwka, o którym mi pan opowiadał, co to ledwo podpisać się umie, a zbił podczas wojny majątek, nie jest burżuj? Przecie on nie uczony?

Stróż stał, drapiąc się w głowę. Potem porwał się z głęboką urazą:

— E, bo pani to człowiekowi zawsze w głowie zakręci. Dobrze my wiedzieć będziemy, kogo trza na latarnię.

Pani Poluta uśmiechała się smutno. Miała starą książkę, w małych, oprawnych tomikach: Paul de Kock „L'homme à trois culottes“. Pogląd na inteligencję podobny, jaki wyznawał dozorca-bulldog, miano już podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej. I tam były dwie oznaki wroga ludu: majątność lub inteligencja.

Na schodach kuchennych mieszkała uboga wdowa po żołnierzu, z małymi dziećmi. Pewnego razu zaczął dymić w jej mieszkaniu piec. Wyprowadziwszy dzieci na schody pobiegła do stróża, aby przyprowadził jej zduna. Znała jego nieużytość, ale sądziła, że wyjątkowy wypadek go wzruszy.

— Ja tam dla pani na posyłki nie jestem — brzmiała odpowiedź.

— Ależ mi się dzieci poduszają w dymie. Nie mam nikogo znajomego, żeby je zaprowadzić do innego mieszkania.

— A niech się poduszają, niech choć się uwędną na wędzonki. Moje dzieci?

Pani Poluta wyjrzała przypadkiem na schody. Zabrała dzieci i chciała wydelegować Cesię po zduna.

— Ja się godziłam robić pani, a dla innych babów latać nie było w zgodzie — odparła Cesia z najwyższym oburzeniem.

Pani Poluta poszła sama po zduna, bo jedno z maleństw krzyczało, zląkwszy się obcego otoczenia i nie chciało zostać bez matki.

Koleżanka z ministerstwa, wielka społeczniczka, zaciągnęła ją na zebranie związku zawodowego piekarzy.

Kiedyś robotnicy tego fachu mieli pracę w nocy i święta. Było im ciężko. Byli źle płatni! Sądziła, że ujrzy ludzi, których chleb nie bodzie.

Natomiast w sporej sali, udekorowanej czerwonym sztandarem, z groźnymi napisami i portretem Marksa i Daszyńskiego, zastała gromadę ludzi o sytym wyglądzie. Mieli porządne ubrania marynarkowe, płócienną sztywną bieliznę, niektórym wyglądały z kieszonek kamizelki zegarki.

— Gdzież ten lud nieszczęśliwy, gdzie ci „ludzie bezdomni”? — pomyślała pani Poluta.

Poczuła w pewnym zakątku duszy pustkę. Od dziecka rosła w tradycji, że trzeba dźwignąć lud, by odrodził się naród. Teraz kogóż tu dźwigać? Dla kogo się poświęcać? Dla kogo pracować?

Otaksowała najbardziej wypasionych, przepytwała o zarobki i przyszła do wniosku, że są znacznie od niej zamożniejsi. A tymczasem nie dają nikomu napiwków. Nie kupują książek. Nie dają na cele społeczne, chyba na związki i partje, które wywalczają dla nich zdobycze ekonomiczne. Rzadko chodzą do teatru, nigdy na koncerty i wystawy. Nie wszyscy kształcą dzieci w szkołach średnich, a szkołę powszechną mają bezpłatną. Prócz tego, nie potrzebują przy robocie porządnego ubrania, wydają więc na nie znacznie mniej, niż przeciętny inteligent.

— Już nie jest im źle, więc nie mam już obowiązków — myślała.

Przypomniała sobie z urazą kobietę suchotniczą, stojącą na mrozie z sinem dzieckiem w kolejce po chleb. Było to podczas wojny. Narzekała cienkim, chorym głosem na drożyznę chleba. Jednocześnie czytała pani Poluta w gazetach o nowym strajku piekarzy dla podniesienia swych zarobków.

— To już wtedy musieli się zacząć tak ładnie wypasać — zniechęcała się coraz bardziej. Bo i dla niej chleb był za drogi.

Przypomniała sobie wydawnictwa socjalistyczne, nielegalne, które przed wojną trafiały do jej rąk, dzięki społeczeństwu męża, które wyniósł z uniwersytetu. Robotnik był tam wyobrażony z twarzą energiczną i uduchowioną, a nad nim wznosił się komin fabryczny

i promieniowało geometryczne słońce. Gdzie ci ludzie przyszłości, uosabiający zwycięstwo człowieka nad materją? Czy to ci?

Widziała na ich twarzach tępość dosytu i letarg duszy, zasklepionej w kole codziennych potrzeb i walk życiowych. A oto przemawia jeden z ich przewodników:

— Towarzysze, walka klasowa — to najgłówniejsza sprężyna świata. Na karkach innych warstw robotnik fabryczny wespnie się na szczyt bogactwa i potęgi. Podepcze burżuazję i drobnomieszczaństwo, uosabiające reakcję. One nie mają prawa żyć!

Na miejsce mówcy, który zapocił się i zaślinił i zszedł, ocierając czoło rękawem, wszedł na estradę za stolikiem robotnik. Jaka miła twarz, okolona ciemnym włosom, twarz sucha, z szafirowymi oczami. Na Podlasiu bywają takie.

— Słyszałem tutaj wiele słów, — zaczął, aż mam od nich głowę, jak bania. Na mój prosty rozum nie wychodzi tak, jak towarzysz wykłada. Drobnomieszczańin także chce żyć. Na cudzych karkach stać nie można, rozstąpią się i ten, kto stoi, polecą w dół. Byli kapitaliści i inteligenci — zrzucić ich po to, aby przyszli inni panowie? Panowanie wam złe, a sami chcecie panować. Równości wy nie rozumiecie, bo chcecie zrównać się z tymi, co mają pełną kieszeń i brzuch. Chcecie odebrać bogactwo tym, co mają, choć Bogiem a prawdą nic wam nie brakuje. Ale czy który z was bąknął o tem, że są bezrobotni i że im pomoc trzeba? Narzekają, że kapitaliści myślą o sobie. A jak naprawdę wygląda solidarność klasy robotniczej? Nie w strajku, kiedy interes was zbiera do kupy, ale w życiu, w jednym domu robotniczym, gdzie człowiek dla człowieka kroku nie stąpi.

— Towarzysz znowu głądzi o filantropji — idźcie z nią się wypchać do klerykałów!

— Nie o filantropję chodzi. Jak źli ludzie najlepsze prawa wezmą do ręki, to z nich wyjdzie nieprawość. Przyszli inteligenci. Nauczyli nas zażądać zamiast suchej skórki — dużej pajdy chleba i to suto smarowanej masłem. Nauczyli nas, że Marks lepszy od Mesjasza, a tylko idjota wierzy w Boga, zamiast w pana Darwina. A dusze nasze? Kto dusze nasze podniósł? Czy od masła i mięsa rozrosła się dusza moja? Trzeba wydać straszną walkę *cudzemu* cierpieniu. My walczymy tylko z *naszem* cierpieniem. I świat ciągle zgrzyta, jak niesmarowana maszyna. Zaczęli my go naprawiać, a nie z tego końca.

Pani Poluta patrzyła na zjadliwie skrzywioną twarz koleżanki, która przyłączyła się do zgodnego chóru okrzyków:

— Burzuj! Ciasna głowa! Chrześcijański demokrat! Pacholek klechów! Precz z nim!

Ucieszyła się, że spokojna, rozwidniona twarz robotnika ani drgnęła pod gradem potępień, jak pod świszczącymi ciosami bicia. Zszedł, powiedziawszy swoje. Obok pani Poluty siedział młody człowiek, czarniawy, chudy, z płonącymi niezdrowym ogniem oczami. Typowa twarz anarchisty, podobna do zgilotynowanego Caserio, zabójcy prezydenta Carnot'a. Siedział, oparłszy łokcie na kolanach, a na nich głowę. Wypił chciwie słowa mówcy, odmienne od zwykłej katarynki partyjnej, od starych liczmanów frazesu, przyjmowanych obrzędowo, nie wstrząsających już nikim. Były to własne słowa tego człowieka, w ciężkim trudzie wykute w nim samym wewnątrz duszy. Teraz przetrawiał je. Myśl jego pracowała, oczy płonęły.

Pani Poluta wyszła i odpowiadała monosylabami na zapytania roznamiętnionej koleżanki. Określała:

— Wstrętna jest niewiasta, gdy ją rozpali i roznamiętni polityka. Już lepiej niech poluje na męża.

Słowa wypowiedziane przez owego robotnika, miały siłę surową i przekonującą prawdy, w ciężkim trudzie wykutej z materiału własnej duszy. Wstrząsnęły panią Polutą do głębi. Zrozumiała:

— Kończy się misja wyzwolenia mas od cierpień fizycznych. Niedługo zakończy się proces dziejowy tępienia nędzy indywidualnej. Zostanie chyba nędza zbiorowa, dotykająca klęską żywiołową całe społeczeństwo. Weszliśmy na drogę ustalenia opieki społecznej nad jednostką.

— Ale pozostała inna misja, ważniejsza i trudniejsza. Obudzić dusze tych ludzi, które z wrastającym dobrobytem zdają się tem ciężiej zapadać w sen. Wstrząsnąć nimi, zatargać ogromnym krzykiem duszy. Ukażać im schody świetliste, na które wstępować jest przeznaczeniem człowieka.

Było to zadanie o wiele od innych trudniejsze. Cóż łatwiejszego, jak rzucić hasło: — Napełniaj brzuch i kieszeń! — O ileż trudniej wysiłkiem i przeobrażeniem wewnętrznym zmienić dusze. Materiałisci dziejowi sądzili, że nędza i jej nacisk wykoszlawia ludzi. Odjęto nędzę. Polepszano nieskończenie warunki materialne. Doskonałość człowieka nie zyskała na tem.

Klasa ludzi sytych i zamożnych oddawna została przez demagogów ogłoszona za zdegenerowaną i niemoralną. A tymczasem właśnie sytość uznano za środek postępu ludzkości. Sytość bez określonej granicy. Sytość w dawkach, przy których nie przewidywano przesycenia. Może odjęcie niedostatku dawało robotnikowi

czas i wolną głowę do uczestniczenia w kulturze. Ale on w niej nie uczestniczył. Chyba w najgorszym jej zepsuciu.

Pani Potuta próbowała w swej Cesi „budzić duszę“. Ale napotykała zjadliwą ironję i otwarte pozewanie. Wszystko, co stało poza rozrywką i nabywaniem strojów albo też smacznem jadłem było inteligenckiem zawracaniem głowy. Możliwy tego posłuchać, tak, jak nauczyciela na kursach dla dorosłych, ale tylko w takim razie, jeżeli kosztem tego miało się towarzystwo dwudziestu kilku chłopaków. Możliwy tego posłuchać, gdyby za to dali bluzkę albo choćby bilet do kina.

To też pani Poluta machnęła i na to ręką. Obiecywała sobie, że kiedyś, odchowawszy Anię, poszuka wśród ludu tych lepszych jednostek, aby nad niemi pracować.

Tymczasem stanął przed nią dylemat życiowy: oszczędzać na wikcie, czy zostać bez bucików. Ale pierwsze próby oszczędnościowe wywołały otwarty bunt służącej:

— Mnie tam nic do pani interesów. Ja mam mieć dobrze, zapłacone w czas, syto, smacznie, ciepło. A głodzić się pani może, ale sama.

Skutkiem przeciekających bucików była choroba. Pani Poluta pewnego dnia nie poszła do biura.

Leżała w łóżku i słuchała rzucania statkami w kuchni i niechętnego mrużenia Cesi. Teraz musiała ją obsłużyć i wykonać drobne roboty, które dla świętego spokoju robiła sama pani Poluta. Pani Polucie było przykro. Potrzebowała współczucia i dobroci w chorobie.

Cesia weszła do jej pokoju, rozglądając się po kątach. Chwyciła ramę od portretu matki pani Poluty. Rama

rozkleiła się i leżała na wierzchu. Pani Poluta wybierała się odnieść ją do naprawy.

— Poco Cesi ta rama? — poruszyła się pani Poluta.

— Na rozpałkę, zapomniałam drzewa przynieść, a iść mi się nie chce.

— Proszę to zostawić, tego ruszać nie wolno, — powiedziała pani Poluta.

— To niech pani sama idzie po drzewo, ja dla pani nogów tyle razy zbijać nie będę, — warknęła Cesia brutalnie i wyszła z ramą. Pani Poluta słyszała, jak rąbała ją w kuchni. Nie miała sił wstać. Zresztą poco? Wszak nie będzie się szarpała z istotą niższą.

Wieczorem o zwykłej swej porze Cesia zasiadła z zeszytem w przyległym pokoju. Skarżyła się, że w kuchni wieje i wołała siedzieć przy stole jadalnym w pokoju. Atoli w momentach, gdy przychodzili kawalerowie, przestawało tam wiać.

Pani Poluta gorączkowała. Tęskniła do obecności istoty dobrej i swojej. Zdawało jej się, że wróciły dawne czasy. Przychodzi jej mąż. Kładzie kochające dłonie na głowie. Och, poczuć dłonie pełne pieszczoty na głowie zmiażdżonej kołami życia...

Nagle usta jej napełniły się lepłą cieczą. Nieznośny skrzep zdusił ją w gardle. Krwotok płucny, — konstataowała z przestrachem.

Zawołała, dusząc się krwią:

— Cesi, na pomoc, krew z gardła.

Doszedł ją zły głos:

— Od pół do siódmej mam wymówiony czas dla siebie. Cemu mi pani spokoju nie daje? Te burzuje toby żyły z człowieka wyciągnęły.

Pani Poluta wstała z trudnością i poszła do umywalni. Usłyszała jednocześnie pukanie do drzwi ku-

chennych. Cesia porwała się, by otworzyć swemu gościowi. Pani Poluta zachwiała się na nogach. Było jej czarno w głowie. Ocknęła się na podłodze. Krwotok ustał. Wróciła do łóżka i zasnęła okrwawiona, z powalanemi rękami i twarzą, nie mając sił dźwignąć dzbanka z wodą.

Przez parę dni leżała ciężko chora. Cesia przynosiła jej herbatę i ciskała ją prawie na stolik ze złym humorem. Pytała, co będzie jadła, nie otrzymywała odpowiedzi, przynosiła byle co i złościła się coraz gorzej. Czuła, że jest nie w porządku, ale uważała swoją panią w jej ciągłej apatii i osłabieniu woli za pochyłe drzewo, na które kozy zawsze mogą skakać.

Pierwszego dnia po wstaniu z łóżka pani Poluta posłała list do Prętkiewicza. Ze wszystkich znajomych powojennych był dla niej najsympatyczniejszy. Lubiła go za dyskrecję. Była pewna, że nie urazi jej żadnem niewczesnem pytaniem. Odkąd Wasilewicz wpadł w zgubny swój nałóg, unikała ludzi. Współkolegów z ministerstwa nie dopuszczała zupełnie do swego życia prywatnego. Wezwała więc Prętkiewicza do siebie.

Tegoż popołudnia przyniesiono jej większą kwotę pieniędzy od jednego z kresowców, któremu kiedyś tę kwotę pożyczyła, a który szczęśliwie prowadził afery leśne. Oddawała się właśnie ucieście z tego powodu, gdy znów zadzwoniono. Był to Prętkiewicz.

Przywitał się z nią, cokolwiek zażenowany. Widać przepełniony był obawą, że może ją w czemś urazić. To też był mało mówny wbrew zwyczajowi.

— Dawno byłbym sobie pozwolił odwiedzić złotowłosą margrabinę, ale słyszałem, że się nie udziela nikomu, — zaczął, — obawiałem się być natrętny.

— Byłam istotnie niezdrowa przez pewien czas,

a teraz też jestem po chorobie. Chcę prosić pana o przysługę.

— Ależ z przyjemnością.

— Służąca była dla mnie bardzo niedobra podczas choroby. Nie mam sił jej odprawić. Proszę to za mnie zrobić i przysłać mi jaką pielęgniarkę. Jeszcze tu jest także parę spraw pieniężnych do załatwienia.

— Ależ z przyjemnością. Niechże ja marny literacina mam małą zasługę na świecie. Bo też pani zawsze wszystkich rozpuszcza na cygański bat. Rozpuściła pani dziecko, służącą, męża...

Tu ugryzł się w język. Pani Poluta zrobiła się bardzo błada. Prętkiewicz siedział całkiem nieszczęśliwy i miał w rękach swój kapelusz filcowy, nadając mu kształt to rembrandtowski, to spiczasty jak u bandytów włoskich, aż gospodyni znowu uśmiechnęła się do niego.

— Pan zawsze filozofuje.

— A jakże. Spisuję teorię czystej formy w sztuce. Nie uwierzy pani, jakie to śliczne zajęcie — bawić się w abstrakcję. Wyłączam z kręgów myślenia coraz to więcej zjawisk materialnych. Wyrzucam ze siebie coraz więcej czuć zmysłowych. Staję się, jak odkażona woda destylowana. Żadnych zarazków wzruszeniowych, żadnej treściowości z zainteresowaniem życiowem. Czysta praca intelektu. Szybowanie na kręgach coraz wyższych do kilku najistotniejszych, wszechobejmujących formuł kosmicznych. Wie pani, czuję się czasem, jak dom bez fundamentu, unoszący się w powietrzu, jak wieżycia na samolocie!

Pani Poluta zaśmiała się.

— O jakie porównanie futurystyczne.

— Ale pani jest chora, — spostrzegł się Prętkiewicz, a taka maszyna do produkowania abstrakcji jest

dość nużąca. Zawsze wchodząc do ludzi, powtarzam sobie zasadę: — Nie forsuj mózgów twoich bliźnich. Ale się zagalopuję i zapomnę o niej. Wczoraj przez zapomnienie zacząłem mówić mojej gospodyni o jedni ducha autonomicznego, kiedy pytała, czy ma mi zrobić jaja na miękko na śniadanie.

— Mój intelekt odpoczął w kieracie codziennym i z przyjemnością słucham pana.

— To przez grzeczność. Teraz wezwijmy wszystkie Erynje na głowę tego czarnego charakteru. Musi ustać. Do Tartaru z nią! Wyrok tragiczny wypisali Eak i Radamantes!

Wyszedł do kuchni i pani Poluta ze zdenerwowaniem słyszała głos jego i Cesi. Po chwili Prętkiewicz wrócił z miną pogromcy.

— Okaz proletariatu powojennego błaga o minutę posłuchania. Obiecał mi ten warszawski kocmołuch vulgo parzygnat największą potulność i wersalskie ugrzecznienie.

Pani Poluta wzdrygnęła się.

— Po tem, jak zostawiła mnie w chorobie bez ratunku, został mi tak głęboki uraz psychiczny, że wprost nie wiem, jak mogłabym go wyrwać, czem wygładzić.

— To niech nie wchodzi!

— Nie, proszę poczekać, — namyślała się pani Poluta, — proszę poczekać. Tu trzeba zrobić zrównanie matematyczne. Sumą dobra wygładzić sumę zła.

Dziewczyna sama wpakowała się w tej chwili do pokoju, głośno chlipiąc.

— I za co mnie pani odprawia? Za moją ciężką pracę? Pani to jest burżujka i chce, żeby przed nią skakać. A ja jestem także człowiek. Równe prawo

mam. Obiecała mnie pani po równości traktować, a teraz mnie pani na bruk wyrzuca. Ja się tu odzwyczaiłam ciężko robić. Gdzie ja na poczekaniu letką służbę znajdę?

Pani Poluta z postanowieniem wzięła z biurka część pieniędzy. Dała je dziewczynie.

— Masz tu na pamiątkę odemnie — powiedziała.

Oczy Cesi zaświeciły się niesamowitą chciwością. Chwyciła pieniądze drżącymi rękami. Przeliczyła banknoty. Zacisnęła w garści. Wzruszenie dławilo ją. Przy padła do ręki Wasilewiczowej.

— Daj spokój, — usunęła się ta z niesmakiem, — przecież teraz równość i nie wypada pani w ręce całować.

— Za taki pieniądz można! — odkrzyknęła służąca radośnie i wypadła z pokoju.

— Znalazła pani sposób na uraz psychiczny — mruknął Prętkiewicz zły, — przecież ta łajdaczka nawet nie zrozumiała głębi swojej niecnoty. Jeszcze ją pani najczulej wynagrodziła. Przecież teraz ostatecznie będzie zdania, że pani jest chyba niespełna rozumu. Czy jej to się należy? Czy jej to potrzebne?

Pani Poluta odpowiedziała:

— Nie, ale mnie to było potrzebne.

XVIII

W kilka dni potem Prętkiewicz zjawił się znowu u pani Poluty. Przyciągnął ze sobą blondyna o oczach marzących.

— Oto, — przedstawiał, — typ lejący na smutek człowieczy, jak sęp na padlinę. Zawodowy goiciel ran. Chirurg od zszywania serc pękniętych i zbierania rozlanej żółci. Chociaż sam chodzący wiecznie broken hearted. Pielęgniarka zawiedzionych. Generalna wykładaczka do zębów swoich bliźnich.

— No, dosyć tytułów. Białecki, *tout court!* Ty to zawsze musisz pleść trzy po trzy.

— Czemu nie tysiąc po tysiąc. Przyznaj, że nikt tak się nie zna na urazach psychicznych, jak ty. Podobno masz także magiczny środek na nieszczęśliwą miłość. Znacznie skuteczniejszy od lubystki. Podobno leczyłeś nim doktorową Pieprzykowską.

— Zamknij no otwór do wypuszczania rac taniego dowcipu! Co pani sobie o mnie pomyśli!

— Pomyśli, że jesteś pomyłony frazesik na pajęczych nóżkach, chodząca bańka z miodem, która wszystkim daje się rozlizywać, że jesteś *herba mazgaica* czyli zwyczajna polska fujara.

— Chyba to wszystko niebardzo panią zachęca do znajomości ze mną? — pytał Białecki w zupełnej desperacji.

— Ależ właśnie zachęca, — zaprzeczyła pani Poluta, ubawiona.

— Ponieważ dziś zapowiada się biba u malarji, pożegnam państwa. Chciałem panią zaopatrzyć w Białeckiego, jak w parasol od deszczu. Ale proszę nie stosować do niego japońskiego aforyzmu: Parasol nos i przy pogodzie. Dwie pogody to za dużo. Można się roztopić z upału, jak masło.

Prętkiewicz ucałował ręce pani Poluty i uciekł. Białecki pozostał trochę zakłopotany.

— Proszę teraz powiedzieć, — rzekła śmiejąc się pani Poluta, — czy charakterystyka pana Prętkiewicza jest trafna? Bo jednak z tych wszystkich powiedzeń można zestawić charakterystykę.

— Jaką? — zapytał Białecki.

— Że jest pan człowiekiem bardzo dobrym i uczynnym i że dobroci pana ludzie czasem nadużywają.

— Przyznaję się do nieuleczalnego defektu miłości dla świata. Mam w sobie wrodzone poczucie jedności z wszelkiem stworzeniem. Czasem mówię z jakimś nikczemnikiem. Wiem, że jest taki. A jednak nie mogę się obronić poczuciu człowieczej z nim tożsamości.

— Dopieroż ludzie muszą pana poczucia jedności nadużywać.

Pani Poluta poczuła się w obecności Białeckiego odrazu lekko i dobrze.

— Czy pan Prętkiewicz zlecił panu jakieś zadanie strategiczne w stosunku do mnie?

— O nie, — wyparł się Białecki, — tylko Prętkiewicz opowiadał mi dużo o pani. Chciałem poznać...

— Czy zakomunikował panu i moje *curriculum vitae*? — zaszepiła się pani Poluta.

— O, nie, — poderwał się na krześle Białecki, — Prętkiewicz nigdy nie opowiada nic o ludziach. Mówi: — Niech każdy będzie autobiografem. Zresztą,

o każdym człowieku można wiedzieć tylko tyle, ile się z niego samego wyczyta. Fakty są poza człowiekiem. Prawie nigdy nie mówią o nim. Bo czyż kto z nas ma taką siłę woli, aby zrealizować najwyższe swoje poczucie siebie? Fakty i czyny są najczęściej śladami naszych niedociągnięć, niezdarnymi szkicami obrazów, które w wyobraźni były pełnią i cudem.

— Mówi pan, że z człowieka można wiedzieć tylko tyle, ile się z niego wyczyta. A jak pan czyta?

— Poczuciem wewnętrznym. Nie umiałbym pani techniki tego odtworzyć.

— A ze mnie może pan coś odczytać?

— O, z pani... W pani jest coś tak pokrewnego i zrozumiałego dla mnie...

— Od lat nie mówiłam z nikim o sobie. A tymczasem w momentach rozlewności człowiek uświadamia się sobie i ma w innym człowieku sprawdzian, niejako lustro, w którym się odbija.

— Czemuż pani przestała mówić o sobie?

Pani Poluta długo milczała. Wreszcie powiedziała cicho:

— Słuchać nie było komu.

W tych prostych słowach zabrzmiał krzyk samotności duszy człowieczej. Białecki wzdrygnął się.

Ręka pani Poluty leżała na stole, wygojona i nowo wydelikaccona podczas choroby, atłasowa z siecią niebieskich żyłek. Białecki lekko ją pogładził. Cofnęła rękę zmieszana. Ale wnet ujrzała zupełnie braterską, pełną czystej miłości intencję tej pieczy. Uśmiechnęła się do niego oczami pełnymi łez.

Prętkiewicz istotnie zaopatrzył panią Polutę w Białeckiego, jak w parasol od deszczu. Białecki otoczył ją siecią przyjacielskich usług. Znosił jej książki, nastra-

jające do optymizmu: Kwiatki św. Franciszka Claudel'a, Emersona, Selmę Lagerlöf. Wyciągał ją czasem na przechadzkę, albo przynosił bilety do teatru. W ciągu dnia podczas pracy był jej myślą radosną. Budząc się rano, czuła na sobie ciśnienie powszedniego dnia. Jakby szary słup z żelazobetonu miażdżący jej pierś. Przypominała sobie, że dziś po południu zobaczy Białeckiego. Jednak coś dobrego i jasnego zdarzy się w ciągu tego dnia. Będzie czym duszę nakarmić. I dusza rozkwitała w uśmiechu.

Dziś pani Poluta trafiła w okolice Miodowej. Rzadkie drzewa na ulicy śmiały się pierwszą, jasną zielenią wiosenną. Przeszła koło kraty pustego, brukowanego dziedzińca Pałacu Arcybiskupiego, potem koło półokrągłej kolumnady gmachu sądu. Zwróciła jej uwagę wielka ilość matek z dziećmi, idących w tę samą stronę co ona. Doszła do kościoła OO. Kapucynów. Przypomniała sobie, że to dzień św. Feliksa, patrona chorych i dzieci. Kiedyś prowadziła tu małą Anię. Spojrzała na znajomą figurę świętego po prawej stronie ganka kościelnego, trzymającego na ręku dziecko. Przywitała tę szarą postać z kamienia, jak kogoś bliższego.

Szły matki gromadami, przeważnie ze sfer nieukształconych. Kuszykały na pałkowatych, rachitycznych nóżkach dzieci papierowo-białe. Dzieci nie znające uśmiechu. Szły maleństwa wyświeżone, czystutkie, gromadą przy spódnicy matek. Oto kobieta w chustce z dzieckiem na ręku, które patrzy poważnie na świat z paluszkami w drobniutkich usteczkach. Twarzyczka ciemna od złego mycia wygląda z koronek nowego czepeczka. Obok mały chłopczyk z kapelusikiem w ręku, zagapiony do zupełnego zapomnienia o sobie.

Płyną gromady przez ganek do wnętrza kościoła. Drobniutkie dzieci z choremi nóżkami, kaszlące, gorączkujące śpieszą się do swego świętego. To dziś ich święto. Czekają na nich ten rubaszny mnich — Franciszkanin, który wyszedł z ubogiej chałupy. A serce miał wprawniejsze w miłość, niż najmądrzejsi doktorowie i dostojnicy.

Pani Poluta weszła na ganek. Oprócz zwykłego kramiku z dewocjonaljami rozsiadła się tu dziś gromada kobiet, sprzedających medaliki z wizerunkiem św. Feliksa i woskowe wota. Pani Poluta zatrzymała się przed jedną z nich, która miała w koszu jakieś nieforemne wota, przedmioty z jaskrawo-żółtego wosku. — To podobne do serc, — pomyślała i kupiła jedno na uleczenie serduszka Ani. Wyciągnęła rękę po drugie. Coś jej podszepnęło:

— Dawniej składałaś za męża...

Wyrzuciła go z okręgu swych myśli. Nie chciała cierpieć. On był winien. Niechże wyjdzie poza obręb jej życia, jak wyszedł poza próg ich domu. Oddawna poraz pierwszy poczuła znowu na palcu pod rękawiczką jego obrączkę. Skuta jest na zawsze... Na wieki wieków... Nie wróci dawny — nie odrodzi się w wyższą formę bytu. Tylko stoi w poprzek jej drogi. Tylko grodzi jej gościniec wiodący w jasne kraje. Jak kamień tak ogromny, że ani obejść, ani przeskoczyć...

Pani Poluta pomyślała o Białeckim. Poczuła radość, że on jest na świecie. I w imię tej radości przebaczyła Joachimowi. Niech i na niego zejdą jasne dni. Niech św. Feliks obłąkane i rozdwojone serce jego uleczy! Ale to wotum ofiaruje za jasnego przyjaciela.

Weszła do nawy głównej. Dwie białe ubrane dziewczyny z bractwa klęczały na klęcznikach przed wielkim

ołtarzem. Modliły się z książeczek uroczyste i szczęśliwe.

— Czy mogę tak samo biała i z lekkim sercem klęczeć przed Tobą? — przyklękając, zapytała pani Poluta wystawiony Przenajświętszy Sakrament.

Na sercu uczuła ciężar. Nie. Czemu?

Poszła przed ołtarz św. Feliksa. Szła kulawa dziewczyna, niosąc nóżkę z wosku. Wątku rączka, kierowana przez matkę, złożyła ją z lewej strony kaplicy, gdzie piętrzył się stos wotów.

Zapatrzyła się na nią. Kulawem wydało się jej życie. Uleczyłyby jej nogi, by na manowce nie wiodły. Chryste Panie, czy ta znajomość z Białeckim to przyjaźń? Czy to jest aby przyjaźń?

Z łkaniem wewnętrznym wyznała św. Feliksowi, stojącemu w swym ciemnym habicie nad bukietami białych bzów, że ciężko chore jej serce na wiosenną tęsknotę... Na aromat pękających pąków... Na dal błękitną... Na szaleństwo ramion, które z krzykiem dokoła ukochanego opleść się pragną.

Ale poczuła nad sobą silny zakaz prawa bożego. Podeszła do lewego rogu ołtarza. Złożyła wotum za Anię. Potem wyciągnęła dłoń z drugim wotum. Zaważała się. Ale jakby tchnieniem cudzem wyszeptała:

— Za męża Joachima...

Odeszła. Poszła do kaplicy mającej kształt długiej galerii, w której ksiądz olejem św. Feliksa namaszczał chorych. Uklękła. Przyjęła na czoło olej święty. Modliła się żarliwie, z oczami pełnymi łez:

— Ulec serce moje, chore na młodość i wiosnę...

Wracała rojnemi ulicami. Szło tyle kobiet w krótkich spódniczkach i długich żakietach. Wszystkie miały

męskie kapelusiki na głowie. Krótkie włosy. Cieliste pończochy i lakierki.

— Im wolno kochać, — myślała z nieskończoną melancholją.

Nad wieczorem przyszedł do niej Białecki. Przy-
niósł jej bukietik bratków.

— Co pani jest? — dopytywał się, widząc jej za-
smucenie.

— Nic, — broniła się, — pan wie, jasne tło uwy-
datnia ciemne plamy.

— Cóż jest jasnym tłem?

— Dzisiejszy dzień wiosenny.

— A ciemną plamą?

— Samotny smutek mój.

Białecki wstał z miejsca. Okrążając stół, szedł ku
pani Polucie. Zamarła w oczekiwaniu. Położył na jej
głowie dłoń. Powiedział cicho:

— Już nie samotny, bo już ze mną podzielony.
O moja, moja...

Ostro krzyknął dzwonek u drzwi. Pani Poluta
zerwała się zmieszana i poszła otworzyć, bardzo wizycie
nierada.

Był to Prętkiewicz.

— Przyniosłem tu pani bilet na odczyt do Klubu
Literackiego. Niechże się nie nazywa, że tylko Białecki
o pani pamięta. Zresztą to jego specjalność. Niewiasta
niedość przenikliwa gotowa go nie wiedzieć o co po-
sądzić. A to czułości na tle ogólnoludzkim. Ach, ty
ideo platońska przypadkiem przyczepiona do dwóch
nóg!

— Nie jestem tak platoniczny, jak sądzisz, — od-
parł Białecki niecierpliwie. Spoglądał dziwnie na panią
Polutę. — To ty jesteś abstrakcja usymbolizowana

w byku asyryjskim. Stylizowana głowa i skrzydła,
a kadłubek — umięśniony, że ha!

— Możesz mi dać pokój z abstrakcją. Od dziś
przestaję czytać wszelką metafizykę.

— O, cóż to się stało?

Prętkiewicz zerwał się z udręczoną twarzą.

— Nie jestem wcale artystą, jestem niczem. Ab-
strakcja wyssała ze mnie rdzeń życia. Jestem łodyga
bez korzeni, która uschła. I nie zazieleni się. I nie
zakielkuje. Nie tkwię w ziemi, rozumiesz? A wiesz,
co będzie z samolotem, który nie ląduje nigdy?

— Zabraknie mu benzyny i polecą na łeb na szyję.
Czyżbyś i ty już degrengolował?

— Degrengoluję, — krzyknął Prętkiewicz z męką, —
jestem pusty motor bez benzyny. Jestem samolot po-
trząskany. Nie jestem artystą. Dzieło sztuki powinno
budzić bezinteresowną bezpojęciowość. A ja się uwi-
kłałem w pojęcia, jak w stos szkieletów. Moje utwory
grzechoczą, jak kości. Konstrukcje formalne świecą jak
zebra z żywego ciała. Jestem skończony. Jestem X me-
tafizyczne, które po rozwiązaniu równania daje zero.

— Nie przejmuj się, Władek, — zakłopotał się i za-
krzątał Białecki, — chodź, zanalizujemy to raz jeszcze.
Metafizyka bruździ — rzuć ją do licha. Wrastaj korze-
niami — szukaj miłości niewiasty, nieznanego ci dotąd
wielkiego twórcy, rozrywek — zanurz się w uciech rzeki,
aby nie brudne — ale nie rób ze tragedji!

— Och, ty plastrze na rany!

— Och, ty pelikanie rozdzierający pierś własną,
choć nie karmiący nikogo! Jeszcze za Jules Laforgue'a
poeta był jak czworonóg na księżyc z powodu *le mal
metaphysique*. Teraz ty całkiem odwrotnie. Cierpisz
na zanik konkretności. A ładuj że ją w siebie. Bierz

przykład z futurystów. Stań na rogu ulicy, nastaw się, jak aparat kinowy i zacznij się kręcić. Sfilmuj, co jest w polu widzenia. Od współczesnego poety nic więcej się nie wymaga.

Ale Prętkiewicz już się wstydził swego wybuchu. Pożegnał się co prędzej i wyszedł.

Pani Poluta i Białecki zostali sami. Moment nie-dopowiedziany trwał jeszcze. Snuła się między nimi cudna muzyka. Nie chcieli jej przerwać wyraźniejszym wyznaniem, śmielszem zbliżeniem... Grały w powietrzu akordy najcichsze, patetyczne, wniebowzięte pianissima...

XIX

Ania weszła z matką do mieszkania. Drżącemi z niecierpliwości rączkami powiesiła na szaragach płaszczyk i beret. Nauczyli ją porządku i opanowania w klasztorze. Potem prędko wbiegła do pokoju ojca.

Na ścianach były prostokąty po zdjętych obrazkach. Nad otomaną nie było kilimu z Wasilewa. Na półkach nie było książek ojca. Dokoła żadnej rzeczy codziennego użytku, któraby świadczyła o jego tu obecności.

Dziecko doświadczyło poczucia tak strasznej pustki, że aż ugięły się pod nią kolana. Ania usiadła na krzeselku, nie zwracając uwagi na matkę, która z bólem i przeżeniem przeżywała z nią tę chwilę. Po pewnym czasie, przelękając ślinę gardłem zaschniętem, podeszła do okna. Patrzyła na ulicę. Patrzyła przez to samo okno, przez które matka żegnała wzrokiem odjeżdżającego męża.

Pani Poluta wiedziała, że ten powrót do domu będzie ciosem dla dziecka. Musiało się wkońcu dowiedzieć. Ale teraz dopiero zrozumiała całą wielkość rozpaczny Ani.

— Chodź, — wzięła Anię za rączkę, — tam są twoje lalki. Wszystkie w porządku. I nowa, taka piękna!

Ania odwróciła się i popatrzyła na matkę wzrokiem suchym i zaognionym.

— Pilnowałaś moich lalek, a jego ustrzec nie

mogłaś! Nie mogłaś go chwycić za nogi, krzyczeć, błagać, żeby nie odszedł od nas!

Tak, pani Poluta nie zrobiła najwyższego wysiłku, żeby męża zatrzymać. Nie zrobiła... Czuła to teraz wyraźnie. Była zmęczona. Ale trzeba było nacisnąć jakąś sprężynę woli. Trzeba było boleśnie się szarpnąć, wydobyć ze rdzenia swojej istoty krzyk, któremu nie mógłby się oprzeć.

Tak, byli jednością — on, ona i dziecko. Czuła teraz to, co wydawało się jej łańcuchem, a co było więzią organiczną. Poprzecinano żywe mięśnie i ścięgna, którymi byli zrośnięci oni troje. Krwawiło. Było straszne.

Bo łączność zewnętrznie przerwana trwała. Była zatwierdzona tam, w górze. I w wieczności nie kończyła się wzajemna odpowiedzialność.

Cóżby dała, aby włożyć znowu na kark jarzmo tak ciężkie. Teraz, kiedy osowiałe, przybite dziecko chodziło z kąta w kąt, nie mając do niczego ochoty, wydawało się jej to jarzmo najwyższą wolnością.

Popołudniu przyszedł Białecki. Przyniósł dla Ani zabawki i cukierki i widocznie chciał zjednać jej sympatię. Ania dygnęła i grzecznie podziękowała. Odpowiadała na pytania o nauce i klasztorze, ale myśl jej była gdzieindziej. I pani Poluta była przygnębiona i niewesoła. Dziś nawet Białecki nie mógł jej dodać otuchy, tembardziej, że przy dziecku nie mogła z nim porozmawiać otwarcie.

Markotnie poszła Ania spać po kolacji nie zwracając uwagi na przygotowane dla niej przysmaki. Leżała w białem swem łóżeczku, które przez tyle miesięcy stało puste. Odczuwała to boleśnie co wieczór pani Poluta. Kładąc się spać, myślała o chwili, gdy dziecko wróci i znowu będzie w tem łóżku. Myślała

o tem, jako o najwyższej nagrodzie za cierpienia, jako o szczęściu niezamąconem. A oto dziecko leżało z szeroko otwartymi oczami, opanowane przez wielki dramat swego małego istnienia.

— Najgorsze, że nie płacze, — trapiła się pani Poluta i przemawiała znowu do Ani:

— Jak tylko tatuś przyjedzie z kresów, zaraz pójdziesz do niego. On tak się ucieszy.

— Nie chcę iść do niego, do obcych ludzi, u których mieszka. Chcę, żeby był razem.

— Poślemy po niego, żeby przyszedł do nas.

Wreszcie dziecko zasnęło z silnemi wypiekami na twarzy. Pani Poluta czuwała. Podtrzymywała ją myśl o Białeckim. Gdy dziecko umilkło, wróciła do marzeń o nim słodkich i zawrotnych. Przypominała sobie mowę jego oczu, którymi wyrażał muzykę serca, nie mogąc nic poufniejszego powiedzieć przy Ani. Przypominała sobie jasne włosy nad czołem, tę linię miękką i falistą, która okalała skronie takie białe, przerżnięte żyłką niebieską. Przypominała sobie, jak niedawno poczuła jego dłonie na głowie. Przeżywała znowu i znowu upojenie tej chwili, przywoływała dźwięk gorącego szeptu: — O moja, moja...

Ania jęknęła przez sen. Pani Poluta podbiegła do łóżeczka. Dziecko było silnie rozpalone. Rzuciło się i jęczało przez całą noc, wołając ojca, zaklinając go, by wrócił. Kiedy nad ranem otworzyła oczy, były mętne i bez wyrazu. Nie poznawała matki. Wezwany natychmiast lekarz stwierdził zapalenie mózgu.

Pani Poluta uważała za swój obowiązek zawiadomić o chorobie Ani Skrzeżetowicza, aby zadepeszował natychmiast do męża. Dowiedziała się, że bawi w Zabołotnem. Nie było więc nadziei natychmiastowego

powrotu. Poczta tam działała bardzo powoli. Do stacji trzeba było jeszcze jechać końmi. A może Wasilewicz nie jest na miejscu. Mógł siedzieć w miasteczku powiatowym.

Nastąpiły dni, jak powolna tortura. Ania męczyła się okropnie. Pani Poluta nie odstępowała jej, to kładąc łód na czoło, to uciszając rzucającą się w gorączce.

Przyszedł Białecki. Prosił, by mógł być przy niej. By mógł pomagać i ratować. Uśmiechnęła się blado.

— Tu na tem miejscu powinien być jej ojciec — nie wolno dać mi tego miejsca nikomu.

Białecki chwycił jej rękę.

— Ale kiedy Ania wyzdrowieje? Wolno mi będzie znowu być przy pani?

— Zobaczmy, kiedy Ania wyzdrowieje, — odpowiedziała dalekim głosem i wybiegła do drugiego pokoju, bo Ania zaczęła jęczeć.

Jednakże w chwilach, gdy dziecko drzemało, lub gdy termometr wskazywał o parę kresek mniej, nie mogła się obronić marzeniom słodkim i upojnym. Szczęście jego obecności było tak silne, że triumfalną fanfara brzmiała nad męką chorego dziecka.

Dziś od rana było bardzo źle. Dziecko oprzytomniało na chwilę.

— Powiedz tatusiowi, że będę w niebie w zastępie polskich harcerek. I wymodłę, żeby on nie szedł w dół. Żeby znowu był Polakiem. Powiedz mu to. Ubierz mnie w strój harcerski. We wszystkie odznaki. Ksiądz Justyn wie...

Pani Poluta wypadła z pokoju oszalała. Pchnęła służącą po doktora, a znajomą, która od początku choroby Ani pośpieszyła z życzliwą pomocą — po księdza Justyna.

Pierwszy przybiegł ksiądz zadyszany i zmartwiony. Udzielił nieprzytomnej dziewczynce ostatnich sakramentów i został przy matce. Wkrótce nadjechał doktor. Zmierzył ciepłotę i tętno i odszedł od łóżeczka z marsem na czole.

— Tu już moja wiedza na nic. Niech ksiądz się pomodli, bo ratunek już nie jest w ludzkiej mocy.

Pani Poluta chwyciła księdza za rękę.

— Proszę się modlić, proszę się modlić, może Bóg wysłucha.

— Modlitwy matki skuteczniejsze. Niech pani się modli, niech pani coś ofiaruje...

— Co mam ofiarować?

— To, co pani ma najdroższego na ziemi.

Pani Poluta uczuła ostrze, wwiercające się jej pod żebrą. Co miała najdroższego na ziemi? Tego, który przyszedł na zgliszcze i zasadził na niem ogród wiosenny.

— Czyż mam nie widzieć go nigdy? — jęczała cicho, wpatrzona w ciemne oblicze Madonny bizantyńskiej, — czyż ma ziemia stać się znowu, jak cmentarz zawiany śniegiem, gdzie dokoła krzyżów wiatr wyje?

Ale nade wszystko górował krzyk nieludzkiej rozpacz, krzyk wnętrza kobiety i całej jej duszy:

— Dziecko, dziecko!

Już miała ślubować, że za Anię nie ujrzy go nigdy na oczy... Wytraci go w sercu swoim. Poświęci się nieskończonej tęsknocie... Wtem podszedł lekarz, zbadał znowu dziecko, poprawił łód na główce, wlał znowu lekarstwo w usta.

— Jest maleńkie polepszenie, — zwrócił się do matki z pociechą.

Pani Poluta odetchnęła. Spojrzała przez drzwi nie-
domknięte na klęczącą postać księdza Justyna, który
się modlił żarliwie, ukrywając twarz w dłoniach. On
nie będzie wiedział. Nie pójdzie się do niego spowia-
dać. Może Matka Boska da zdrowie Ani bez jej tak
straszego wyrzeczenia. Bez wyrzucenia wszelkiej ja-
sności z życia aż do ostatniego promienia.

— Ona mi będzie jasnością, — myślała pani Po-
luta o Ani i czuła w tejże chwili, że Białecki — to
co innego. Że on — to szczęście inne i bez porównania
bardziej osobiste.

Patrzyła na surowo ściągnięte brwi lekarza. Jeżeli
powie, że niema ratunku... Wtedy spełni to ostatnie
straszne wyrzeczenie.

Ania poruszyła się z jękiem.

— Idę... idę... do zastępu harcerek Królowej Korony
Polskiej... — zaczęła mówić niewyraźnie.

Pani Poluta szarpnęła się naprzód, jakby ugodzona
ciosem śmiertelnym. Padła na klęczki. Wbiła ranne
spojrzenie w twarz Matki Boskiej, w Jej ręce, błagając
okrutnem natężeniem woli, by się otwarły. Wymówiła
świszczącym szeptem:

— Ślubuję Ci, Matko Przczysta... Nie ujrzę go
nigdy, nigdy na ziemi...

Nazajutrz rano Ania była przytomna. Leżała bar-
dzo osłabiona i snuła niewesołe myśli dziecięce.

XX

Białecki dzwonił codziennie. Otwierała mu służąca,
przyjmowała kartki do pani Poluty, kwiatki i cukierki
dla dziecka. Trzeba było z tem skończyć. Pani Poluta
posłała do niego list:

Szanowny Panie!

Z pewnych powodów, nie mogę Pana więcej wi-
dywać. Dziękuję Panu stokrotnie za dobrą przyjaźń,
której zawdzięczam tyle jasnych chwil w życiu.

Szczerze oddana

Pelagja Wasilewiczowa.

Białecki przeczytał ten list. Ręce mu opadły. Świat
powłókł się jednostajną szarą mgłą.

Wyszedł na miasto bez celu. Trafił w Aleje Ujaz-
dowskie. Wszedł do Parku Łazienkowskiego. Ach, tak,
tu był ostatni raz z Polutą.

Liście pierwszej jesieni padały z cichym szelestem
na piasek alei. Potrącał nogą brunatne kasztany. Drzewo
rozkwitło i osypuje się. Nieuchronny ból przekwitu...
Czegóż się spodziewać od życia? Przemijanie... Zwiędłe
liście... Niema w człowieku mocy, by chwilę szczęścia
unieruchomić na wieki.

Szałeństwo i protest wezbrały w nim nagle słoną
falą. Czemże był? Dobrym lekarzem duszy na krótką
chwilę. Dusza zmęczona odgrzała się przy nim i wzmo-

gła w sobie. Przyszła nowa zabawka — dziecko. I oto ukochana odwróciła się od niego. Czyż był tylko wykałaczką do zębów?

Gdyby wiedzieć, gdyby wiedzieć, że za tem spojrzeniem oczu, za uściskiem dłoni, za cichem poddaniem się jego braterskiej pieśczoście była naprawdę miłość! Że była... Wtedy lżej będzie znieść cios, tę wiadomość przycisnąwszy do serca, jak relikwie na drogę życia.

Usiadł na ławce, wziął pełne garście czerwonych liści. Majaczył, że ma ręce pełne krwi wytoczonej z serca.

— Co tu melancholizujesz? — odezwał się nad nim głos.

Podniósł oczy i po chwili zrozumiał, że stoi nad nim Prętkiewicz. Oderwał się z trudnością od jednotonnej melodii bólu, w której pogrążył się cały.

— Co tu robisz? — zapytał bezmyślnie.

— Ja? — ożywił się Prętkiewicz, — stoję na rozdrożu.

— Na jakim znowu rozdrożu? Ty bo włóczysz się zawsze tylko po bezdrożach.

— A właśnie, że widzę dwie drogi przed sobą.

— Zwierz się łaskawie, jakie?

— Jedna droga — to droga zjawy. Mam się nałożyć, jak aparat kinowy i filmować, co widzę. Obserwacją zabić abstrakcję. Emocją zatłuc myśl, jak kryształ młotem.

— A druga?

— Druga — to zataczać dalej wspaniałe kręgi abstrakcji. Każdy nowy zawiera kwintesencję coraz to większej ilości zjawisk. I dlatego jest coraz szerszy. Szybuję. Odrywam się od czuć zmysłowych. Mam

w sobie zgęszczoną nieskończoność bytów. Wreszcie na skrzydłach pojęcia najszerzego wznoszę się ku Temu, który wszystko sobą ogarnia.

— Zatrzymaj się! Słuchaj, skończysz na manji religijnej.

— Słowem mnie nie przestraszysz. Mnie wszystko jedno, jak się to nazywa.

— Zgubisz w sobie artystę.

— Czyż nie rozumiesz, że to także jest sztuka? Podnoszenie się ku Wszechpojęciu na skrzydłach pojęć... Ściśnięcie wszystkiego w jedynem i rozszerzenie swego ja, by się stało wszechobejmującym... W tem jest kryształowa muzyka... Wieczność roztopiona w sobie i szczęście uciszonego raz na zawsze dążenia. Dążenia, które znalazło swój cel... I ta wieczność, łkająca z niewymownego zachwyty, jak akordy Patetycznej Bethovena, jest do osiągnięcia tu, na tej planecie Ziemi...

— Adres bliższy: Planeta Ziemia, st. kolei Wiedeńskiej Pruszków, Zakład Tworki.

— Odpowiedź wszelkich mydlarzy, paseistów i grubo-zmysłowców całego świata.

— Dziękuję za nadanie mi tytułów, wcale zaszczytnych w porównaniu z definicją, jaką otrzymasz od każdego bez wyjątku psychiatry.

— Coś ci skóreczka zhipopotamiała, — mruknął Prętkiewicz i chciał odejść. Ale nagle zobaczył zmienioną twarz Białeckiego.

— Co tobie? — zapytał, siadając na ławce.

— Prawie nic, — odpowiedział Białeczki, spuszcza-
jąc oczy.

— Wyglądasz, jak obraz kubistyczny, z samych graniastosłupów. Taką wydłużoną masz minę. A pani Poluta....

Bialecki mimowoli ścisnął aż do bólu dłoń Prętkiewicza w kostce.

— Co pani Poluta? — tchnął z siebie gwałtownie.

— Oho — ho, — kiwał głową Prętkiewicz, trąc rękę — nie przewidziałem atrakcyj magnetycznych tego przystojnego, choć skądinąd ciapowatego blondyna, oraz opuszczonej, a nadobnej niewiasty...

— Daj spokój głupim gadaniom. Widziałeś ją?

— Powoli, powoli...

— Gadaj, bo cię uduszę.

— Oho, — ho! Abyś nie miał okazji zawołać za mnie: co za artysta ginie! czego z twemi dość męskularnemi łapskami na szyi sam wykszusić nie zdołam...

— Prętkiewicz, litości!

— Jak litości, to słuchaj: Widziałem ją! Wyglądała wiotka i blada, jak cień Eurydyki w Tartarze...

— Cierpiąca?...

— Chyba na duszy. Nie uczyniła o tobie najmniejszej wzmianki. Nawet takiej, jak dziennikarz o książce naprawdę wysokiej. To znaczy — najkrótszej. Utopiła w przemilczeniu.

— Nie mów tego słowa — wzdrygnął się Bialecki.

— Czemu? Wyraz dobry, Norwidowski.

— A ty nie wspominałeś o mnie? — pytał w bolesnem napięciu Bialecki.

— Wspominałem. Przemilczenie. Akapit. Zmiana tematu.

Widząc bezdenną prostrację Bialeckiego, Prętkiewicz zagadnął go ostrożnie:

— Człowieku, co za ostra epidemia cię ogarnęła? Doigrałeś się przy tem dusz lekowaniu!

Bialecki zwrócił na niego zabite spojrzenie.

— Gdybym wiedział przynajmniej, czy mnie kochała? Byłoby źle! Ale tak przekreślić wszystko odrazu! Gdybym wiedział! Niech rzuci na odchodnem tę ostatnią jałmużnę!

— O, źle z tobą! To coś nie zakrawa na platońską biesiadę. Spełniłeś zatruty puhar Trystana i Izoldy. Czemu się nie rozmówisz?

— Nie chce widzieć się ze mną.

Pocieszyła go nagła myśl:

— Prętkiewicz, wyrzuć na pół godziny twoją dyskreję, jak starą skarpetkę. Wiesz...

— Wiem, wiem. Chcesz mnie ładnie ubrać. Nazywa się ten sketch, który mam odegrać: „Sentymentalny szpieg“.

— Władek, zrób to dla mnie!

— „Jako że i ja w gorsze awantury lazałem dla miłości bliźniego mego“ — chcesz powiedzieć. Ano, spróbuję. Wyleje mnie złotowłosa margrabina, to będę wylany. Ano, trudno.

Jakoż powlókł się chmurny i zafrasowany do pani Poluty. Zastał ją spokojną i nieprzeniknioną. Nie mógł nawet zrozumieć, obojętność to, czy maska? — Jeżeli maska, to ma niewiasta charakter — myślał z uznaniem.

— Cóż pan taki zakłopotany? — zapytała pani Poluta.

— Bialecki szaleje.

— O, za kimże? — uśmiechnęła się pani Poluta swobodnie.

— Nie za kim, ale po kim, jako że dostał kosza i to pełnego harbuzów. On lubi pleonazmy, ale ten mu jakoś nie w smak poszedł.

— Tak żartobliwie pan tę rzecz przedstawia, że jestem o pana Bialeckiego zupełnie spokojna.

To mówiąc, wstała. W wazoniku przed nią różowiła się więź gladjolusów. Piętkiewicz pomyślał: — A więc przechowuje jego kwiaty...

Tę więź razem z nim kupował Białecki przed kilku dniami.

Jakby zgadując tę myśl, pani Poluta zawołała:

— Aniu!

Weszła bledziutka dziewczynka w fartuszek z kieszonkami, z gładko zaczesanymi warkoczykami, w których śmiesznie sterczały niebieskie kokardy. Dygnęła przed Prętkiewiczem i powitała go spojrzeniem smutnym i pełnym pytań. Przypominał jej ojca.

— Aniu — powiedziała matka — weź te kwiaty i wyrzuć je zaraz.

Na ustach Ani drżało zdumione zaprzeczenie, że kwiaty są przecież jeszcze zupełnie świeże i takie ładne. Ale przypomniawszy sobie, że grzeczna dziewczynka bez uwag spełnia zlecenia starszych. Zabrała wazon bez słowa.

— Manifestacja dość wyraźna, jako że wiadomy mi ofiarodawca kwiatów — mruknął posępnie Prętkiewicz — mamże powtórzeniem jej do reszty pognać tego Don Kichota, który w ostatnich czasach upadł tak nisko, że zaczął nawet nosić modne krawaty.

Pani Poluta roześmiała się niewesoło.

— Istotnie, to straszliwy upadek człowieka. Pan za to nosi fantazyjne fontazie, jak skrzydła motyle. O kilometr poznać artystę!

— A pani toby wolała nosić motyle na szpilce, zamiast broszki.

— Ach, o jakież okrucieństwo pan mnie posądza! Mężczyźni nie dorośli do przyjaźni. Wszelka platońska biesiada kończy się rozdzierającym jękiem Romea lub Trystana.

— A Heloizy, zatopione w wysokich ideach, nigdy nie dostrzegają w Abelardzie — adoratora! Taki zacny chłop, choć skądinąd altruista i idjota — co pani z nim zrobiła?

Pani Poluta wstała.

— Zapomina pan, że jestem mężatką. Chociaż porzuconą przez męża. Ale mnie to nie obchodzi. Uznaję nierozzerwalność małżeństwa. Wolno memu mężowi je zerwać. Mnie to ani wobec Kościoła, ani wobec mego sumienia nie rozwiązuje.

I dodała z ogniem na policzkach:

— Ani wobec mego dziecka.

Prętkiewicz, który stał, kołysząc gwałtownie w rękach fotelik trzciny, stuknął nim o ziemię:

— O... tu jest sedno tej sprawy. Poświęca go pani dziecku na zabawę, jak tragicznego pajaca.

— Co za przypuszczenie, że pan Białecki mnie o tyle obchodzi, że zachodziła kwestja poświęcenia dziecka — jemu?

Prętkiewicz z fotelikiem w ręku groźnie sunął ku niej.

— Nie obchodzi pani? Nic a nic nie obchodzi? Wolno zabić duszę, wyrwać serce, a samej wylecieć obronną ręką, nie opaliwszy skrzydełek, nie starłszy z nich pyłku!

Pani Poluta usiadła wzburzona.

— Czego pan chce odemnie? Jakiem prawem?...

Prętkiewicz opanował się, zły na siebie.

— Niech pani wybaczy... Oczywiście bezprawie z mojej strony. Niedelikatność biurokratyczna prawie. Ale gdyby go pani widziała... Przecież to duże dziecko kocha się raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni w życiu.

— Więc czego pan Białecki chce odemnie?

— Chce wiedzieć przynajmniej, czy przed tem zerwaniem, powiedzmy, darzyła go pani jakimkolwiek uczuciem? Będzie mu lżej, jeżeli się dowie, że miał w ręku zdźbło realności, a nie bańkę mydlaną, którą sam wydmuchał. Bo że pani ze względów rodzinnych go odsuwa, może to zrozumieć. Niechże go pocieszy myśl...

— Niechże go pocieszy myśl, że i ja również cierpię? Nieprawdaż? I wtedy ten altruista odetchnie uradowany!

— Istotnie, toby znaczyło, że największy altruista staje się egoistą w miłości, — powiedział Prętkiewicz zaskoczony, — ale on taki nieszczęśliwy. Proszę mu dać to ostatnie cacko — zblagować choćby — dać mu to, żeby lżej mu było.

Pani Poluta patrzyła surowo ze zmarszczką między brwiami.

— Pan chce, abym dla pocieszenia człowieka przyznała się do miłości niedozwolonej mężatce.

— O, psia kr... przepraszam! To chyba ksiądz Justyn zrobił z pani taką świętoszkę. Pani może nic mi nie mówić — proszę do niego parę słów napisać. Przecież jest wewnętrznie poharatany. Kto wie, może słowo pani da siły zrość się na nowo temu złamanemu pniakowi?

— Już do pana Białeckiego pisałam, — wymówiła pani Poluta, jakby resztą sił, — i proszę pana, przerwijmy tę rozmowę równie bezcelową, jak niewłaściwą.

Prętkiewicz pożegnał się i wyszedł, mrucząc: *La sciate ogni speranza.*

Z temi słowy wszedł do Białeckiego i jednym tchem wyrzucił ze siebie relację o rozmowie, rozumując: — Jak ciąć głowę, to odrazu.

Białeckie zapatrzył się przed siebie, siedział długo.

Wreszcie zaczął się kołysać monotennie, wsparłszy łokcie na kolanach, a na dłoniach głowę.

— Chodź na inne gościńce życia — zawołał Prętkiewicz raźnie, — trzaśnij się, uderz się sam w kark i rusz na niezbadane jeszcze obszary zjawisk.

Ale Białeckie odpowiedział bezdźwięcznie:

— Odeszła mi chęć do wszystkiego. Zgasły zmysły. Są, jak czarne żużle. Złamała się wola — dźwignia. Niema chęci czynu. Zdrętwiało wszystko. Obojętny mi świat. Nie mam do niczego smaku, niczego nie pragnę i nie łaknę. Jestem zawarty w sobie, jak koło geometryczne. Jestem oderwany od wszystkiego żyjącego.

— Awantura arabska! Niczego nie chcesz?

Białeckie podniósł nagle głowę.

— Chcę... z frenezją, z rozkoszą myślę o śmierci. Niech przyjdzie... co za szczęście jedynie jeszcze możliwe... Co za szalona rozkosz — głową o bruk, o bruk...

Z rozwartemi ramionami podchodził do okna. Prętkiewicz zamknął je szybko.

— Wiesz, — próbował deski ratunku, — dziś był dodatek nadzwyczajny. W rządzie przesilenie. Sensację zrobił twój artykuł opozycyjny. Gąbaniewski zzieleniał, zobaczywszy, że drukujesz w „Gońcu“.

Białeckie beznadziejnie kołysał głową.

— Prawdy niema w partjach... Prawdy niema w sejmie... Prawdy niema w „Gońcu“. Prawdy niema w Gąbaniewskim. Prawdy niema we mnie, jeżeli przeczysta miłość moja nie zniewoliła serca Poluty! — krzyknął i zamarł znowu w odrętwieniu.

— Będą może nowe wybory. Będziesz kandydował z grupy „Gońca“.

— Nie będę kandydował. Nie potrafię przyciągnąć wyborców. Nie potrafię ująć sobie nikogo. Nic nie

zdziałam. Wierzyłem w siebie. Miałem świadomość uroku, który wywieram na ludzi. Teraz odpadła odemnie wszelka moja siła. Chciałem, żeby wyznaniem, że byłem jej miły, ocaliła we mnie to najtajniejsze poczucie swego uroku, które w życiu rozstrzyga o powodzeniu. Nie chciała. Zabiła we mnie moją siłę.

— Ależ pomyśl, jest przecież mężatką... Odepchnęła ciebie w imię tego, co dla niej jest prawdą.

— Dla niej prawdą jest dziecko, a nie jestem ja... Niech mi kto powie, niech mi kto powie... Czy byłem dla niej czemkolwiek? Co było poza jej słowami? Poza jej wejrzeniem?

— Mówisz zawsze: tyle wiem o człowieku, ile z niego wyczuję. Czy sam nie potrafiłeś wyczuć.

— Tutaj mi mało wyczucia. Muszę mieć pewność. Z jej ust. Najprawdopodobniejsze potwierdzenie. Siłą pragnienia, mocą ułudy, która tkwi w miłości, mogłem moje zwidzenia w nią wczarować.

Usiadł znowu, wsparłszy głowę na rękach i pogrążył się w melancholji. Czarna fala zamknęła się nad jego głową.

XXI

Ania siedziała w swoim pokoju. Zapadał zmierzch jesienny. Czarne chmury stały za oknami. Wicher kołysał gwałtownie wierzchołkami nagich drzew. Wśród chmur jaśniał czerwono-zółty pas zachodu. Było zimno. W sąsiednim pokoju szklarz wprawiał zbitą szybę. Słychać było brzęk szkła — i stukanie o ramę. Ania radaby pójść przypatrzeć się temu, a przy sposobności wziąć kawałek kitu, by robić z niego różności, bo plastelinę swą całą już zużyła. Ale nie wolno jej było tam wchodzić, bo mogła się w pokoju z oknem otwartem przeziębć.

Ciotka, która się na miejsce panny Antoniny niedawno wprowadziła, gderała na służącą. Przez otwarte drzwi kuchni wchodził zapach gotującej się wierzchy i prasowanej bielizny. Ania pobiegła do kuchni, żeby uprasować suknię dla lalki. Kuchnię zasnuwał już zmierzch. Miedziane rondle na półce ozdobionej papierową koronką mówiły mową bajek Andersena. Panujący dokoła nieład przykro ją uderzył.

Życie o tej szarej godzinie wydało się jeszcze bardziej szarem. Wszedł przekupień zostawiając drzwi otwarte na schody. Buchnęło stamtąd wilgocią i chłodem. Długo i natrętnie gadał z ciotką, wymieniając szklanki na stare gałgany. Ania prosiła, żeby ciotka wzięła kubeczek z kwiatkami, ale ciotka nie chciała. Odpowiedziała opryskliwie, że jest niegustowny i niech

się dzieci nie wtrącają. Ania skurczyła się w sobie, jak za każdym pchnięciem świata zewnętrznego, które tak boleśnie uraza nerwy dziecka. Coś zaczęło ją ssąć w sercu. Przykro, dokuczliwie.

Podeszła do okna. Gromada kruków leciała na nocleg. Ciężko machały skrzydłami. Czarne, złowrogie... Znaczą się czarnymi hieroglifami na czerwono-żółtym pasie zachodu. Szklarz stuka, ciotka zaczęła szyc na maszynie.

Poszła do niej i usiadła w kącie, na stołeczku obitym obszarpanym atłasem wiśniowym. Z pod nóżki maszyny, szybko podskakującej, wysuwał się szary pas materiału. To z pod igły maszyny wysuwa się szara mgła na dworze. Szare codzienne zdarzenia. Beznadziejna beżbarwność powszedniego dnia. Nuda życia bez zdarzeń. Znużenie troską nieustającą, brakiem każdodziennym, niedosytem skromnego życia, w którym oblicza się każdy grosz...

— Zamiast próżnować, zajmij się czem, — rzuciła ciotka w przerwie, podkładając robotę pod maszynę.

Ania powlokła się znów do swego kąta. Ciotka nie zna święta. Cała weszła w drobiazgi roboty domowej. Pieczenie pierożków lub faworków jest obrzędem niezmiernie doniosłym. Wielkie sprzątanie przesłania sobą wszystkie zdarzenia polityki europejskiej, kwestja udania się bab wielkanocnych usuwa w cień wszelkie zagadnienia etyki i socjologii.

Ciotka myśli krótkimi myślami. Wiąże je z najbliższymi sprawami praktycznymi. Czasem czyta — czasem emocjonuje ją wielka zbrodnia lub proces. Ale nie wypowiada uogólnień. Ciotka nie chodzi na od-czyty, na koncerty. Lubiła to wszystko w młodości. Teraz wessało ją rzadkie, rozchlupotane bajoro życia.

Robi wysiłki niepomierne dla wykonania robót domowych. W kaftaniku i spódnicy, w człapiących pantoflach kręci się w kieracie niekończących się prac. Nie oderwie się już. Nie wprowadzi w życie święta. Nie będzie patrzyła na krzątanie Marty z uśmiechem wyżynnym Mariji. Z rozpędem samoofiarnictwa będzie się zatracala coraz bardziej w dogadzaniu domownikom, „robiąc kwestję życia i śmierci z przypalonej pieczeni“, jak o niej ironicznie wyraził się kiedyś Wasilewicz. Wszystkim dogodnie jest z krzątaniem ciotki. Wszystkim cięży jej bezświęteczna, nie znająca przerw szarzyzna. Symbolizuje sobą troskę życia, o której nigdy zapomnieć się nie da. Jest zrosnięta z wytartymi meblami w swoim pokoju, na które nie rzuciła poloru rzeczy zbędnej — estetyki. Jest zrosnięta z czarną półeczką zastawioną flaszками i słoikami od lekarstw, zawsze okrytą grubą warstwą kurzu.

Ania cofa się w swój własny świat, świecący jaskrawymi barwami, pełen poezji i uroku. Ubiera nową lalkę w suknię ze spleśniałego aksamitu barwy szafirowej. Nietylko sam kolor, ale nawet nazwa jego ma dla niej czar piękna. Suknia jest powłóczysta, jak w strojach ze starych książek i naszywana paciorkami, sprutymi ze starej torebki. Sadza ją na pudełku, zasłanem strzępkiem roboty włóczkowej. Królownę otacza sześciu paziów. Są nimi zwiędłe, różowe gladjolusy, które matka kazała jej wyrzucić, a potem pozwoliła bawić się nimi.

Cudne mieczyki różowe... Kwiaty atłasowe i wysmukłe... Dziwne sny o pięknie kładzie Ania w słowa „paź złotowłosy“. Potrzebę bytowania odświeżonego, otoczonego wytwornością i estetyką, zaspakaja przeżywaniem wymarzonych scen innego życia. Jak pięknymi

są ludzie w starym trzytomowym wydaniu Szekspira, oprawne w brązowe półskórki ze złoceniami, z portretem autora na wierzchu. Królowie z małymi hiszpankami, w długich pończochach i krótkich bufach spodni, z kryzami na krótkich płaszczykach i piórami na beretach! Księżniczki z wciętym stanem, szerokimi spódnicami i welonami na głowach! Inny świat! Przenosi do niego mamusię, tatusia i siebie. Sama jest napowietrznym Arjelem, dobrym duchem, spełniającym rozkazy mądrego i potężnego Prospera, władcy wyspy. Prospero — to tatuś. A ona czasem jest Mirandą. A jakże pięknym jest Fernando!

Odkrecono elektryczność i pierzchły rojenia szarej godziny. Ania wyjęła zeszyty i zaczęła grzecznie odraabiać lekcje. Brunatna zasłona zapadła na świat wymarzony.

XXII

Z odrętwienia i napadów melancholji wyrwał Białeckiego cios, który w nim obudził wszystkie instynkta samozachowawcze.

Wielka instytucja, w której pracował, zbankrutowała.

Wyszedł dziś stamtąd poraz ostatni. W ogromnej sali z dwoma szeregami kolumn stały puste stoły. Poniewierały się między nimi podarte papiery. Zatrzaśnięta kratka kasy. Krzywo spuszczone do połowy płócienna roleta. Rozziewana ruina wiała chłodem. A tak walczono, by polska instytucja mogła się ostać wśród sprzysiężenia wrogich żywiołów międzynarodowych!

Białecki, przybity zerwaniem z panią Polutą, nie uratował wśród katastrofy nawet tych resztek mienia, które przy pewnej energii i obrotności dałoby się ocalić. Do cierpień serdecznych przyplątał się nowy kryzys przekonaniowy.

Żarliwy poszukiwacz prawdy nie znalazł jej w „Gońcu“ i reprezentowanej przez niego grupie. Był i tu potworny egoizm partyjny i demagogja, grożąca ruiną krajowi. W dodatku ludzie byli gorsi i niżsi kulturalnie.

Ale byli towarzysze partyjni z pod znaku Gąbniowskiego nie przepuścili mu. W „Kurjerze“ ukazał się artykuł, w którym mu przypisano upadek pożytecznej instytucji, insynuując, że on sam źle na bankructwie nie wyszedł. Potrafił ocalić swoją część.

Białecki czytał to, gorejąc i blednąc. Zmiał gazetę,

drżącymi rękami naciągnął płaszcz i wypadł na ulicę. Tam spostrzegł się, że zapomniał laski, pożałował, ale nie zdołał pohamować rozpędu i wrócić.

Wleciał jak huragan do redakcji. Woźny, znając go dobrze, nie zagroził drzwi do pokoju redakcyjnego. Przy stołach siedzieli współpracownicy, strzygąc gazety długimi nożyczkami lub wypełniając wąskie paski nerwowymi kulfonami.

Z sekretarzem konferował w tej chwili Gąbaniewski. Dawał mu komunikat klubu. Białecki od razu wsiadł na niego.

— Poznałem ciebie po stylu ukąśliwym, jak cała wściekła psiarnia. Odpowiesz mi za to. Zrobiłeś ze mnie szubrawca.

Gąbaniewski zwrócił ku niemu twarz, czerwoną od egzemy i alkoholu.

— Powoli, powoli...

— Gadaj, łotrze, czy wierzysz w to, co napisałeś?

— Nie wierzę ani słoweczka. Jesteś najbezinteresowniejszy idjota pod słońcem i patryjota bez skazy.

— Więc czegoś szczeakał?

— Szczekałem, jak się po wersalsku wyrażasz, bo nie jesteś z nami.

— Czy się przez to zmieniłem?!

— Więc cóż stąd? Możesz sobie nawet na niejedną dyskretną podłość pozwolić. Wybronimy ciebie, wybierzemy, jak piec w chałupie na Wielkanoc po całorocznych sadszach. Ale trzeba być z nami.

— Nie będę z nikim, z nikim, — krzyknął Białecki w takiej desperacji, że zapomniał o swym zamiarze. Chciał znieważyć czynnie Gąbaniewskiego. Nieprawość, której dotknął, załała go z głową. Dusił się. Wszystko szarpało się w nim na strzępy.

Usiadł na wolnem krześle. Gąbaniewski skończył konferencję z sekretarzem i zwrócił się znowu do niego.

— Ty się namyśl, póki czas, — powiedział z groźbą, zostałeś na bruku. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi... Nie uratowałeś ani złotóweczki. Chleba ci potrzeba. Ty się namyśl. Znam cię na wylot. W partii „Gońca“ nie wytrzymasz. To łobuzy.

— A wy co lepszego? — bluzgnął Białecki, zerwał się i opuścił redakcję, trzaskając drzwiami.

Nazajutrz już spokojniej czytał w „Kurjerze“:

— Pan Białecki, który pozbawił kraj jednej z najpożyteczniejszych instytucyj znany jest klubom, gdzie grywa się w hazard. Zresztą, wstęp dla niego jest tam uniemożliwiony... cokolwiek wbrew jego woli. Ten nowy Sinobrody znany jest z procesu skandalicznego przy zawarciu pierwszego małżeństwa.

I tak dalej. Białecki nigdy nie był żonaty.

Nazajutrz skreślono jego uszczypliwą charakterystykę. Uczyniono to z maestrią, raniąc w miejsca najdrażliwsze, które sam przez swą ekspansywność i ufność do świata odsłonił.

Białecki poczuł wstręt do samego siebie. W pewnych momentach czuł się ośliniony, powleczony plu-gawym, cuchnącym śluzem. Przy każdym skojarzeniu pojęć wpływały na brzeg świadomości gryzące, obrzydliwe określenia. Przylegały do niego. Przejmowały go odrazą. Rozdawały jego osobowość. Nie pozwalały na pogodne bytowanie z samym sobą.

Ponieważ w tymże czasie ostatecznie i bezpowrotnie zerwał również z „Gońcem“ rzucono się i tam na niego. Był wyszczuty zewsząd. Gorączkował z osamotnienia i rozdrażnienia, oczekując wciąż nowych ciosów. We śnie nawet prześladowały go krokodyle oczy Gąba-

niewskiego i pod czupryną ostrzyżoną na jeża twarz czerwona od egzemy i alkoholu.

Dawniej byłby śmiało i odpornie spotkał ciosy życia. Kryzys uczuciowy z powodu zawiedzionej miłości i ukłucia coraz natarczywiej napastującej go nędzy osłabiły jego wytrzymałość. Powstała w nim nieznana przedtem drażliwość. Znał bardzo wielu ludzi. Nie mógł wymóc na sobie decyzji, do kogo się zwrócić.

Wreszcie przypomniał sobie kolegę szkolnego, Melchjorowicza, z którym był dobrze. Spotykał go czasem w towarzystwach. Nie wiedział jednak nic bliższego nad to, że był wysokim urzędnikiem w ministerstwie.

Poszedł tam na koniec. Melchjorowicz nie był w żadnej ze znanych partyj i nie wiadano, czemu należy przypisać szybką jego karierę. Bo że nie wartości, ani też zasługom osobistym — było oczywiste.

Wielki i długi gmach ministerstwa przejął go strachem. Za wspaniały się wydał dla wydziedziczonego. Z nieprzyjemnem zażenowaniem wszedł po schodach, wysłanych czerwonym kokosowym chodnikiem. Woźny w szarym uniformie odgadł nieomylnem czuciem pe-tenta. Podał mu kartkę do wypełnienia bez wielkiego ugrzecznienia. Nie pomógł do zdjęcia płaszcza.

Białecki siedział już od godziny w poczekalni na wyplatanej kanapce. Ponieważ zmniejszył przez oszczędność ilość posiłków dziennych, czuł nieprzyjemną czczość. Dręczyły go halucynacje smakowe. Wyobrażenia podsuwała drażniące obrazy posilnych mięs i smacznego ciasta.

Przez poczekalnię przechodzili młodzi urzędnicy z przedziałkami na głowach, w świeżo zaprasowanych spodniach. Wywoływano interesantów, którzy znikali w różnych drzwiach. Przepływały urzędniczki w cieli-

stych pończochach, z włosami *a la garçonne*, w krótkich spódnickach i wzorzystych swetrach. Niosły z minami ministerjalnemi akta i błyskały martwym karminem szminkowanych warg.

Wreszcie zawołano Białeckiego do Melchjorowicza. Podniósł się na jego spotkanie z przyjemnym uśmiechem. Miał ciężki tułów, zakończony dużą głową, jak u kijanki. Musiał cierpieć na rachityzm w dzieciństwie i pozostała mu ta głowa zbyt duża. Twarz bez zarostu, powiększała wrażenie olbrzymiego dziecka. Wrażenie nieprzyjemne.

— Jak się masz, stary kolego — zawołał kordjalnie i posadziwszy go przy biurku, poczęstował papierosem.

— Słyszałeś pewnie o mojej klapie — zaczął Białecki, zaciągawszy się z przyjemnością.

— Wiem, pociesz się. Była gorączka grynderstwa. Nie pierwsze to i nie ostatnie bankructwo. Ale cóż to z moim resortem.

— Ach, to nie ma związku z twoim resortem — pośpieszył uspokoić go Białecki, widząc, że szef nie da mu czasu na wstęp i przymusza go do prędszego wy-luszczenia sprawy, — muszę obejrzeć się za czem innem. Pomyślałem o tobie. Możeby tak coś w ministerstwie...

Melchjorowicz siedział, spuściwszy oczy. Przed nim leżał bloczek z kartą niezapisaną na wierzchu. Bawił się ołówkiem oprawionym w srebro. Słuchając Białeckiego, nakreślił na bloczku jakąś figurę. Nieznacznie posunął ją w stronę gościa.

Białecki spojrzął, nie pojął znaczenia symbolicznego rysunku i mówił dalej. Melchjorowicz z niezadowoleniem zarysował kartkę grubemi kreskami i spytał go, czy zna pewnego finansistę — Żyda. Gdy Białecki zaprzeczył, zapytał o jeszcze jednego Żyda — uczonego.

— Cóż to ma do tych ludzi, — dziwił się Białecki.

— O, tak tylko się pytam. Oniby mogli dużo zrobić dla ciebie. Wiesz przecie: tu w Warszawie wszystko mogą partje, kliki, mafje...

— Uprzedzam cię zgóry, że nie należę do żadnej, chyba to najpożądańsze dla urzędnika państwowego.

— O tak, oczywiście, — zgodził się grzecznie Melchjorowicz, — mam tu jedno stanowisko do objęcia, ale muszę się rozpatrzyć i zapytać ministra. Złóż podanie. Dowiedz się za tydzień. Wiesz, że ciebie lubię. Zawsze miałem ściągaczki od ciebie. No, i ta nasza wycieczka na lodowiec nad Gotardem i nocleg w Göschenen — pamiętasz? I konkury do panny Kazi, która odpaliła obu nas, sankiulockich akademików i wyszła zamąż za adwokata z odpowiednią klientelą i umeblowaniem. Dobre były czasy. Ale wierz mi: życie trzyma nas w żelaznych trybach. Każdy z nas jest tak skrępowany przez stosunki i moment polityczny...

Białecki wyszedł z ciężkiem uczuciem. Życzliwość Melchjorowicza była oczywista. Ale miał ręce skrępowane. Trafił znowu na tę milczącą znowę mafji i partji przeciwko człowiekowi, który ośmiela się chodzić luzem.

Po tygodniu znowu wypełnił kartkę u woźnego, znowu wysiedział w poczekalni godzinę i trafił w końcu przed oblicze Melchjorowicza. Ten przywitał go zażenowany.

— Widzisz, powiem ci szczerze: nie mogę ciebie przyjąć ze względu na ludzi, z którymi jestem związany. Nie masz najmniejszej giętkości i zdolności przystosowywania się. Tak mówią o tobie. Ze względu na politykę różnie trzeba się wykręcać. Każdy z resortów czuje na

sobie łapę sejmu, ściślej mówiąc, panującego w danym momencie w sejmie stronnictwa. Jeżeli my tu w ministerstwie nie będziemy zgrani...

— Ale o kimże mówisz? — przerwał Białecki niecierpliwie: — kto to — wy?

— Grupa ludzi pragnących dobra kraju.

— A jakże się ta grupa nazywa?

— Wcale się nie nazywa, — odparł Melchjorowicz, nie patrząc na niego, — powiedziałem ci to poufnie. Sądzę, że nie zrobisz z tego użytku. Bardzo mi przykro, że nie mogę wyciągnąć ciebie z tarapatów. Może służyć ci pożyczką.

Białecki namyslał się.

— Dziękuję, ale nie wiem, kiedy ci oddam.

— Och, oddaj, kiedy będziesz mógł. Mnie na nie wielkiej sumie nie zależy. Mam akcje, które znowu poszły w górę.

Białecki wziął, podziękował i wyszedł. Zrobiło mu się trochę lżej. Teraz przez parę tygodni będzie mógł szukać swobodnie jakiegoś zajęcia.

Wszedł do gwarnej, olbrzymiej cukierni. Siedzieli tam przy stolikach silnie gestykulujący finansisci o rydach wybitnych, wojskowi, przemysłowcy. Jaskrawił się niebieski mundur i czerwona czapka oficera francuskiego w otoczeniu paru dyplomatów. W kącie cicho a ironicznie siedzieli średnio-młodzi z miesięcznika klasyczno-komunistycznego, wystawiając na widok publiczny swe brzydkie twarze o sprośnym wyrazie i swoje złe maniery. Siedzieli, zbierając wzorki do sketchów kabaretu „Żółty Kwik“.

Przysiadł się do niego kolega z frontu, zdemobilizowany porucznik, obecnie ruchliwy aferzysta.

— Cóż tam u ciebie? — pytał.

— Szukam zajęcia, — oświadczył Białecki z niejaką nadzieją.

— Doskonale. A ja szukam ludzi. Tworzymy tu spółkę eksportową produktów mleczarskich do Anglii i Szwecji.

— Przez pewien czas studjowałem stosunki w tej branży, bo tworzyłem kooperatywę u nas w majątku.

— Toś ty obszarnik! I cóż, w obawie wywłaszczenia rozparcelowałeś obiekt?

— Nie, to byłoby wbrew prawu. Wywłaszczyli mnie właśnie. Został mały kawałeczek, na którym siadł brat, wierząc, że się utrzyma przy nadzwyczajnie intensywnej gospodarce.

— I cóż?

— I nic. Nie utrzymał się. Rozparcelował resztę między chłopków i wywędrował do Brazylii siadł.

— A jakże się gospodarka na gruzach wielkiego obszaru przedstawia?

— Cofnęła się o lat trzysta wstecz. Zapobiegłoby temu kółko rolnicze, ale instruktorzy tegoż kółka zajmują się polityką na korzyść stronnictwa „Ujarzmienie“, nie zaś superfosfatami, łubinem i drenami.

— Zdaje się, że zapatrujesz się krytycznie na działalność członków stronnictwa „Ujarzmienie“?

— Bardzo krytycznie. Jako że własnymi oczami...

— Wielka szkoda, — nadał się exporucznik żadnym krzyżem nie dekorowany, — bo organizują to właśnie członkowie „Ujarzmienia“. Chcielibyśmy mieć w interesie swoich ludzi.

— Cóż to ma do eksportu...

— Końby się uśmieł z takiego pytania. Nie rozumiesz współczesnych form życia społecznego. Jeżeli

damy posady szeregowi ludzi zdatnych, to po to, żeby ich związać ze stronnictwem.

Białecki powiedział, patrząc mu prosto w oczy:

— Żeby ich kupić. Szkoda. Nie jestem na sprzedaż.

Rozstali się chłodno.

Zaczął się męczeńskie zbijanie bruków w poszukiwaniu zajęcia. Dokoła padał deszcz redukcji. Szalał kryzys finansowy. Zamykano banki i zakłady przemysłowe. W jeszcze funkcjonujących, na drzwiach wydziału personalnego wisiały karty: Wolnych posad niema.

Z początku za każdą odmową Białecki czuł się, jak topielec, odepchnięty wiosłem od zbawczego brzegu. Wrażliwość jego cierpiała od szorstkich potrażeń ludzi źle usposobionych, obojętnych, wrogich. W końcu nastąpiło szczęśliwe odrętwienie. Uczuciowość jego zahartowała się, jak dłoń zgrubiała od košby. Ale nie opuszczało go uczucie bezprzytułku i zbędności.

Szarpała go ciężka choroba, płynąca ołowiem w żyłach.

Bezrobocie.

Wisiała nad nim rozpacz. W nocy szeptało mu potworne słowa szaleństwo. Świat był pozbawiony radości, jak potrawa soli. Kręcił się wśród organizmów dopasowanych, puszczonego w ruch, nie mając w żadnym miejscu dla siebie. Być kółeczkiem... Być najniklejszą siłą pomocniczą... Ale nie stać tak na uboczu... Nie być wyrzuconym poza nawias życia...

Wstawał rano i siedł przed redakcją dziennika, by schwycić w rannym numerze ogłoszenia. Po drodze widział inteligentów, śpieszących się do pracy z tekami i elegancko zawiniętymi w papier śniadaniemi. Widział robotników w bluzach z narzędziami w ręku, służące

z koszykami, w chustkach idące do miasta, stróżów z posępnymi i zuchwałymi twarzami, zamiatających ulice. Zazdrościł tym ludziom, którzy szli na określone miejsce, gdzie czekała na nich określona praca.

Gospodyni, u której odnajmował pokój, nie upominała się na razie o komorne. Lubiła Białeckiego, jak wszyscy ludzie, którzy się z nim bliżej zetknęli. Ale on zadreślał się swą sytuacją. Zamknął się w sobie. Przechodził każdodziennie tortury, dzwoniąc do drzwi mieszkania.

Był już od dłuższego czasu niedokarmiony. Teraz wyszły mu już wszystkie pieniądze, pożyczone od Melchiorowicza.

Chodził jeszcze po mieście, głodny już od paru dni. Wszędzie wyczuwał tajne, nieuchwytne sprężyny. Wszędzie słyszał wyrok mafji, partji i koterji, do których nie należał.

Był poza wszystkimi w ludnem, hałaśliwym mieście. Majaczyło się mu, że wszędzie stają przed nim zamknięte drzwi, zamknięte drzwi. Można pięście okrwawić, walić w nie w rozpacz. Nie otworzą się. Nie wpuszczą. Nieubłagane. Kamienne. Jak tablice, na których napisano słowo zagłady.

Wreszcie gospodyni powiedziała mu ze łzami, że ma dzieci, a emerytura wdowy po oficerze nie wystarcza. Musi mieć opłacony pokój. Białecki zostawił resztę rzeczy za niedopłacone komorne. Wyszedł, jak stał, na ulicę.

Obejrzał się na okno swego pokoju. Wołało go ciepłem i przytulnością. Mieć swój kąt na nieobeszłym obszarze tego świata... Mieć wezglowie, by na niem złożyć głowę strudzoną...

Coś się w nim rozdzierało i łkało. Dziki żal... Już

nietylko bezrobotny... Pograżony o stopień niżej. Bezdomny... Wyścigany ze wszystkich legowisk na tej ziemi. Wyszczuty ze wszystkich miejsc, gdzie kładą jarzmo i dają zapłatę...

Jakże błagał całą siłą duszy o to jarzmo! Jakże odwoływał chwile, gdy złorzeczył zbyt uciążliwemu trudowi pracy zawodowej i jej cierniom, wzdychając do uciech pracy umysłowej dla siebie, do sztuki i obcowania z przyrodą!

Niech nic nie będzie, prócz nieustającego pasma szarych dni. Niech nie zjaskrawi ich nigdy kolor rozrywki i szczęścia. Dajcie to szare pasmo do snucia! Nałóżcie jarzmo na kark, którem z takim protestem zawsze potrzasał! Najniższe z miejsc na tej ziemi... Za jadło i kąt do spania...

Nauczył się dopiero teraz cenić i wykorzystywać najmniejsze cząstki substancji odżywczej. Opuszczając mieszkanie, znalazł w szufladzie suchą skórkę. Oskrobał z niej pleśń i zgryzł ją małemi drobinami, przeżuając dokładnie.

Teraz szedł, dręczony głodem, który ssał dokuczliwość. Na środku zabłoconej ulicy leżały trzy kartofle. Spadły zapewne z wozu, przejeżdżającego na targ.

Białecki wszedł w bramę i pilnował chwili aż przechodnie go wyminą. Wyszedł wtedy prędko na środek ulicy, podniósł kartofle i ukrył w kieszeni. Poszedł szybko na podwórze innej ulicy. Wypłókał kartofle pod wodociągiem. Wyszedł znowu na chodnik, spłoszony przez grubijańskiego stróża, wroga bezdomnych. Gryzł kartofle pomału. Obojętny był smak. Organizm brał w siebie wszystko. Głód wzmógł jego siłę chłonną.

Białecki szedł i przyglądał się domom. Okna śmiały się, jak tysiące szyderczych oczu. Kamienice chwiały

się i pochylały. Płaszczyzny zachodziły jedna na drugą. Dwa muskularne atlanty podtrzymywały balkon. Patrzyły z góry na niego, pokonanego przez życie.

Dopiero teraz spostrzegł nieskończoną ilość produktów w mieście. Prawie co kilka domów był sklepik. Co parę ulic była cukiernia i restauracja. Wielkie sklepy miały wystawy zawałone smakołykami. Ludzie syci przechodzili koło nich obojętnie. Dopiero w oczach głodnego tęczywały tysiącem ponęt. Budziły dzikie porwy. Stłuc szybę sklepową. Porwać te ćwierci różowego łososia. Uciec. Ukryć się gdziebądź. Jeść, jeść, jeść...

Szczęki jego stawały się zuchwami jaskiniowca. Werniks cywilizacji schodził z niego, jak politura na ulewie. Nad zapadłymi policzkami świeciły wilczo głodne oczy. Czuł w swych oczodołach ten głodny blask. Zdało mu się, że powinien zapalić miasto i drzewa bezlistne i szkielece. Powinien był buchnąć płomień taki, który go trawił w jego wyczerpaniu. Ale nie stawało się nic. Nikt go nie zauważał.

O zmierzchu spróbował zebrać. Ktoś rzucił mu pieniążek zbyt mały, by cokolwiek zań kupić. Gdy zbliżył się do drugiego przechodnia, poznał w świetle latarni znajomego.

— Białecki! To pan? Znikł pan z horyzontu. Już gadają, że uciekłeś pan do Ameryki z pieniędzmi, ocalonemi z krachu.

— Niechże kto przejrzy rachunki i zobaczy, co ja z krachu ocalałem — powiedział Białecki z męką.

— To proszę się pokazać wśród ludzi i bronić swojej opinii.

Białecki oparł się ciężko o mur. Czarne płatki latały mu przed oczami.

— Niechże Pan tego do serca nie bierze — pocieszał znajomy — grunt się nie przejmować.

Ale spostrzegłszy osłabienie Białeckiego zawołał do różkę i zawiózł go do siebie.

Białecki nakoniec znowu wyciągnął się na ludziem posłaniu. Jakże wypoczywała każda kość ciała, sponiewieranego po ławkach parku i dworców kolejowych! Teraz dopiero rozumiał, czym jest sen na miękkich sprężynach.

Ale przy świetle dziennem dobroczyńcę jego przykro uderzył widok niepranej bielizny i zaduch ciała niekapanego. Pod pretekstem przyjazdu rodziny wyprawił go, dawszy mu zmianę czystej bielizny i kawałek mydła na drogę.

Białecki szedł po eleganckiej ulicy. Zatrzymał się ze swym tłumoczką przed lustrem przy sklepie kapeluszy. Obejrzał swą postać wychudzoną. Stwierdził, że ubranie jego doprowadzone było do tej degradacji, kiedy przestaną go poznawać znajomi.

— Jestem poza nawiasem życia — powtarzał sobie. Skurcz gorzkiego płaczu ścisnął jego gardło.

Nie mając gdzie się podziać, wszedł do kościoła. Kończyło się nabożeństwo żałobne. Drzewa laurowe w donicach stały dookoła czarnego katafalku. Pasy srebrnej lamy na całunie... Zawodzą organy... Wzbierają potężne, zaświatowe dźwięki. Wsłuchał się. Ukołysały głodnego. Płynęły akordy nad doliną łez, jak stada białych łabędzi. Przeciagle łkały. Zamierały w słodkim oczekiwaniu. Zrywały się znowu z jękiem.

— To *Requiem* nad mem zabitem życiem — myślał Białecki z żalem — nie odrodzi się... Nie zmarłych wstanie... Już teraz jedno... Śmierć...

Trwał w odrętwieniu, chociaż już skończyła się

msza i zakrystjan przeszedł po pustym kościele, brzękając kluczami. Młody ksiądz szedł od bocznego ołtarza. Zatrzymał się i popatrzył na Białeckiego. Zakrystjan trącił bezdomnego w ramię.

— I w domu Bożym niema przytułku — rozgoryczał się, wychodząc.

Na schodach kościoła spotkał w płaszczu i kapeluszu młodego księdza. Nie patrzył na niego.

Nie czekał ratunku znikąd. Ale ksiądz zrobił ruch, jakby go chciał zatrzymać.

Płynął tłum ludzi. W potwornej halucynacji wychylnęło z czarnego potoku tysiące, tysiące odpychających dłoni...

Przed wieczorem wszedł do parku. Zaszły się w gąszcz krzewów na górze, kiedy dzwonkiem dawano znak zamknięcia. Nie miał już nerwów, aby jeszcze raz iść na dworzec, skąd go usunięto z szorstką uwagą, że tu nie przytułek dla bezrobotnych. Słyszał, jak obrócił się klucz w żelaznej kratce ogrodzenia. Został w parku sam.

Usiadł na ławce. Zdaleka dolatywał turkot dorożek i rzadkie pogwizdy syren samochodowych. Ale tu cicho szeleściły drzewa bezlistne. Chłód przypadł do jego ciała tysiącem zegadeł. Martwiał w męce. Nad nim świeciły dalekie gwiazdy. Był sam na nieobeszłym obszarze ziemi.

Przychylny szelest suchych różeg... O czym? O miłości, która była. Przypływa wspomnienie przedziwnego aromatu chwil. W wyniszczonym ciele zginął płomień i żar. Została tylko cicha poświata miłości. Miłości, która jest braterstwem, miłosierdziem i zrozumieniem. Ręką kochającą na czole chorego. Chlebem dla głodnych. Schronem dla utrudzonych...

Przywoływał ze łkaniem jasny uśmiech troskliwości i dobroci na ustach pani Poluty. Odrzuciła go. Nie podała dłoni pomocnej. Nie zobaczy go. Czy pójdzie na pogrzeb? Raz jeszcze poczuć na sobie jej wzrok, obejmujący go kołem świetlistem, do którego nie ma dostępu złe...

Z głębi alei wynurzył się czarny cień. Stąpa po cichu, złodziejskimi krokami. Może stróż? Białeckie siedział bez ruchu, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Człowiek zbliżał się, pogwizdując cicho. Zrównawszy się z Białeckim, stanął, wsunąwszy ręce w kieszenie. Zapytał chrapliwie:

— Frajer co za jeden?

— A pan kto?

— Amator świeżego powietrza, — zaśmiał się tamten, usiadł na ławce i zapalił papierosa.

W czerni nocy przychylnie rozpalał się i przygasał czerwony ogieniek. Po chwili nieznajomy zagadnął:

— Bezrobotny znaczy się.

— A bezrobotny, — odparł obojętnie Białeckie. Nie krępował go ten nocny towarzysz-rzezimieszek czy bandyta. Nie czuł wobec niego wstydu.

— A poprawić losu frajer jeszcze nie próbował? Dobry środek na śmiałość — głód. Od strachu silniejszy.

— To nie dla mnie.

— Uczciwy a pokrzywdzony przez społeczeństwo, — zdefiniował nieznajomy i zagwizdał pogardliwie.

— Jak na doliniarza czy pajęczarza wyraża się pan wcale tego...

Nieznajomy zaśmiał się przeciągle.

— Co nie mam się wyrażać! Pepeesem byłem. Broszurki czytałem.

— I czemuż zacny towarzysz nie został w tym interesie?

Były pepeesowiec splunął pogardliwie.

— Takie tam zawracanie głowy... Mącenie we łbach ludu roboczego.

— Jednakże może pan opowie. Co mamy lepszego do roboty w taki ziąb?

— Ziąb bo ziąb,—zgodził się przyjaźnie włóczęga,—można pogadać. Widzę, że pan inteligent. Dulca osoba chce? Na rozgrzewkę.

Podał papierosa Białeckiemu, który wziął go potrąciwszy po ciemku o szorstką i zimną rękę.

— Dziękuję. Więc słucham.

— Otóż było tak. Pracowano małemi kółkami, bo wyspy były straszne. Obrabiał nas jeden student z politechniki. Przychodzili my do niego co święto. Nas dwoje. Gała i ja.

Pomilczał trochę.

— Gała do bolszewików przystała, — powiedział nagle z nienawiścią.

— A pan — do amatorów świeżego powietrza. Śliczne skutki agitacji!

— A pan sobie mną aby ząbków nie wycieraj, — warknął nagle włóczęga, — taki fach dobry, jak i inny. Myślisz pan, że giełdjarze i paskarze, psia jeich mać, do cudzego dobra się nie dobierają? Tylko my bieleznię ze strychu zwędzimy, a oni nóż na gardło ludziom kładą. Także cnociarz z pod ciemnej gwiazdy!

— Oto widzi pan, jak ma być dobrze na świecie. My dwaj zziębnięci nędzarze zetknęliśmy się po to tylko, aby sobie zaraz dogryźć. A nawet nie chcący.

— Sprawiedliwie pan mówi,—udobruchał się włó-

częga, więc proszę słuchać: przychodzi nasz student i mówi: — Dziś wam o religji opowiem. Jak to z nią będzie w przyszłym ustroju. Nastawili my uszu, ciekawość nas bierze: czy przejdą i księży na socjalizm. A on jak nam zacznie sypać piaskiem w oczy: niema Pana Boga, niema Pana Jezusa, niema Matki Boskiej...

— Chryste Panie... Pociemniał nam w oczach świat. Na co będę się mordował, na co harował, jeżeli i tej nagrody niebieskiej na tamtym świecie nie obaczę? Wyszliśmy od niego. Nie mówimy do siebie nic, ani słoweczka. Jakby nas słona woda zalała. I lecimy, lecimy przed siebie. Jak ślepe, jak warjaty wyrrywamy przez zastanowienia. Opamiętali my się aż za miastem. Stanęliśmy na szosie. Patrzymy na ten świat, co nagle zrobił się straszny i pusty.

— Zajrzeli my sobie w ślepie i jak z umówienia mówimy w jedno słowo:

— Zabić go!

— A i prawda. Jest taki, co matkę, ojca, żonę zakatrupi. Nazywa się zbrodniarz. A cóż zrobić takiemu, co w duszy ludzkiej Pana Boga zabije? Dlaczego nie ma za taką zbrodnię kary!

Włóczęga podniósł po ciemku ściśniętą pięść z papierosem, który w podmuchu wiatru zgasił. Długo porał się z zapalką, zapalając go na nowo.

— I cóż panowie zrobili studentowi?

— A nic nie zrobili. Przez tydzień łamaliśmy głowę, stojąc przy tokarniach. Gale z tego myślenia palec urwało. Zagapił się. I mówimy tak sobie:

— Może student cygani, a może księży cyganią. Każdy na swoją stronę mówi.

— I jak to na panów wpłynęło?

— A jak miało wpłynąć! Wódkę zacząłem chlać i po raz pierwszy poznałem dziewczki z ulicy. I szło coraz gorzej. Pusty świat... Nie masz nad tobą człowieka grzeszny, władzy. Sprzątnij żandarma — i hulaj dusza w czystym polu! Wszystko wolno! Wiara — zawracanie durniom kontramary! Ale jak się wymigałem Moskalom od szubienicy...

— Za cóż znowu?

— E, tam, za wywłaszczenie, zabiło się urzędniczynę i to z marnej spluwy, myślałem, że nie wystrzeli. Kacap był, to go tam i nie żał. Ale zawsze człowiek, choć nie ochrzczony akuratnie, jak Pan Bóg przykazał. Ja tam jestem za miękki do tego interesu.

Splunął i ziewnął.

— Więc cóż wtedy, kiedy pan uniknął szczęśliwie wyroku śmierci?

— Wyroku nie uniknąłem, tylko przed wykonaniem zwałem z innymi ptaszkami. A udało się, bom Matce Boskiej srebrne wotum ślubowałem. I wysłuchała Matuchna najmiłsza.

W głosie jego zabrzmiało rozczerzenie.

— Wotum pan ofiarował?

— A jakże! Do sklepu jubilerskiego się włamałem, a srybła miała dosyć. Dwa fonty.

— Czyż można ofiarowywać kradzione Matce Boskiej?

— To lepiej wcale nie ofiarować? Ślubu nie dopełnić?

Białecki nie miał już sił rozwiązywać tego dylematu.

— A taki ja myślę, — snuł swe myśli włóczęga, — jakby mi ten student mego Pana Boga nie ukradł, nie kradłbym ja nikomu. Żyłbym inakszym sposobem,

Niech go cholera zatłucze! — krzyknął nagle z zawziętością.

Obrócił się ku Białeckiemu.

— Śpi pan? — zapytał szostko.

— Gdzież tam, — odparł Białecki, — słuchałem z wielkiem zajęciem.

— A tera co? Ziąb kosteczki przegryza. Frajer niezwyčajny. Bo też poco człowiekowi, co niema nic do gadania z policją, włóczyć się po nocy? Nie można to pójść na nocleg do Albertynów, w kolejkę po obiad dla bezrobotnych?

I wtajemniczył go w etapy zdobywania tej najlichszej łyżki strawy, którą wydziela głodnym społeczeństwo.

— Ale bezrobotni, co piją u nas na Powiślu, mówili: jak chcesz kolejki po obiad wystawać, nigdy roboty nie dostaniesz. Albo szukaj na głodno, albo na półgłodno zdychaj pomału. Psie krwie pepeesy! Zamiast jedną, drugą fabrykę zbudować, robią dziadów z człowieka! Obmierzły mi te szczekacze!

Splunął znowu wyrzaiscie i zapalił nowego papierosa.

— Bez nich jestem tu, razem z frajerem, jenteligentem przez roboty, co raczy mnie z zimna słuchać. Tumanili letkim chlebem. „Krew twoją piją... Będziesz robił osiem godzin... Sam sobie pan... Niema Boga nad tobą, będziesz klechów słuchać“... Niema Boga nademną, tom i poszedł na letki chleb, — zakończył dziko.

Pomilczał i ozwał się znowu namiętnie:

— A gdybym tego studenta, co Boga mi odebrał w ręce dostał... Dławiłbym go pomału, ażby mu gały na wierzch wyszły... Piekielnik!

Oddech jego zaświszcział chrapliwie.

— A jednak w Matkę Boską pan wierzy, jeżeli jej pan za ocalenie od śmierci wotum ofiarował?

— Była chwila, że wierzyłem, a potem — znowu przyjdzie godzina... Pociemnieje świat...

Zdaleka doleciał turkot powozu, potem dziwnie żałosny w ciemności gwizd syreny samochodowej.

Włóczęga wstał nerwowo i zaczął się przechadzać koło ławki, uderzając na rozgrzewkę w dłonie. Nagle się zatrzymał.

— I pomyśleć, że tam u rudej Józki nocleg na mnie czeka. Z pierzyną, z komfortem. A ja tu się tłukę.

— Czemuż pan nie idzie?

— Obstawili mieszkanie psie krwie łapacze. Posadzają o włamanie. Zakatrupili tam faceta. A ja gdzieś indziej byłem. Niewinnie człowiek cierpi. To Antka Zyza sprawa. Już ja mu porachuję gnaty, niech się tylko wymigam! Mam majchra i ja!

— A mówił pan, że ma pan miękkie serce?

— E, co znowu! Przecie ja go nie na śmierć... Zajadę go trochę pod zebro, żeby pamiętał.

Zatrzymał się znowu i w świetle księżyca, rzucając na jasny krąg przed sobą czarną sylwetę, podniósł do góry upiorne dłonie.

— Przekłęte miasto... Gdybym mógł, puściłbym ciebie z dymem... Podpaliłbym od stu końców. Wygnałbym sytych i śpiących z domów... W płomień. Niech topi się na nich tłuszcz... Niech tańczą ognie, jak milion szatanów... Niech zginie twoja podłość i brud... Niech już ciebie nie będzie! Ty domie nie-

rządny, ty miasto! Miejsce ukrzywdzenia dla bezdomnych i nieszczęśliwych.

Żałował sucho i usiadł. Białecki poczuł, że jest ktoś od niego nieszczęśliwszy, bo ma duszę napiętnowaną straszną pieczęcią. Objął włóczęgę ramieniem. Połączył ich mocny uścisk nędzy.

XXIII

Zając (takie było *nom de guerre* nocnego znajomego Białeckiego) ocknął się pierwszy o brzasku. Spali ciasno przytuleni do siebie na szerokiej ławie. Mżył drobny deszcz i jednostajna szarość powlekała świat. Zając trącił w bok Białeckiego i wyrwał go z ciężkiej drzemki. Białecki bez wstrętu ujrzał poraz pierwszy czarniawą, smutną i drwiącą twarz włóczęgi.

— Te, panie, — rzekł Zając niegłośnie, — widno się robi. Na deszczu spać nijako. Lepiej pochodzić.

Białecki dźwignął ciężką głowę. Był zziębnięty i zdrętwiały. Siła życia wygasła prawie w ciele, wysanem przez chłód. Ból i łamanie w kościach boleśnie wstrząsało jego przytomnością. Był obudzony. Szare, mgliste rano... Ławka w ogrodzie... Mży deszcz... Straszliwa samotność człowieka na ziemi...

— Nie pójdę nigdzie, — szepnął, — nie mam sił. Niech już tu zdechnę. Jak pies.

— Nie. Nie racja iść na dno jeśli w studnię wrzucili, — sentencjonalnie odezwał się Zając. Mówił półgłosem.

Dźwignął Białeckiego. Postawił na nogi. Roztarł jego czerwone, zgrabiałe ręce. Podpierając ramieniem, pociągnął za sobą ku wiadomemu sobie miejscu, gdzie była rozchwiana żelazna sztacheta. Odchylił ją. Przeszli chyłkiem. Zając przyrychtował ją znowu. Byli na ulicy.

Poszli w górę po śliskim chodniku. Z mgły wynurzały się potworne sześciany i graniastosłupy domów. Zamknięte bramy. Zamknięte szczelnie drzwi. Oto jedno okno oświetlone... Jak duże, czerwone, mrużące oko.

Kto czuwa aż do białego dnia? Bezdomny przystanął i patrzył w okno z nadzieją. Chłód był nie do zniesienia. Stawał się tortura, wyciskającą z oczu łzy. Otworzy się ciepłe wnętrze. Stanie się cud.

— Idźmy, — rzekł cicho Zając, który widać znał myśli podobne o mglistym rozbrasku, — nie otworzy nikt. Nie zlituje się nikt. Zwłaszcza najlepsi. Ci muszą mieć swoje życie odgrodzone i podwatowane, by karmić w niem piękną duszę, jak indyka w worku gałkami.

— Masz słuszność, mości Zającu, — szarpnął się Białecki na wspomnienie ludzi niektórych, — ci najlepsi są za dobrzy na rzecz tak brutalną, jak nędza. Oni chcą karmić hasłami. Cóż ich obchodzi krzyk głodnego, wymęczonego ciała? Oni nazywało się to miłosierdzie...

— Tak, tak, — zanosił się Zając bezmyślnym śmiechem, — oni to się nazywało miłosierdzie... Kość rzucona żebrakowi, grosz wetknięty w garść gnijącej żywności. Teraz to się nazywa opieka społeczna.

Szli długo ulicami budzącego się miasta. Elegan w białych getrach na lakierkach, w futrze z drogim kołnierzem, z melonikiem wsuniętym na tył głowy prowadził pod rękę dwie rozbawione damy. Miały kolorowe ze złotem kapelusiki, długie nogi w cielistych pończochach i płaszcze do kolan. W rozchyleniu płaszcza krzyczał jaskrawy jedwab. Nic do ukrycia... Wydała oczom ludzi plecy, szyję, nogi i ramiona. Nic do ukrycia. Wszystko łatwe do wzięcia.

Zmysły zamarły w głodnym ciele Białeckiego. Po raz pierwszy ujrzał kobietę w bezwstydy łątych uciech: Poczuł wstręt.

Poluta! Poluta była inna... Czysta i opanowana.

Przed wielkim domem stały auta i powozy. Szybko wsiadały w nie panie w krótkich płaszczach i panowie w cylindrach. Za nimi pogoniły przez otwarte okno dźwięki preludjum deszczowego Szopena.

Białecki oparł się o mur. Tęsknota ścisnęła go w kleszczach. Grała to Poluta. Pewnego razu u wspólnych znajomych. Widział kąt salonu. Lampę elektryczną z abażurem w żółte i brązowe prążki. I węzeł jasnych jej włosów nad suknią ciemno-szarą. Preludjum w tonach Whistlerowskich. Tęsknota łka. Ani uciec, ani się obronić.

Zając pociągnął go za rękaw.

— I co panu po tem burzujstwie? Czy z taką lafiryndą podkasana, czy z Mańką z Saskiej Kępy — nie jeden to smak? Pluń pan, chodźmy, nie zdążymy w kolejkę!

Szli dalej nieskończonemi ulicami, powleczone ni płynnem czarnem błotem. Wreszcie weszli w jakieś podwórze. Było brukowane, obstawione niskimi składowaniami drewnianemi, przy których wisiały kłódki.

Przed dużemi drzwiami w końcu podwórza stał już ogonek z kilku osób.

— Widzi pan, — ucieszył się Zając, — kolejki prawie że niema. Kartki obiadowe murowane.

Stała czysta i oblatana kobieta w chustce w kraty. Za nią — łagodny starzec-alkoholik. Trzecim z rzędu był zuchwały łobuz z Powiśla, który zaciągał się złym tytoniem, splotał i mamrotał klątwy pod adresem burzujów. Za nim dygotała inteligentka w wyblakłym

kapeluszu i niemodnym szarym płaszczu z paskiem — fason z czasów okupacji niemieckiej. Dalej robotnik ze zniszczonemi dłońmi, których nie wygładziło bezrobocie, wtulał się w kołnierz palta, widocznie okropnie się wstydząc swojej tu obecności.

Zając zbliżył się do typu z Powiśla i zawiązał z nim poufną, szeptaną rozmowę. Potem podszedł do Białeckiego.

— Za dwie godziny będzie pan miał kartkę. Ja idę spać. Będzie mnie pan potrzebował — proszę powiedzieć temu oto drabowi. Przeżywa się Łysy Chart, a jak mu naprawdę — łapacz go tam wie! Uszy do góry, jenteligencie, może się ta z tej opresji wydobędziemy. jak mówił Zagłoba u pana Sienkiewicza.

I odszedł, pogwizdując. Widocznie chciał zaimponować swą erudycją.

— Boże, w jakąż kompanję wlażem, — pomyślał Białecki, nie mogąc się jednak obronić sympatji dla Zająca.

Milczały wrogie, zamknięte drzwi. Ogonek rósł. Mżył deszcz. Chłód stawał się torturą nie do zniesienia. Białecki zaparł się w siebie. Wytwarzał w sobie bierną żywotność. Trwał. Cierpiąc, trwał. Przemoczone nogi zeszytniały. Reumatyzm zaczął kąsać i rozciągać ramię, poharatane w bitwie, podczas inwazji bolszewickiej.

Łysy Chart wyszedł na chwilę z kolejki i podał Białeckiemu papierosa.

— Proszę zaciągnąć się, lżej będzie, — powiedział życzliwie, zrzućwszy ze siebie nagle chuliganerję, jak kostjum teatralny.

Białecki uchylił kapelusza i zapalił. Istotnie zrobiło się lżej.

Po jakże długiem jeszcze staniu otworzyły się drzwi. Kolejka wsunęła się w nie, jak głowa węża. Białecki, wyższy od innych, ujrzał przez ramię sąsiada panienkę, wydającą kartki. Siedziała przy stoliku za kratkami. Główka chłopczycy. Suknia z białym jedwabnym kołnierzem, z wycięciem zbyt głębokiem. Pierścionki na białych palcach. Białecki struchlał. Poznał pannę, z którą zeszłej zimy tańczył na dancingu dobroczynnym w Malinowej sali w Bristolu.

— A niech tam, — pomyślał obojętnie, — i tak już mnie parę osób widziało w tej nędzy. Rozgadali. Ucieszyli się. Już mi to wszystko jedno. Idę bezpowrotnie na dno.

Panna wydała kilka kartek, potem zapaliła papierosa i pilniczkiem szlifowała różowy paznokietek.

— Po co taka miejsce zajmuje? — myślał Białecki, — zarabia na jedwabne pończochy i na fryzjera. To się nazywa opieka społeczna...

— A panna se paznokietków nie manikuruj, kiedy głodni czekają, — huknął nagle Łysy Chart.

Panna upuściła pilniczek i popatrzyła na niego wyzywająco.

— Ci, co będą niegrzeczni, zostaną usunięci przez woźnego i nie otrzymają dziś kartek, — powiedziała wyniosłe.

Jakoż woźny zbliżał się opieszale. Tłum zafalował i ucichł. Wydawanie kartek trwało powoli. Panna manifestowała zły humor. Poziwiała i nudziła się.

— Niewyspana po kolacji w „Cristal’u“ — myślał Białecki bez złośliwości nawet, bo zmęczony. Wiedział, że tam zbierało się jej towarzystwo.

Z powodu złego humoru panna nie zaszczyciła go spojrzeniem. Nie poznała schrypniętego głosu, którego

dźwięczność tłumił umyślnie. Sprawdziła jego personalja i dała mu kartkę.

— To jest ciężka praca na chleb, — myślał Białecki, odchodząc, — bezrobocie to nie tylko przewlekła agonja. Bezrobocie — to zdobywanie chleba w męce nóg własnych.

Do godziny obiadowej było jeszcze daleko. Szedł koło kościoła, w którym siedział wczoraj. Wszedł, by tam się osuszyć po deszczu. Właśnie wyszedł ksiądz z wotywą do głównego ołtarza. Białecki usiadł w ławce. Poraz pierwszy uderzyła go w głównym ołtarzu ogromna postać Chrystusa, rozpiętego na krzyżu.

Nie chciał patrzeć na bolesne ręce i nogi, przebite ćwiekami. Sam pełen był bólu. Ból płynął w jego tętnicach i rozsadał młotowemi uderzeniami serce. Patrzył na wniebowziętą twarz. Była w aureoli bladej poświaty. Natchnienie najwyższej miłości położyło na niej boskie piętno.

Rozkochiwał się pomału w tej twarzy. Odnajdywał ją, wydobywał na jaśnie swego serca z pod stosów reprodukcji stereotypowych, bohomazów, zbyt opatrzonych słodkich rafaelizmów. Wynurzała się nowa, zwycięska, porywająca. Słodka miłość Jego wświecała się w serce samotnika. Oto On idzie. Biała szata na nim. Wyciąga przeczyste, wiotkie dłonie, w których drży najpotężniejsza z potęg kosmicznych. Wyciąga ku niemu dłonie On, przesłodki, wszechmiłujący, cudowny.

— Jestem sam na nieobeszłym obszarze świata, — zaczął się skarżyć bezdomny, — jestem wyszczuty i wyścigany ze wszystkich legowisk na tej ziemi. Nie masz wezgłowia dla mej zmiażdżonej głowy, ani kubka wody dla ust, ginących z pragnienia. Wszędzie tysiące, tysiące odpychających dłoni... Wszędzie zamknięte drzwi.

Chryste! Chryste! Postawili mnie pod pręgierz, pożałowali mi krzyża! Przygarnij, o Święty, o Ukochany!

Nie zauważył nawet, że pierwszy raz od lat wielu zaczął się modlić. Doznał przedziwnego uczucia Obecności. Nie zastanawiał się nad tem. Pograżył się cały w przeżywaniu tej boskiej radości. Tego już nie odejmie nikt. Chrystus był z nim. Miał nie halucynację, lecz tak silne widzenie wyobraźni, aż stawało się realnością, że boskie dłonie spuszczają się ku niemu coraz niżej, niżej. Zaraz dotkną zziębniętej, zbitej głowy...

Po chwili wizja odeszła, a wróciła gorączka i chłód. Dopiero teraz spostrzegł, że jest nie tylko głodny, lecz i chory. Ale radość Obecności pozostała.

— Może umrę, — pomyślał spokojnie, — tem lepiej. Pójdę do Niego... Teraz już wiem.

Uśmiechając się radośnie, patrzył na głowę Zbawiciela. Nie słyszał nic dokoła. Szeptał:

— Zbawicielu, Zbawicielu!

Poczuł, że już się z miejsca nie ruszy. Już nie odejdzie od stóp Zbawcy. Zostanie przy nim ściskając mocno w dłoni skraj białej szaty.

Ocknął się na czyjś głos.

Pochylił się nad nim młody ksiądz, którego twarz wydawała mu się znana.

— Proszę pana, — mówił ksiądz cicho, — już kościół zamykają. Trzeba wyjść. Czy pan się czuje niedobrze?

— Tak.

Ksiądz wraz z człowiekiem o marsowej postaci i ruchach zamaszystych dźwignęli Białeckiego pod ręce. Wyprowadzili go z kościoła. Pomogli mu wejść do małego mieszkanka, w którym było ubogo i biał. Położyli go na jakimś posłaniu. Ksiądz pod-

nosił go i przebierał sam swemi niesilnemi, ascetycznemi rękami.

Białeckie leżał i patrzył na białe hjacenty na oknie. Chwytał go niepowstrzymany płacz zdenerwowania i osłabienia. I radości. Teraz już wszystko dobrze. Pójdzie do Niego. Zapatrzył się w białe kwiaty, szepcząc:

— Zbawicielu, Zbawicielu!

— Trzeba to wypić, panie Białeckie, — powiedział życzliwie ksiądz, podając filiżankę.

Białeckie oprzytomniał.

— Ksiądz mnie zna?

— Raz tylko widziałem, przelotnie. W pewnym znajomym domu.

Białeckie zobaczył teraz dokładnie chwilę, w której po raz pierwszy spoczęły na nim jasne, życzliwe oczy tego księdza. Ujrzał stolik wiklinowy, przykryty serwetką z haftem Richelieu i reprodukcję autoportretu Böklina na ścianie. Tak, to było u niej...

— Ksiądz Justyn? — zapytał cicho.

— Tak.

Nie mógł zahamować potrzeby serca. Zapytał:

— Co robi pani Poluta?

Ksiądz odpowiedział, nie patrząc na niego:

— Pracuje w ministerstwie. Dostała podwyżkę. Bardzo oddana dziecku.

Białeckie zauważył bez wzruszenia:

— Teraz mi już wszystko jedno. Niedługo tego już. I wyczerpany zamknął oczy.

Zajrzał sługa i konfident księdza — Kacper, były żołnierz, który przylgnął do niego za czasów, gdy ksiądz był kapłanem w wojsku. Ksiądz Justyn służby kobiecej z zasady nie trzymał. Kacper czyścił mu ubranie, nawet przyszywał guziki i naprawiał bieliznę.

Gderał za zbytnią dobroczynność, pozostawiając dziury w kieszeni księdza. Potrafił nieźle ugotować. Zrzedząc, pomagał mu w czynach miłości bliźniego i potrafił dokazać tego cudu, by ksiądz Justyn dość regularnie przyjmował trzy posiłki dziennie. Strzegł okiem Argusa, by żaden nie powędrował do ust napotkanego przypadkiem dziada, lub głodnego dziecka, dla których miał na podorędziu co innego.

Kacper obejrzał, kiwając głową, straszliwe blizny na przedramieniu Białeckiego, z którego zsunął się rękaw koszuli. Ksiądz Justyn spojrzał na niego prosząco. Kacper zmarszczył się sierzdście, najeżył wąsa i zawyrokował:

— Trza go zratować, niema co. Bił się za Ojczyznę to mu się więcej należy, niż wszelenijakim urwipółciom, co to ich ksiądz z najczarniejszych spelunek nawywleka.

Ksiądz Justyn ucieszył się. Jak Kacper pozwala, to i pomoże, i zrzedzić nie będzie. Zaraz też wiarus powędrował po lekarza, również byłego wojskowego, który za pacierze leczył czasem pacjentów księdza.

Białcki zgubił po pewnym czasie gorączkę, ale nie wstawał. Umierał powoli z wyczerpania. Kacper groźnie ruszał wąsami, napróżno podtrzymując jego siły wyborowem jadłem.

— Sam pan jenerał broni oblizałby się po takiej pieczeni, — mrucał, rzucając talerzami, — a ten chuchrak ani — ani? Rygoru nijakiego! Rozkaz, żeby żyć, to żyć! Samego księdza kapelana nie słuchać!

Pewnego rana Białcki zawołał księdza Justyna.

— Proszę księdza, postawili mnie pod pręgierz. Położyli na mnie pieczęć hańby. Ja tak umrzeć nie mogę. Kończę porachunki ze światem. Oni muszą to odwołać.

— A pewnie, że warto się z niesłusznych zarzutów oczyścić! Przecie wróci pan do życia czynnego. Napewno znajdzie się dla pana odpowiednie stanowisko.

— Już tam dla mnie stanowisko św. Piotr obmyśla, — uśmiechnął się Białcki bez wszelkiej pozy, — ale nie chcę zostawić po sobie skalanego nazwiska, zaszarganego błotem, zaplutego śliną ludzką. Dali mi to nazwisko ojcowie — powstańcy. Proszę pójść do partji. Niech odwołają. Na „Gońcu“ mi nie zależy. Ale niech „Kurjer“ wszystkie oszczerstwa odwoła.

Ksiądz Justyn kazał sobie oczyścić płaszcz i sutannę i wybrał się do „Kurjera“. Wprowadzono go do redaktora naczelnego, u którego siedział wpływowy członek stronnictwa — Gąbaniewski, wypinając na światło dzienne twarz swą, czerwoną od alkoholu i egzemy.

— Proszę panów, — rzekł wprost ksiądz Justyn, — w mieszkaniu mojem leży ciężko chory człowiek, którego panowie pognębili oszczerstwami i doprowadzili do nędzy, zagrządzając mu swemi wpływami wszelkie drogi.

Redaktor ozwał się sucho:

— Nie znamy takiego. Ksiądz stawia dość nieopatrznie ciężkie zarzuty naszemu stronnictwu.

— Pan Gąbaniewski sam przyznał się poszkodowanemu, że rzucane na niego oszczerstwa były zemstą partyjną.

— Czy chodzi o tego mydłka Białckiego? — wniósł się Gąbaniewski, — jeżeli uważa, żeśmy rzucili na niego oszczerstwo, niech wystąpi na drogę sądową. Łatwo dowiedzie swej niewinności, jeżeli jest w porządku, jak ksiądz twierdzi.

— Proszę panów, nie przyszedłem tu, jako adwokat, by pociągnąć panów do odpowiedzialności, lecz jako ksiądz, by przemówić do sumień panów.

— O ile mi się zdaje, nie jesteśmy w kościele, — przemówił Gąbaniewski sucho.

— Innego przyjęcia spodziewałem się tutaj, jako kapłan katolicki — odrzekł ksiądz Justyn, wstając.

— Niechże ksiądz tego zaraz osobiście nie bierze, — zeskoczył z krzesła redaktor.

— Więc jeszcze raz wzywam panów do sprostowania mylnych pogłosek o panu Białeckim. Proszę wziąć pod uwagę, że to człowiek chory, że trawi go i zabija myśl o hańbie, którą go obłożono, że go podtrzyma nadzieja znalezienia przed sobą otwartych dróg po wyzdrowieniu.

Gąbaniewski skierował w bok swe krokodyle oczy i mruknął:

— Niech nie zadziera z partją.

— Więc dla partji zaszculiście i zmarnowaliście naprawdę wartościowego i twórczego człowieka, — zawołał ksiądz Justyn z oburzeniem.

Wrócił, głęboko zraniony nieprawością tych ludzi. W Białeckim płonęła jeszcze nadzieja, jak mały płomyczek. Teraz płomyczek ten zgasł. Pogorszyło mu się gwałtownie. Nie było już nic, coby mogło podsycać życie. Zaczęła się agonja.

Ksiądz Justyn siedział w cichym pokoju przy umierającym.

— Księżu Justynie, — majaczył Białeckie, — stoję pod pręgierzem. Ale Zbawiciel idzie ku mnie. Sam mnie cudotwórczemi dłońmi z pod drzewa hańby sprowadza.

— Tak, bracie, tak...

— Od brzegu życia odepchnęły mnie tysiące, tysiące dłoni... I nie trzeba. Nie wyjdę na brzeg. Czyż nie lepiej zostać na jasnej toni?

— Z Chrystusem Panem, drogi. Lepiej ci, lepiej.

— Zagrodzili wszystkie drogi. Zamknęli wszystkie drzwi. Poco się dobijać? Pod Chrystusowe schronię się stopy. Księżu, czy Chrystus, ukochanie moje, czeka na mnie?

— Czekaj.

— Nie odbieram miłości pani Polucie. Pojmuję ją w braterstwo, jeżeli w małżeństwo nie wolno. Powiedz, że ją tam czekam. U stóp Chrystusowych. Tam — duchy wyzwolone — zjednoczymy się w boskiej miłości. Tam wolno kochać bez skaz tej ziemi.

— Tam wolno. Opuść jeszcze raz wrogom twoim.

Przedziwny uśmiech, odbłask tamtego świata oświecił twarz Białeckiego.

— Powiedz Gąbaniewskiemu, że nawet jemu przebaczam, — wyszeptał.

Umarł spokojnie, śmiercią lekką i bez cierpień. Jakby zasnął.

— Jakby nie umarł, wyzwaliłbyśmy tych szczekaczy na pojedynek, — odgrażał się Kacper, łkając łzy, — taki dobry był żołnierz, w jedną kampanię porucznika mu dali. A oni go zaszculi, jak psy szaraka.

— A wstydz się, Kasprze, Kościół pojedynków zabrania.

— To cywilom. Nie może to być, żeby żołnierzowi złodzieja cudzej sławy ustrzelić nie było wolno. A honor wojskowy? To ci każdy na mundur napluje, a ty znoś?

Wkrótce Białeckie leżał w trumnie. Kacper nie zapomniał mu przypiąć krzyża zasługi, który znalazł w jego pugilaresie. Ksiądz Justyn ukląkł przy trumnie, by się pomodlić. Cicho mżyły światłem zapalone świece.

Zadzwoniono do drzwi. Kacper przeszedł na pal-

cach, by otworzyć. Ksiądz Justyn przerwał modlitwę i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Byli tam Prętkiewicz z Gąbaniewskim. Prętkiewicz dopiero od paru dni wrócił z zagranicy, dowiedział się o przejściach Białeckiego i zmusił do odwołania oszczerstw, poruszywszy wszystkie sprężyny swych stosunków.

— Pan Prętkiewicz potrafił nas przekonać — mówił ministerjalnie Gąbaniewski, — sprostowaliśmy dziś niektóre nieścisłości, które organ nasz w swoim czasie umieścił o panu Białeckim. Proszę przeczytać.

Wyciągnął do księdza Justyna numer gazety. Ksiądz odepchnął go z bolesnem zdumieniem.

— Chcę powiedzieć, że partja nasza, nie wymagając od Białeckiego popierania naszej polityki, postanowiła mu dopomóc, by znalazł na polu gospodarczem lub oświatowem, w dziedzinach neutralnych, zastosowanie dla swych zdolności.

Ksiądz Justyn pokiwał głową:

— Zapóźno!

Otworzył drzwi do drugiego pokoju. Cicho mżyło światło świec. Przeźroczyty i wychudzony leżał w trumnie Białeckie.

Na twarz Gąbaniewskiego wybił gwałtowny przestrach. Zaczął powtarzać:

— Ktoby pomyślał... Tegośmy nie chcieli. Zawsze był hypochondryk, ale żeby aż umrzeć...

Potem nagle wpadł w gniew:

— To na złość partji. Powiedzą, żeśmy go zaszczuli. On całe życie robił na złość partji.

Ksiądz Justyn zatrzymał go gestem:

— Proszę patrzeć, jaki on cichy. On już znalazł partję, w której jest prawda.

XXIV

Snopy światła elektrycznego załamywały się na żółtych stiukach kawiarni. Stoliki byli pozsuwane i środek sali przygotowany do tańca.

Jazz-band grał charlestona. Grzmiał bęben, stukot kastanjetów wpadał w rytm jak klaskanie palców szkielecych. Murzyn świecił białkami nad egzotycznym instrumentem, siedząc pod grupą palm. Z dziecinną dumą wystawił swą kolorowość, na którą gapily się coraz inne pary.

Przy stolikach jaskrawiły się podkasane toalety pań. Namolnie raziły oczy grube ramiona w sukniach bez rękawów. Pudrowane łopatki sterczały nad kwadratem jedwabiu, kryjącym plecy zaledwie do połowy. Łydki obciążone w lśniące pończochy, jakby wyluskane z krótkich i obcisłych sukien cyrkowo poruszały laskierkami na stopach, niecierpliwiąc się do tańca.

Przy stoliku koło okna siedział Wasilewicz, Skrzetowicz, panna Antonina i pewien dygnitarz. Dygnitarz był już łysawy i szpakowaty. Niewielki wzrost sztukowała pewność siebie i rozpierająca go obronna godność, gotowa dać poczuć każdemu jego niższość w hierarchji społecznej. Ale w tem kółku dygnitarz był łaskawy. Tu topniał pod czarnemi oczami panny Antoniny.

Panna Antonina od pewnego czasu włóczyła go za sobą. Zabołotne nie dawało jeszcze intraty, nie starczyłoby napewno na stroje i zabawy w Warszawie. Wasilewicz wciąż nie mógł się zdecydować na zmianę

religii i rozwód. Panna Antonina zaczynała myśleć o urządzeniu życia. Jak nic nie wyjdzie z Wasilewiczem, niech będzie ten. Aby się bawić. Tymczasem zachowała Wasilewicza — dygnitarzem, a dygnitarza — Wasilewiczem. Dygnitarz fundował dziś łaskawie i nieograniczenie. Przeprowadził właśnie korzystną transakcję eksportową do Bolszewji z uszczerbkiem dla handlu polskiego, a korzyścią dla własnej kieszeni. Bawił się więc szeroko, jak ongi w Odesie, dokąd jeździł z Krzywego Rogu, jako inżynier „Prodameta“.

Panna Antonina wykwiłała prawie połowę smagłego torsu z sukni koloru bławatków, zakończonej u dołu złotą koronką. Krótkie ufryzowane włosy okalały twarz, rozkwitła w dosyć cielesnym, jak piwonja z pąka. Chichotała zalotnie i dawała odczuć mężczyznom duszny opar swej płci.

Wasilewicz pił drogi likier i wrzał wewnętrznie. Panna Antonina trzymała go wciąż za cugle. Była złym odurzającym narkotykiem. Jak kokaina. Nie mógł się wyrzec ani jednej, ani drugiej. Rybie, pływające w maśle spojrzenia dygnitarza na jego własność wściekały go. Wiedział, że zniszczony przez alkohol i narkotyk niżej teraz taksuje się, jako mężczyzna nawet od podstarzałego inżyniera. Odczuwał wzbieranie dzikiej, nieznanej mu pasji. Byłby bił lub dławił tę czarnooką dziewczynę. Zdegradowała go. Te przyпіływy zazdrości, tak nieestetyczne, tak niezgodne z jego wychowaniem i tresurą duchową ona w nim wywołała, usypiając duszę, a podżegając i zaostrażając w nim instynkty.

Śmiała się teraz do dygnitarza i uderzała go swawolnie po ręce. Zachowuje się nieprzyzwoicie w miejscu publicznym. I ja z nią tutaj? — myślał z niesma-

kiem i czuł w swej bezwoli i dezorganizacji, że nie odejdzie od niej. Dygnitarz przycisnął rękaw smokinga do obnażonego całkowicie ramienia. Wasilewicz patrzył na pannę Antoninę tak strasznie, że odsunęła się mimowoli od inżyniera.

Ale w tej chwili zagrano charlestona, młody porucznik, z panną w cytrynowej sukni zaczęli wydrygiwać środkiem sali modny taniec. Dygnitarz wstał, zapraszając pannę Antoninę. Objął ją, jakby wgarniając w siebie całą jej pulchność. Tańczyli, mówiąc sobie usta w usta jakieś słowa. Prawdopodobnie nieosłonięte i wyuzdane. Podła... I ona chce być Wasilewiczową...

Kiedy zagrali foxtrotta, wstali znowu. Wasilewicz pił, coraz to błędąc. Chwilami się zachłystywał z wściekłości. Rzucił w niego butelką. Chwyci go za kark i wyniesie z sali. Zrobi straszny skandal. Spoliczkuje go...

Skrzeżetowicz znał dobrze przyjaciela i czytał z jego twarzy myśli posępne, jak noc, czerwone, jak ognie. Pogłodził nieśmiało i z miłością pod stołem jego rękę. Wy szeptał:

— Pomyśl... Pani Poluty wysokie imię szarpać będą. I Ania w Warszawie... Gazety, obmowa... strach...

Imię pani Poluty odrazu przywołało Wasilewicza do porządku. Tego jej nie robi. Pomyślał z tęsknotą o pięknym i uduchowionym życiu z żoną, od którego oderwała go ta powojenna rozpustnica. — Powojenna rozpustnica, — powtórzył w myśli z nienawiścią. A jednak nie wstał i nie wyszedł, jak był powinien.

Znowu bębnił i szalał foxtrott. Wasilewicz wstał i wziął za rękę pannę Antoninę.

— Teraz pani tańczy ze mną, — powiedział ze złym polyskiem oczu. Panna Antonina chciała odmówić, ale spojrzała na niego i przełękła się.

Wasilewicz po kilku taktach opanował tancerkę. Wczarował jej ruchy w swe płynne, wytworne posunięcia rytmiczne. Poczuła znowu jego męską nad sobą władzę, urok jego pańskiej urody, do której wdychała beznadziejnie, jako dziewczynka z leśniczówki, chodząca w brudnych perkalikach.

— Jeżeli będziesz kokietowała tego sztokfisa, zbije ciebie w domu, — syknął jej w ucho Wasilewicz.

Pannę Antoninę rozparło zadowolenie kobiety pierwotnej, porywanej z miejsca zapasów, czującej rozkosz przemocy nad sobą.

Kiedy wrócili na miejsce, dygnitarz próżno chciał odwojować straconą pozycję. Posłał po bukiet kwiatów. Kazał postawić przed nią olbrzymie pudło cukrów. Panna Antonina była nieprzystępna i poprawna.

Sennie, rytmicznie kołysały się w tańcu pary. Kołysały się, wyrzucając biodrami, podskakując z jedną nogą w powietrzu, w kontorsjach jakby epileptycznych, jakby na sabbacie.

W średniowieczu malowano freski, wyobrażające śmierć, co wszystko w taniec porywa. Teraz wydawało się, że wznowił się średniowieczny korowód śmierci.

Kolebał się monotennie krąg czarnych i jaskrawych plam. W oczarowaniu, w urzeczeniu chwili się we frenetycznym porywie, wprawiając w coraz większy rozmach żądzę. Nozdrza dziko rozdęte, szminowane wargi, krzyczące malowaną kresą przez twarz, błyszczące niezdrowo oczy... Gorący opar ciał... Taniec żarnej chuci. Taniec spuszczonej z łańcucha siedmiu grzechów śmiertelnych...

A nad tą falującą jednostajnie cizbą, nad tym stłoczonym kręgiem płasających służebników łatwej

uciechy stał na estradzie murzyn. Błyskał białkami, czarny i wesoły i szkielecem klaskaniem kastanjetów popędzał płas, wpadając w niego suchym refrenem.

Wasilewicz spojrzał nagle trzeźwo na krąg taneczny. Śmiertelne przerażenie wstrząsnęło nim. Wydało mu się, że poruszają się sprężynowe automaty, w które ktoś tchnął pożar zmysłów.

Murzyn wywraçał białkami — czarny i wesoły. Klaskanie kastanjetów stało się nie do zniesienia szkielece.

Wasilewicz wstał zdenerwowany.

— Skrzeżetowicz, idziesz?

— Jak chcesz, — zerwał się ten z gotowością.

— A panią czy mam pożegnać? — zwrócił się z ironją do panny Antoniny.

— Ja już też do domu, — odpowiedziała potulnie panna Antonina i pożegnała dygnitarza, dziękując za auto, które jej ofiarowywał. Poszedł za nimi do szatni, gdzie nie udało mu się ubiec Wasilewicza w podaniu płaszcza pannie Antoninie i wrócił skwaszony regulować duży rachunek.

Wasilewicz i panna Antonina szli obok siebie w milczeniu. Skrzeżetowicz wierny i wytresowany włókł się za nimi w oddaleniu. Żeby nie przeszkadzać.

— I czałoż ty, Jakim? — zagadnęła zalotnie panna Antonina.

Wasilewicz zwrócił ku niej twarz, skurczoną od gniewu.

— Zachowałaś się, jak dziewczka. W moim towarzystwie...

— Rodowego arystokraty Wasilewicza, — przeдрzeźniała z rozdrażnieniem.

— A tak. Żebyś wiedziała. Z senatorskiego rodu.

Póki jesteś ze mną, hamuj narowy, których się uczyłaś chyba w demi-mondzie moskiewskim.

— Proszę mnie nie obrażać. Chodzi o to, że bawiłam się dobrze z kim innym.

— Ty to nazywasz się bawić! Durnia chcesz ze mnie zrobić! Pytam się ciebie: jego chcesz, czy mnie?

Panna Antonina stanęła i odwróciła do niego rozczwienioną twarz.

— Pytam się ciebie i to poraz ostatni: mnie chcesz, czy twojej żony?

Wasilewicz drgnął i spuścił głowę. Ona go nie przyjmie... Nie przebaczy mu uraz straszliwych ślubna jego żona... Tak zatrzał jej życie. Tak ciężko znieważył... Powrotu niema... I gdzie siła, by wrócić z opętanego tańca do spokojnego życia? Czy ten opar niezdrowej narkozy ma znowu wnieść pod dach, gdzie jest dziecko? Powrotu niema... Trzeba do końca się truć i staczać coraz niżej.

Panna Antonina zawrzała.

— Nie odpowiadasz... Ty z senatorskiego rodu. Ty niepoczytalny pijanico... Roztaczasz pawie ogon honoru i dystynkcji. A czy pamiętasz, że dałeś słowo honoru, że się ze mną ożenisz?

— Kiedy to?

— Właśnie. Utopiłeś honor w wódce. Obiecałeś. Przysięgłabym, że byłeś wtedy przytomny. Wyglądałeś przytomny. Kiedy wróciłeś z kresów. Mówiłeś: — Ty, Nina, musisz mi starczyć za całą Białoruś. Rozbiłem się. Nie będę nigdy z nimi! Ale choć ty zostań.

— I dałem ci słowo honoru?

— Dałeś. Napisałeś na papierze. Mogę ci pokazać.

— Ładne rzeczy! Wymusiłaś obietnicę, kiedy byłem nieodpowiedzialny.

— Wszyscy mężczyźni są w takich razach nieodpowiedzialni. Sprawa wiadoma i bardzo banalna. Więc cóż, szlachcicu rodowy, przyznajesz się, żeś mnie, młodą dziewczynę-sierotę chciał tylko skompromitować i rzucić.

— Wiesz, że dawno byłbym wziął ślub z tobą. Tu chodzi o zmianę wyznania.

— Ach, cóż tam twój katolicyzm! Wiarą od obowiązku się zaślaniać! Panu Twardowskiemu o duszę chodziło, a i to słowa nie złamał. Ale on nie był kokainistą!

Wasilewicz się zachnął.

— Podła... Tyś sama mi kokainę podsuwała...

— Czy ja rozumiałam? Mnie nauczyli, chciałam ciebie uspokoić. Ale ty mężczyzna świadomy — gdzie twoja wola? Ożenisz się ze mną, leczycie ciebie będzie trzeba.

Wasilewicz zapytał ze zjadliwą ironią:

— Czemu nie przed ożenieniem? Żebyś zaś na oczy nie przejrzał.

Czuł, że powinien się szarpnąć i wyrwać jak z hańbiącej niewoli. Ale po chwilowem podnieceniu na dancingu schodziła na niego znowu niemoc i rozpaczliwe łaknienie narkotyku, za który nałogowiec gotów był sprzedać duszę. Przywoływał siebie dawnego, z przed czasów upadku i nie mógł zrozumieć, gdzie się podziała jego wartość i siła. Roztargały wiatry... Rozproszyła się po żdźbale w brudnych orgjach...

— Zmartwychwstać! — załkało w nim wszystko.

— Jeżeli nie możesz zmienić dla mnie wiary, czego ludzi odemnie odpędzasz — podjęła panna Antonina podniecona — chcę urządzić sobie życie, chcę mieć swój dom, bawić się, przyjmować. Inżynier mnie

to wszystko da. Ciebie kocham, paniczka z Wasilewa — i choć Zabołotne teraz i trzystu pudów rocznie nie da, z tobą ograniczyłabym się, przetrwał. Ale czas mi pomyśleć o sobie. Dasz mi zaraz dziś odpowiedź, albo wszystko między nami skończone.

Doszli do bramy panny Antoniny. Weszli tam, zegnając Skrzeżetowicza.

Wasilewicz ujrzał znowu jaskrawy dywan z głową Turka i mandolinę na wstążce, pocztówki z typami ukraińskimi na ścianach i reprodukcję „Zaporozców“ Repina. Obmierzłe otoczenie. Wiejące Rosją, jak zaduchem mogilnym. A przecież — dźwignąć się, mieć pieniądze, to nietrudno zagrać na snobizmie żadnej użycia dziewczyny i nauczyć ją gustu. Nie chciało mu się tego nigdy. Nie wyobrażał jej sobie, jako towarzyszkę życia. Była zawsze tylko towarzyszką do pokątnych uciech.

Panna Antonina zrzuciła płaszcz i zbliżyła się do niego, roztaczając urok swej banalnej, zmysłowej urody.

— Daj mi zaraz odpowiedź, czy dotrzymasz słowa, czy nie? — krzyknęła z energją — dosyć mi się plątać z tobą. Albo miłość, albo bogactwo. Ja bez końca czekać nie będę.

— Chcesz się sprzedać? — rzekł Wasilewicz z pogardą.

— Tobie się nie sprzedaję, tobie jeszcze na wódkę dawać muszę — odparowała panna Antonina.

Wasilewicz siedział, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem w napadzie takiej męki duchowej, że musiał natychmiast oszaleć, albo się odurzyć. Wszystko jedno czem: wódką, kokainą, czy kobietą.

Panna Antonina mocno objęła go ramionami.

— Ożenisz się?

— Ożenię się.

— Zaraz jutro pójdziesz do popa?

— Zaraz jutro pójdę do popa.

Kiedy odchodził, spojrział na ikonę w pozłacanej ryzie nad łóżkiem panny Antoniny.

— Daj mi to, żebym zapomniał Matkę Boską Ostrobramską i do takiej oto modlić się nauczył — bluznął, jak krwią z rany.

Panna Antonina zdjęła i podała mu ikonę.

Panna Antonina wstała nazajutrz zafrasowana. Było święto, więc nie szła do biura. Miała czas pomyśleć o skutkach wydartej przez siebie obietnicy.

Przedewszystkiem uświadomiła sobie wyraźnie, że nie pozostaje nic innego, jak osiąść na Zabołotnem. Tam Wasilewicz otrzeźwieje, a wieś go uleczy. Pociągnie go ruch, polowanie. Sama panna Antonina uważała za szczyt swych marzeń być dziedziczką jeżeli nie całego klucza Wasilewskiego, to choćby jednego folwarku. Podświadomie czuła to, jako bez porównania wyższy stopień hierarchji społecznej, niż posiadanie ogromnej fortuny aferzysty. Miała chłopski głód ziemi. Inżynier mógłby jej kupić również folwark. Ale to nie było panowanie nad okolicą, gdzie ją znano, jako małą, z umorusanym nosem. Wasil, który ją pobił za kradzież jabłek, albo Stefan, który jej nawymyślał za wpuszczenie krowy w żyto będą jej teraz mówili „pani“. Nie mogła oddzielić swojej dziecinnej świadomości od obecnej, dojrzałej. Przeszła przez życie z osobowością nierozczłonkowaną na stopnie i pragnęła tej samej satysfakcji, o której marzyła w dzieciństwie.

Można żyć na Zabołotnem. Trzeba tylko mieć pieniądze na inwentarz i budynki. Wiedziała, że w banku bardzo trudno jest wystarać się o pożyczkę. Same pomiary zrujują, bo plan Wasilewa i wszystkich folwarków zaginał. Nagle przypomniała sobie swoją opiekunkę.

Była to księżniczka Tarachońska. Bardzo religijna, nie wstąpiła do zakonu, a żyła w świecie, czyniąc dobrze po swojemu. Uważała się nie za właścicielkę, lecz za administratorkę swej ogromnej fortuny. Ofiarnością jej nieraz kierował ksiądz Justyn, którego oceniła odrazu, przy pierwszej znajomości.

Pannę Antoninę skierowano do niej, jako zdolną dziewczynkę, która skończyła szkółkę wiejską i na gwałt pragnęła wiedzy. Dopomogła jej do ukończenia szkoły średniej i wyprawiła do Krakowa, na kursy Baranieckiego, zaopatrując w list do Sióstr Urszulanek, które miały dokonać jej konwersji na katolicyzm.

Zamiast tam się udać, panna Antonina drapnęła na kursy do Moskwy, dając folę swym instynktom, ciągnącym ją do życia rozluźnionego, bez wędzideł wyższych nakazów kultury.

Ale teraz była Polska Niepodległa i na wszystkie grzechy przeciw polskości zapadła amnestja. To też panna Antonina, chociaż z wewnętrzną obawą, wybrała się do księżniczki. Z gruboskórnem niezrozumieniem psychologii istot wyższych od siebie, ubrała się najokazalej, z całym podkasanym szykiem współczesnej ómy dancingowej. Niech wie księżniczka, na co to ona wyszła.

Znalazłszy się przed drzwiami staroświeckiego pałacyku, poczuła to samo przykre onieśmienie, które przytłaczało ją wobec „panou“, kiedy trzeba było iść ze zleceniem ojca do dziedziczki Wasilewskiej. Przez chwilę stała, wahając się, przed mosiężną rączką dzwonka z główką lwa. Nagle zebrała się w sobie i pociągnęła.

Otworzyła ta sama pokojowa w białym czepeczku

i fartuszku na czarnej sukni, co przed laty. Tylko teraz miała włosy całkiem siwe. Wpuściła ją bez słowa i poszła zameldować pani.

Po chwili wprowadziła ją do sypialni księżniczki. Pokój był urządzony surowo, z uwzględnieniem koniecznych potrzeb człowieka. Bukiet białego bzu oranżeryjnego z pewnością przysłała ręka przyjazna. Stał u wężłowia łóżka, na którym leżała żółta i wyniszczona starsza kobieta. Patrzyła w tej chwili na obraz Chrystusa. Wisiała nad nim atlasowa wstęga z wyszytymi na niej wyrazami: „Mnie żyć jest Chrystus“.

Księżniczka Tarachońska zwróciła na wchodzącą oczy, przygaste od cierpień fizycznych. Przyjęła z życzliwym uśmiechem ucałowanie ręki, leżącej bezsilnie na kołdrze.

— Księżniczka chora? — zapytała panna Antonina zaskoczona.

— A tak. Na raka. Umieram tak sobie pomalutku od pół roku.

— Ależ mając takie środki wyleczyć się łatwo!

— Przeciwnie woli Bożej i doktor nie może.

— To są straszne cierpienia. Tak cierpiąc, można zwątpić we wszelką Opatrzność.

Księżniczka uśmiechnęła się i uśmiech ten na twarzy, pobródzonej męczarnią ciała, był jak zwycięstwo duszy nad materją.

— Dusza zawsze tak samo ciemna. Tak samo nie rozumiejąca, — wymówiła pobłażliwie.

— Czemuż to ciemna, — obraźliwie nadeła się panna Antonina, — dwa lata byłam na kursach. Obracam się w środowisku inteligentnem.

Księżniczka nie odpowiadając, czekała na dalszy ciąg wynurzeń. Wiedziała dobrze, że egoistyczna istota nie

przyszła do niej w zamiarze odwiedzenia lub okazania wdzięczności.

— Zawsze moją dobrodziejkę wspominałam, że otworzyła mi bramę lepszego świata.

Księżniczka spojrzała na nią surowo.

— Nie weszłaś w tę bramę. Nie poszłaś drogą, przeze mnie wskazaną. Zabłąkałaś się na gościńcach życia.

Panna Antonina spuściła wzrok. Po raz pierwszy przejął ją żal, że nie przeszła drogi, którą jej mądra ręka opiekunki wyznaczyła. Zmierzyła przepaść między nią a sobą, którą dostrzegła dopiero teraz wzrokiem kobiety doświadczonej, obtartej w wielu przygodach, wśród różnych ludzi. Kiedyś, w zarozumiałości pierwszych upojeń hasłami radykalnemi, postawiła siebie na szczycie świata. Ludzi, nie wyznających tych samych idei, uważała za karłów. A oto stała wobec siły duszy niespożytej, która w agonji, wśród bólów, torturujących ciało, zdobywała się na wyteżenie myśli i uczucia, na czujną troskę o bliźnich swoich.

Panna Antonina przemówiła wkońcu nieśmiało:

— Różnemi drogami chodzą ludzie. Dużo razy błąka się człowiek w młodości. Może ja teraz żałuję, że nie byłam w Krakowie.

— I czemuż to żałujesz?

— Dla człowieka, którego kocham, byłabym pożądaną. Więcej warta dla niego. Teraz bardzo żałuję.

Księżniczka powiedziała z żalem:

— Żałujesz, że nie masz jeszcze jednej ozdoby obok szminki na ustach i krótkiej sukienki, żeby lepiej mężczyzną usidlić. A żeś z prawdą wieczną się rozstała, odczuć nie jesteś w stanie.

— Cóż ja zrobię, że nie umiem odczuwać prawdy wiecznej? — wymamrotała panna Antonina.

Księżniczkę porwały w tej chwili bóle. Odwróciła głowę do ściany i z cichem jęczeniem, tłumionem chwilami, przetrzymywała atak. Po chwili zapytała ją głosem zmienionym:

— W czymże godziwem mogę ci pomóc?

Panna Antonina wyluszczyła prośbę o pożyczkę na odbudowanie Zabołotnego. Księżniczka patrzyła na nią jasnowidząco.

— Czy dawno jesteś z tym człowiekiem zaręczona?

— Już... już od roku... — splonęła panna Antonina ciemnym rumieńcem.

— I tak długo czekasz? O, to niepodobne do ciebie! — zdziwiła się księżniczka, — chyba są jakie przeszkody?

Zmieszanie panny Antoniny było wymowne. Księżniczka zdefiniowała:

— Pewnie trzeba przeprowadzić rozwód?

— Tak, rozwód, — przyznała się panna Antonina.

Księżniczka leżała nawznak, milcząc. Ciężko oddychała.

— Jakże chcesz, żebym ja, która umiem odczuwać prawdę wieczną i do ostatniego tchu spełniam obowiązek włodarza mienia, powierzonego mi zwyżej dla dobrych spraw, mieniem tem na zgubę duszy twojej szafowała?

— Jakto na zgubę duszy mojej?! To dla mego szczęścia. Czyż nie radością jest duszy wierzącej uszczęśliwiać ludzi dokoła?

Księżniczka mówiła coraz ciszej:

— Pchniesz człowieka w objęcia połowicznej wiary. Rozbijesz rodzinę. Narazisz na szwank zbawienie wieczne twoje i jego. Człowiekowi, którego kochasz, wszcze-

pisz w duszę na zawsze wyrzut i rozdwojenie. Będziesz-że szczęśliwa, patrząc na jego upadek?

— To nie będzie upadek.

— Tak ci się zdaje. Idź, siostró nieszczęśliwa, pomyśl o drogach, wiodących ciebie na zatracenie. Jeżeli jeszcze zawrócisz, przyjdź do mnie, bym ci pomogła dźwigać rozbitcie twoje. O, małe serce, pojmujące radość jedynie w nasyceniu, nie znające boskiego upojenia wyrzeczeń.

— Nie wszyscy mogą być fanatycznymi ascetami, — mruknęła panna Antonina.

Ale księżniczka, zmęczona rozmową i zgnębiona widokiem jałowości ducha, zrobiła znak, że audjencja skończona. Podała pannie Antoninie rękę.

Gdy panna Antonina wyszła, pielęgniarka w białym fartuchu pośpieszyła do pokoju chorej. Miała w jednej ręce przygotowaną szprykę do zastrzyknięcia morfiny, w drugiej zaś — eter i watę.

Zostawiła za sobą drzwi otwarte. Panna Antonina zatrzymała się przez ciekawość.

Przez drzwi słychać było jęki nieopisanej męczarni. Pielęgniarka rozmawiała z przejęciem i sympatją:

— Księżniczko, proszę się zlitować nad sobą. Proszę pozwolić na zastrzyk. Jeden jeszcze przed wieczorem... Poco cierpieć tak strasznie?

— Droga pani, czemu pani chce, abym się zrzekła próby, którą zesłał na mnie mój Zbawca? — odpowiedziała księżniczka przerywanym głosem, — jeżeli posłano mi cierpienie, jakże mogę się od tej łaski oczyszczającej usuwać? Może ona mi stokroć gorsze męki czyśćcowe skraca?

— Księżniczka bez żadnego czyśćca pójdzie do nieba.

— Och, nie patrzyłaś w głąb mojej grzesznej duszy! Nie mów tak, dziecko. Zostaw mnie.

— Księżniczko, proszę być dobrą, proszę dać mi odpocząć. Ja przez cały czas cierpię razem.

— A, jeżeli ty masz cierpieć... Niepotrzebnie, nie przejmuj się mną starą. Pomyśl, co za cudna myśl: pokonać własne ciało. Aby uśmiech nasz był sztandarem zwycięstwa. Pokonać zbuntowaną materję i stanąć nad bólem duszy i ciała... Co za szczęście w chwilach odpoczynku... Mogę rzec Chrystusowi Panu: — Dźwigam z Tobą ciernie i rany, oddaję Ci poszarpane kleszczami ciało moje! We śnie czułam na skroniach Jego dłonie przedziwne. Z każdym zwycięstwem mojem jestem bliższa Jego...

— Ale na moją intencję, księżniczko. Trochę ucieszenia, aby móc cierpieć dalej.

— No, już dobrze.

Panna Antonina odeszła, przejęta zdumieniem. W przedpokoju zapytała starej służącej:

— Tej pielęgniarce musiała księżniczka zrobić dużo dobrego? Zapisu pewnie czeka?

— Gdzieżtam. Kiedy pisano testament, mówiła, że nic nie przyjmie, bo pomyśla, że dla legatu dobrze pielęgnowała. Tak oto panią naszą kocha. Dla niczego. Ona nie dla siebie żyje.

Panna Antonina wyszła wykolejona i rozstrojona. Przez całe życie pieła się, by stanąć na wyższym szczeblu duchowym. I ciągle spotykała ludzi ze świata prawdziwej kultury, którzy grzecznie, z zachowaniem wszystkich form odpychali ją od siebie, jako typ niższy. Odczuwała to boleśnie i mściwie.

Wiedziała dobrze na czym polega wspaniałomyślność, miłość do świata, altruizm i inne formy piękna

wewnętrznego. Umiała je udać, ale nie były jej wrodzone, nie były w niej samorzutne, szczepiła je czasami na pniu grubego sobkostwa i utajonych namiętności, ale nie przyjmowały się.

Teraz znowu zobaczyła piękno, które ją przerażało. Paliła ją głucha zawiść, że bez wysiłku, nie wiedząc wcale o sobie były dusze urocze i pełne aromatu, jak kwiaty. Jej nie wpuszczają do tego koła... A jednak ona podobała się samej sobie ze swym rozmachem i śmiałem braniem z życia garściami, co się da. Prawo do zagarniania dawało jej przeświadczenie o wartości estetycznej jej indywidualności. Była zakochana w sobie. Brak uznania i przytwierdzenia jej pretensjom życiowym raził ją i dotykał głęboko.

A przecie — tak łatwa była myśl, że trzeba doskonałość naprawdę, z wysiłkiem i wyrzeczeniem tworzyć w sobie, nie zaś udawać. A wtedy jej ciche promieniowanie przyciągnie ludzi wyższej kategorii, mających za sobą wiele kulturalnych pokoleń, mających dany sobie od urodzenia czar, dystynkcję, takt życiowy, mimowolną wyniosłość i rezerwę, trzymającą zdaleka nuworiszów ducha.

Tak, piękna udać nie można, poza nie zastąpi treści istotnej. Zawsze będzie raziła Wasilewicza szusami swej bujnej natury. Mało życia, aby wykonać tę pracę. A im to od urodzenia dano...

Szła upokorzona i zraniona. Byłaby wykonała ciężki trud i łamała siebie, odrzucając nawet uciechy zmysłowe. Ale musiałaby być pewna, że osiągnięte wyższość bezwzględna nad wszystkimi. Rozpierały ją głuche ambicje.

Będąc dzieckiem, biegła koło gromady chłopców, bawiących się na środku wioskowej ulicy. Potrafiła

rozstawione palcaty. Jeden z chłopców zwymyślał ją brzydkim słowem i uderzył w plecy.

Zacząła wtedy marzyć, że zjawi się nad nią w balonie. Widziała wtedy balon, przelatujący nad okolicą. Wyjdzie z łódki balonu w złotej sukni, z niebieskimi wstążkami we włosach. Będzie miała na sobie płaszcz gronostajowy, jak Kopciuszek w książce z bajkami, którą pożyczał za pilność nauczyciel ze szkoły. Stanie świetna i wspaniała wśród tych chłopców-krzywdzicieli. Pokłękają przed nią. A ona powie grzmiącym głosem: — Nieszczęśni! Znieważyliście królową!

Nasyci się wyrazem przestachu na ich cynicznych, łobuzerskich twarzach. Wymierzy im ciężką karę...

I teraz czuła ukrytą w swych żądzach istotę wyższej kategorii, niż ta, jaką była w życiu. Nie potrafiła tego wydobyć na jaw. Szła nie wyżej, lecz staczała się wciąż, ciągnąc za sobą człowieka, którego kochała. A jednak czuła się czemś wyższem od pojęcia o niej ludzi. I nie mogła się rozstać z dziecinnem marzeniem, że pewnego dnia odsłoni ludziom dostojęstwo swoje, ukaze płaszcz złotolity na swych ramionach...

Kiedyś miała w sobie tyle prężnych sił. Zdawało się jej, że potrafi osiągnąć najwyższą wiedzę, doskonałość, władzę nad ludźmi. Czytała o potędze duchowej ascetów hinduskich, którzy prześcigali moc bogów. Nie zdawało jej się i to niepodobnem. Byle zechcieć. Napiąć wolę...

Ciosy życia upokorzyły ją, lecz nie nauczyły pokory. I szła, trawiona ciemnym głodem swej duszy, a ze złą przekorą odrzucająca pokarm odżywczy.

XXVI

Pani Poluta porządkowała szufladę w swoim biurku. W ręce jej wpadła fotografia Białeckiego, kiedyś jej ofiarowana.

Przeczytała napis na odwrotnej stronie. Odwróciła fotografię i przypatrzyła się twarzy, która wydawała się kiedyś tak drogą. Nie odczuła nic, ani rwącego żalu, ani tęsknoty. Przeszła wiosną. Rozwiał się zapach bzów. Przeboleła. Przesiliło się w niej uczucie, jak choroba wewnętrzna. Myślała:

— Piszą o niespożytej, niezłomnej miłości, która jest silniejsza nad śmierć. Tak, miłość może być silniejsza nad śmierć, ale nie nad życie. Życie ściera i zużywa ją, spiłowuje kanty, wreszcie zamienia ją w szary proch. Życie, to straszne koło zębate, które miele wszystkie uczucia. Na tragedję, na tęsknoty sypie popiół codziennych potrzeb i zdarzeń: Topi porywy ku niepowszedniemu pięknu, ku romantycznym przygodom duszy w drobnych obowiązkach i pracach. Jedną jest miłość niezniszczalna, której nie zużyje nacisk troski i trudu, która nie zmarnieje w znużeniu i bólu: miłość nadziemska.

Dziwiła się, że zapomniała Białeckiego. Ot, tam w zakęcie duszy porosła darnią mogiła i łagodnie łka nad nią preludjum liryczne... Nic więcej. Zrosło się straszliwe rozdarcie wszystkich wiązań duszy. Ustał pociąg zmysłów, który nieświadomie pchał ją ku niemu. Przewalczyła. Przełamała. A więc można przewalczyć?

Więc niema złamanych serc na całe życie? Historje sercowe zostały pogłębione, wsugestjonowane w ludzi przez literaturę. Życie czynne i wypełnione pracą nad sobą zawsze przechodzi nad nimi do porządku dziennego. Tylko, trzeba chcieć. Tylko miłość ziemską trzeba umieć roztopić w niebieskiej, jak malutką bryłkę soli w ogromnym oceanie. Nie zostanie z niej śladu.

Do pokoju wbiegła Ania. Pani Poluta prędko wsunęła fotografię pod papiery. Ania przytuliła się do matki.

— Obiecałaś mi, że wróci tatuś. Tatuś tak długo nie wraca, — powiedziała.

Pani Poluta uczuła ścisnięcie serca. Tak, nie zrobiła jeszcze tego wysiłku. Powstrzymywała ją obrażona duma kobieca. Ale czyż to ważne, gdy trzeba uratować — Sakrament?

Trzeba walczyć. Trzeba wyteńczyć wolę... Zapomnieć o krwawej obrazie, o ranie zadanej. Ratować człowieka chorego.

Przyszedł ksiądz Justyn, z wylaniem witany przez Anię. Pomówiono o pannie Zosi. Ksiądz wspomniął, że porucznik Czupur otrzymał Virtuti Militari i awansował. Uspokoił się, ale panny Zosi nie zapomina.

Ania z żalem poszła do drugiego pokoju odrabiać lekcje. Ksiądz Justyn przemógł się wtedy i poruszył kwestje drażliwe.

— Niejaka panna Antonina była u księżniczki Tarachońskiej...

— Biedna! Jakże jej zdrowie?

— Umiera pomału. Męczy się bardzo. Ale lekarz obiecuje, że może nagle nastąpić zupełnie lekka śmierć, zanim rak stoczy organizm. Serce stanie z wyczerpania.

— Daj Boże. Im jestem starsza, tem lepiej rozumiem, że śmierć śmierci nierówna. I modlitwa nasza o lekką śmierć, o wybawienie od nagłej i niespodziewanej śmierci ma głębokie znaczenie.

— Otóż panna Antonina była u księżniczki w dość dziwnej sprawie...

— A mianowicie?

— Księżniczka ponośłożyła na jej kształcenie, myśląc, że przejdzie na katolicyzm i będzie działaczką kulturalną w swojej okolicy. Otóż teraz z tego tytułu panna Antonina prosiła o pomoc w urządzeniu życia.

— Jakże ona chce życie urządzić?

— Rozwiódłszy pana Wasilewicza, osiąść z nim razem na Zabołotnem. Pan Wasilewicz zdecydował się zmienić wiarę. Podobno szarpie się jeszcze, ale już pokonany.

— Cóż na to księżniczka?

— Księżniczka przesyła pożyczkę pani, nie jej. Trzeba zwrócić te pieniądze ludziom. Zobowiązuje panią przyjęcie jej do wystawienia polskiej szkoły lub katolickiej kaplicy w swojej okolicy. Potrzeba ująć Zabołotne w swoje ręce.

— To zależy od mego męża.

— Trzeba ująć męża w swoje ręce, — dodał ksiądz ciszej, — odbudować rodzinę...

Pani Poluta siedziała zamyślona. Nagle jasna myśl zaświtała na jej twarzy.

— Dawniej już myślałam o sanatorium. Dowiadywałam się. Było za drogo, niemożliwie. Teraz trzeba zacząć od tego. Prawda, proszę księdza.

— Prawda, droga pani.

— I ma ksiądz już pieniądze przy sobie?

— Tak.

Pani Poluta wstała z energją.

— Chodźmy, proszę księdza. Wyleczyć go, wyleczyć... Potem wszystko przez dziecko samo się zrobi.

Włożyła kapelusz i naciągnęła gorączkowo płaszcz, gdy do przedpokoju wbiegła Ania.

— Mamusiu, dokąd wychodzisz?

Pani Poluta wzięła ją za rączki.

— Idziemy po twego tatusia — słyszysz.

Ania patrzyła szeroko otwartymi oczami.

— A jeżeli nie zechce? — zapytała z trwogą, — jeżeli nie zechce?

Pani Poluta schyliła głowę i powiedziała cicho:

— Módl się, by wrócił do nas...

XXVII

Wasilewicz pił od rana i nie mógł się upić. Szarpała nim męka. Na ścianie jego pokoju wisiała ikona Iwierskiej Bogarodzicy. Patrzył na tę ciemną twarz. Na hieratycznie złożone ręce. I nie mógł przylgnąć. Nie mógł przylgnąć.

Od dzieciństwa wrósł w niego kult Matki Boskiej, którego żadne radykalizmy nie potrafiły osłabić. Wraz z upadkiem swym zaniechał praktyk religijnych. Modlił się rzadko i nie doznawał pociechy, bo za momentem skruchy nie szło odrodzenie. Piękne porywy, nie scementowane czynem, rozwiewały się bez śladu, jak puchy dmuchawca. Były nastroje, które nie wrażały w miąższ życia.

Ale miłość po katolicku pojętej Matki Bożej przetrwała. Nie stwierdzana, nie podsycana tkwiła gdzieś w nim podziemnymi korzeniami. Trzeba było ją wyrwać i wpisać w serce obcemi literami obcy kształt. Wyrwać ze siebie kształt wiary, spojony z polskością. Wiązania poszarpane krwawiły. Łkała rozpacz i bezprzytułek. Wyrывał ze siebie wiarę dzieciństwa, jakby własnymi rękami wyjmował ze siebie serce z rozciętej piersi.

Męka była tak wielka, że chwilami mąciła mu się myśl. I powstawało w nim zbawcze pragnienie: oszaleć, stracić świadomość. Wtedy nie będzie odpowiedzialny. Nie dopełni obietnicy...

Kiedy ksiądz Justyn i pani Poluta, zamówiwszy

pokój w sanatorium, zadzwonili do mieszkania Skrzeżetowicza, otworzył im sam gospodarz. Był smutny i zatroskany. Owsiane jego wąsy zwisały w dół. Ujrawszy panią Polutę, ucieszył się niepomrotnie.

— Nasza pani przyszła, — powiedział, całując ją w rękę, — dzięki Bogu. Zaraz pani zrobi porządek.

— Zdawało mi się, że nie będzie pan sobie życzył mojej interwencji, — odparła pani Poluta z urazą.

— Uchowaj Boże, wzdychałem do interwencji pani. Ale, jak to mówią: nie pchaj palca między drzwi. Gdzież ja mogę w takich sprawach... Joachim nie darowałby mi. A ja patrzeć na to nie mogłem. Muszę na niego oczy podnosić, muszę mieć wysokiem moje ukochanie. On mnie prowadzi tutaj na ziemi. I złamał kostur przewodnika, i podarł na strzępy płaszcz wodza...

Skrzeżetowicz płakał gorzkimi łzami. Zresztą czuć od niego było alkoholem. Widocznie uczestniczył w libacji Wasilewicza.

Za zamkniętymi drzwiami rozległo się spazmatyczne łkanie.

Pani Poluta zadrżała, poznawszy głos.

— Co tu u was się dzieje? — zapytała.

— Rozstajemy się z wiarą katolicką. Zaraz ma przyjść panna Antonina i zawieźć nas do popa. Bierzymy z nią ślub.

— I pan także?

— To jest Joachim, a ja w roli świadka. A z Białorusinami — koniec. Krzewimy kulturę zachodnią. Odżegnaliśmy się od zgniłego wschodu. Tem ciężiej rozstać się z Madonną. I kłaniać się bizantyńskim ikonom.

Płakał obficie, ocierając łzy rękawem, przez remiscencję z dzieciństwa.

Pani Poluta zebrała się w sobie, otworzyła drzwi i weszła do pokoju Wasilewicza. Klęczał na ziemi i bił o ziemię pokłony przed prawosławną ikoną. W przerwach żegnał się trzema złożonymi palcami i bełkotał:

— Hospodi pomiluj... Bogorodzice, Dziewo radujsia...

Pani Poluta podeszła do niego, podźwignęła go z ziemi.

— Joasiu, wstań...

Wasilewicz nie wstawał, ale płacząc uchwycił jej rękę, jak dziecko bezbronne, czepiające się matki.

— Poluta, Poluta... Dlaczego mnie zostawiłaś samego? Dlaczego mnie oddałaś? Poluta, wróć...

— Już cicho, cicho... Wróciłam i nie odejdę.

— Musisz odejść Poluto, musisz. Dałem jej szlacheckie słowo honoru, że się z nią ożenię.

— Jest pan chory i nieodpowiedzialny, słowo honoru pana nie obowiązuje — wmieszał się ksiądz Justyn, który wszedł za panią Polutą.

— Tak ksiądz mówi? To pewnie i prawda, — zaczął bełkotać Wasilewicz. Nastąpiła reakcja i alkohol zaczął go zmagać.

Pani Poluta z księdzem sprowadzili go do samochodu. Samochód ruszył. Skrzeżetowicz stał na chodniku i patrzył za nimi, bardzo zadowolony.

Świeże powietrze orzeźwiło Wasilewicza.

— Dokąd to ja jadę? — zapytał.

— Do lecznicy. Jest pan chory. Tam przyjdzie Ania, — odpowiedział ksiądz.

— To dobrze — mruknął Wasilewicz — już dawno jestem chory. I Poluta niech przyjdzie. Poluta koniecznie niech przyjdzie. Chcę dotknąć jej złotych włosów.

Samochód zatrzymał się przed sanatorjum. Portjer pomógł wprowadzić Wasilewicza. Byli w pokoju z białymi meblami. Za oknem okrąglił się zielony wierzchołek kasztanu.

Posługacz pomógł położyć do łóżka nieprzytomnego Wasilewicza. Zasnął ciężkim, pijackim snem.

Pani Poluta siedziała nad mężem. W jego twarzy pomiętej i napiętnowanej namietnością, w żalosem skrzywieniu ust była wypisana potworna historia dusz powojennych.

Ale w tej istocie, w której dusza została utopiona w zmysłach, dusza ta żyła i strasznie męczyła się w okowach. Chciała się wyrwać i nie mogła. Nie miała energii, by natężyć wolę i niski popęd do perwersyjnej rozkoszy przezwyćżyć.

Wasilewicz zaczął się rzucać w delirium tremens. Szarpał się i bił głową o nikłowe pręty łóżka.

Pani Poluta z siłą nadprzyrodzoną, przytrzymywała go na łóżku, aż słabł i znowu zapadał w sen lub odrętwienie.

Przyszedł lekarz, niosąc środki przeciwalkoholiczne.

— Pani się tu zmęczy — powiedział uprzejmie, — proszę ustąpić swego miejsca naszemu personelowi. Oni umieją obchodzić się z takimi chorymi.

— Panie doktorze, wolę z nim zostać. Możeby do tego nie doszło, gdybym nie ustępowała miejsca przy nim nikomu.

— Jak pani sobie życzy, — odparł lekarz, spoglądając na nią z sympatją, — troskliwość o męża należy, w każdym razie, do rzadkich zjawisk w naszym społeczeństwie.

Pani Poluta została sama. Jak przywołać pomoc, by ta dusza zesłabła i chora wyszła z ucisku ma-

terji i znowu wyzwoliło się ukryte w niej anielstwo?

Położyła się krzyżem na ziemi. Wszystka cielesność w niej zamarła, roztopiła się w jasnej mgłę, która otoczyła ją zewsząd. Była nieważka i pomimo cierpienia — szczęśliwa.

Natężała wolę. Zabijała w sobie po kolei wady i grzechy powszednie. Oczyszczała się, jak przed Komunią w sakramencie pokuty.

Wysilenie rośło w niej, potężniało, stawało się stalową dźwignią. Przywoływała poruszenia z góry. I czuła, jak prąd niewidzialny zlał się z jej wolą i przez nią jak przez przewodnik trącił odrętwiałą duszę chorego.

Wołała z głębi duszy. Powtarzała wszystkie znane modlitwy. Wyrastały w niej nagle antyfony i hymny poetyczne, niezrozumiałe piękne, jak kwiaty nieznane na grzędach zachwaszczonych. Biła natrętną, monotonną prośbą o stopnie ołtarza, który widziała przed sobą w wyobraźni. Był to ołtarz biały, zarzucony różami i biały stał na nim Chrystus.

Nagle przerwała monotonię błagań. Zanurzyła się w adoracji, jak w olśniewającym promieniowaniu. Rzucała apostrofy chwalby, zachwytu, miłości jak kwiaty w stos, rosnący bez końca, zasypujący stopnie ołtarza, na którym zwidywał się jej Pan. Mówiła do Niego wpatrzona w Oblicze, jako słońce.

— Bądź pochwalony, bądź pochwalony... Ty sam dasz, jeśli zechcesz... Bądź pochwalony Przecudny, Niewymowny, Jasności i Siła, Miłości bez granic, bez zastrzeżeń... Kocham Ciebie, jako zdołam, kocham... kocham...

XXVIII

Wasilewicz obudził się przytomny. Czuł się rozbity i osłabiony. Wszedł do niego lekarz i objaśnił, że przywiozła go tu żona.

Poczuł wtedy olbrzymią ulgę. Był ubezwłasnowolniony, nie mógł zgubić swojej duszy. Z przychylnością spoglądał na drzwi zamknięte swego pokoju. Z przyjemnością myślał, że skok z wysokiego pierwszego piętra na flizy kamienne jest karkołomny. Złożył swoją wolę i wszelką o sobie decyzję w inne ręce. Odpoczywał.

Ale organizm wołał o truciznę. Z dna duszy zaczęły się dźwigać rozpaczliwe projekty, zbrodnicze pomysły, by zaspokoić straszliwe łaknienie kokainy.

Czuł jednak zarazem, że ma wszczepiony w siebie cudzy nakaz. Nakaz cudzy i swój. Poraz pierwszy od dłuższego czasu rozpoczęła się w nim walka z opętaniem kokainy.

Wiedział, że była przy nim Poluta. Wróciła, przebaczyła... Czy jako siostra, czy jako żona — była i czuwała. Kiedy się staczał po pochyłości, zatrzymała go, jak mocny krzew na drodze. Niech będzie, jak chce ona. To takie cierpienie, gdy woła ich dwojga, którzy są jednością sakramentalną wspinają się przeciw sobie i gryzą, jak dwa rozwierzgane rumaki.

Położył się i czuł z odległości, jak woła jego zlewa się z jej wołą. Dwa płynące niewidzialne strumie-

nie, które kiedyś znów trysną z wspólnego wywie-
rzyska...

Ale męka stawiała się nie do zniesienia. Organizm pragnął i cierpiał. Wasilewicz miotał się po łóżku, zaciskał dłońmi głowę.

Dotknięto jego ramienia. Stał nad nim lekarz.

— Proszę pana, mogę dać panu małą dawkę. Będziemy tępli przyzwyczajenie powoli.

Wasilewicz dotknęło traktowanie go, jako bezwolnego chorego. Obudziła się w nim dawna duma i dzielność mężczyzny. Powtarzał sobie z kresowym uporem:

— Cóż u licha, mężczyzną jestem przecie...

Odpowiedział więc odmownie. Ale po chwili po członkach jego przebiegły drgawki. Na ustach ukazała się piana. Dostał konwulsji.

Kiedy puścili go straszne kleszcze i leżał bezsilny, lekarz nachylił się nad nim znowu:

— Proszę pana, jednak może małą dawkę.

— Nie trzeba, — odmówił Wasilewicz z dawną energią.

Zdawało mu się, że każde zażycie kokainy oddala go od żony.

Lekarz wyszedł i wrócił, niosąc dawkę narkotyku.

— Nie radzę panu przerywać tak odrazu. Oto kładę koło pana małą dozę. Proszę uciec się do niej, kiedy już będzie nie do zniesienia.

Wasilewicz został sam. Usiadł na łóżku i chciwie patrzył na narkotyk. Wyciągnął ku niemu trzęsącą się rękę. Ale w oczach mu stanęła twarz żony, oniemiała w bóleści, kiedy patrzyła na niego i na pannę Antoninę.

Przywoływał tę twarz znowu i znowu. Rozumiał

teraz, że wizję tej właśnie twarzy chciał zagłuszyć, zabijając świadomość. Była odcisnięta na jego sercu, jak krwawe piętno na dłoni zbrodniarza.

Przypomniawszy sobie jej przerażone, błagalne oczy, i wyraz śmiertelnego osłabienia wiotkiej postaci, kiedy odjeżdżał z domu. Ach, poco to uczynił! Przecie jego chciała ratować!

Halucynował wprost dotykalnie jej dłonie o przezroczystej skórze i sinych żyłkach, poterał i oszpicał pracą.

Posyłał jej swoją walkę i ciężką torturę organizmu, którą znosił, by wrócić do niej męskim, z mocą ramion do oparcia, z umysłem działającym jak sprawna maszyna...

Myślał o dziecku. Dziewczyneczka... Jasne warkoczyki, oczy niewinne i śmiesznie biegające nóżki, zbyt długie w jej niesformowanej postaci... Przyszedłby dzień, gdy te oczy spojrzałyby surowo i nieubłagane, a małe usteczka wyrzekłyby słowo potępienia...

Ręka jego trzęsała się, sięgając chciwie po narkotyk, kurczyła się drapieźnie, jak szpon jastrzębi.

Nagle determinacja poderwała całego. Chwycił kokainę. Podeszedł do okna. Otworzył je szeroko. Wrzucił w przepaść nocy truciznę, jakby odrzucał deskę ratunku...

Został sam. Bez ratunku. On i noc.

Rzeźwy szafir nocy owiał go bezmiarem. Ujrzał poraz pierwszy oddawna gwiazdy nad sobą. Zapomniał o nich w udręczonym, grzesznym istnieniu.

Ogromne światy wirują. Oceany jasności wypełniają przestrzeń międzyplanetarną. Kryształowa muzyka leje się z krain globowych. Cicho. Olbrzymio. Wieczność śpiewa...

Oderwał się od samego siebie. Ukołysała go noc.

Poczuł nieznosne swędzenie w rękach i nogach. Drapał się paznogciami aż do zdarcia skóry. Niepokój opanowywał go, nie mógł ani na chwilę zostać bez ruchu. Potem poczuł ziębienie i słabość. Depresja stała się nie do zniesienia. Zdawało mu się, że pod drzwiami skrada się Szyrwitz i pokazuje drogę chłopom z za kordonu, by go zamordowali. Czekał, obłany zimnym potem. Zaraz otworzą się drzwi. Przeżywał wbijanie nożów w ciało... Upadł znowu, targany drgawkami.

Kiedy przyszedł do siebie czuł w żyłach zimny płyn, a pod skórą — poruszające się robaki. Błysnęła mu myśl zbawcza... Zabić się... Przerwać tę mękę.

Na chwilę ustało. Ale za to w pokoju, na podłodze, na stole, na ścianach zaroily się drobne pajaki i żuki. Przebiegła mysz mikroskopijnie mała. Zdziwił się, że dojrzeć ją może.

Znalazł na koniec nad ranem ulgę w śnie. Kiedy się obudził, czuł, że z kokainą już koniec.

Przywoływał przed siebie twarz żony, ścierał z niej miękką dłonią surowy sąd i naganę. Marzył, że przyjdzie się uśmiechnąć do niego.

I przyszła rano. Stała niepewna w drzwiach. Podniósł się na jej spotkanie, blednąc. Zebrał całą męską dumę, by nie okazać osłabienia zrujnowanego organizmu.

Trzymała pęk mieczyków różowych, takich, jak rosły w oranżerii w Wasilewie. Zasłaniała pąkami usta i część twarzy pod trójkątnym kapelusikiem, sama także różowa. Podeszła szybko. Położyła mu kwiaty na dłoniach...

XXIX

Przez ametystowe wrzosowisko wężowiła się ścieżka. Ginęła wśród zrudziałych paproci i wynurzyła się znów szarym skrzemem z pośród borówek. Twardolistne, lśniące krzaczkę sypały na nią przejrzałe jagody.

Wśród fioletowego ładu wrzosów sterczały na obraz nóg uciętych pnie zwęglone. Ale już wśród nich podnosiły kędzierzawe kopułki młode sosny.

Ścieżką szli Wasilewiczowie i Prętkiewicz, który był pierwszym gościem w Zabołotnem. Pani Poluta maszerowała, przesuwając między gałęzmi płamę swetra w żółte i brunatne prążki.

Wasilewicz szedł za nią, ochraniając jej kroki. Już nanowo był przewodnikiem i opiekunem.

Prętkiewicz kroczył naprzód z Anią. Znaleźli właśnie pod brzoškami kozaka z czerwonym kapeluszem i kłócili się, kto go pierwszy zobaczył.

Dywan borówek się skończył. Zaczynał się żółty pas okopów. Szczerego piasku jeszcze nie zdobyła szturmująca roślinność. Zdążyła zaledwie wdrzeć się na zbocza okopów, oplecione wikliną. Przekwitłe wierzbowki, żółte mlecze i ostra trawa porosły wnętrza rowów strzeleckich i półwyspami wpęły na płaski, żółty grzbiet okopu. Jeszcze rok, albo dwa i znikną blizny zadane w pierś lasu.

Oto, jak symbol krwi przelanej, rozkwitają gdzieś niedaleko na okopach czerwone jarzębiny. Kołyszą liśćmi,

podobne do kit z piór fantastycznych, przetkanych krasnym bisiorem.

Ania nadbiegła ucieszona, przynosząc owadożerną rosiczkę. Ujrzeni na okrągłych, owłosionych listeczkach szczątki jakiejś muszki.

Wasilewicz w zamyśleniu wziął do ręki roślinę wraz z grudką wilgotnej ziemi, w której tkwiły jej korzenie.

— Bywają w mieście takie rosiczki, — powiedział, — znęcają na swój liść człowieka, by go schłonać powoli. I wyrzucają szczątki wysane.

Pani Poluta dyskretnie milczała. Nachyliła się, zrywając czerwono-różowe wełnianki, nad którymi rozwinęła się ożywiona dyskusja, czy to są rydze.

Tak dowodził Prętkiewicz, ale Ania przekonała go niezbitym argumentem, zrywając prawdziwego rydza.

Ścieżka wbiegła w zarośla, i wynurzyła się z nich na szeroką polanę.

Była porośnięta jasną trawą. Wieniec ogromnych topoli stał pośrodku. Wierzchołki gorzały jasno-żółtym liściem. Z jaskrawych ubryłowań listowia wynurzyły się zeschnięte konary... Ręce błagalnie wzniesione w górę...

Prętkiewicz się zapatrzył. Wyjął szkicownik i zaczął odtwarzać polanę.

— Co robisz? — zapytał Wasilewicz.

— Filmuję rzeczywistość. Zabijam w sobie abstrakcję. Spuścił rękę ze szkicownikiem i zapatrzył się.

— A wiesz co, Joasiu, — powiedział radośnie, — nauczyłem się tu u ciebie w Zabołotnem nowej rzeczy. Iść do Absolutu poprzez zjawę zewnętrzną. Wytlomaczę ci, jak to się robi. Patrę na te złote drzewa na jasno-zielonym tle. Powstaje we mnie poczucie

piękna. Jest w niem przyciąganie do przedmiotu, który mi się podoba, a więc miłość. Poczucie twórczo-artystyczne jest zbliżone do miłości. I ten prąd piękna i miłości jest czemś, co mnie łączy z niewidzialnem, z Absolutem.

Pani Poluta przerwała ze śmiechem:

— Wstydlivość byłego radykała przeszkadza panu nazywać rzecz po imieniu. Zamiast „niewidzialne“, „Absolut“ — czemu nie powie pan lepiej odrazu całkiem prosto „Bóg“? Nie wypada, prawda?

Prętkiewicz zmieszał się trochę.

— Ja tak nazywam dla siebie. Ale istotnie — jest w nas pewna wstydlivość w nazywaniu rzeczy wysokich.

I szkicował dalej, usiadłszy na pniu zrąbanym. Ania zapatrzyła się na linje, wychodzące z pod palców poety. Po chwili odbiegła i zaczęła krzyczeć.

Troje starszych pobiegło jej na pomoc.

Ania stała, jak urzeczona i krzyczała ze strachu. Na trawie leżała szaro-stalowym zygzakiem żmija.

Prętkiewicz podszedł i potracił ją kijem.

— Ależ ona jest nieżywa, — powiedział.

— Ostrożnie, — ostrzegł Wasilewicz, lepiej znający obyczaje mieszkańców lasu, — może udaje albo tylko jest zdrewniała.

Prętkiewicz potracił ją jeszcze raz. Żmija poruszyła się, podniosła ociężałe trójkątny łeb i syknęła.

Wasilewicz szybko zmiażdżył jej głowę kijem, który wyrwał z rąk Prętkiewicza.

Wrócili na polanę.

— Co za alegorja, — fantazjował poeta, — ta żmija uśpiona w głębi lasu, w którym panuje słoneczna cisza. Jak zła reminiscencja, budząca się w pogodny dzień życia.

Wasilewicz powiedział twardo:

— Wszelkie takie reminiscencje człowiek może odrzucić, o ile tylko chce.

Prętkiewicz znowu usiadł na pniu i rysował, przemierzając się z Anią. Wasilewiczowie poszli groblą dalej.

Olchy na grobli już zaczęły sypać czarny liść. Na krzakach jerzyn czerniały jagody. Dwa czarne wyboje biegiły wśród traw.

Doszli do ostatniej piędzi ziemi na suchym gruncie — do olbrzymiej sosny z ławeczką darniową.

Stanęli tam i obejrzeni się na dwór. W ogrodzie na starych drzewach czerwieniały jabłka. Na niektórych jabłoniach wisiały owoce, jak krople żółtej oliwy. Gdzieś tam gęstsze od liści obsiadły gałęzie bladoróżowe kule.

— Przyszła jesień żywota, — cicho powiedziała pani Poluta.

Przemierzyła w myśli drogę przebytą. Była ciężka i bolesna. A oto na pniu zwęglonym zazieleniły się nowe pędy. Przebolała, przewalczyła. Uciszyła się w sobie. Patrzyła teraz na męża. Wszystkie złamanie się zrosły. Niespożyta żywotność ludzkiej natury brała górę. Budziła się w niej dawna miłość. Inna. Silniejsza, głębsza, utkana z przywiązania i ofiary. Przeszła ona próbę ogniową. I zastała się tylko. W dniach boleści zadzierzgnął się przedziwny związek między nimi.

Wasilewicz jakby odgadł jej myśli. Wziął jej rękę i mocno uściśnął.

Nad olbrzymim obszarem błot zachodziło ogromne słońce. Obryzgało niebo czerwienią. Zjeżyło się krwawymi wytryskami. Odchodziło.

Wasilewicz szerokim gestem wskazał błota.

— Teraz przyszedł czas pracy. Drenować trzeba. Kopać rowy i odprowadzać nimi wodę brunatną, nasyczoną rudami błotnemi. Osuszać bagniska, wygnać z nich zgniłe opary, zamienić w kraj rodzajny...



171218